

Złoty chłopiec PiS | Mierzeja: przekop bez przejazdu | Atak dronów | Mit Pyjasa
Ślubowanie bez ślubu | Ziemia Kościoła | Bambik, czyli kto | Śmierć w górach

ILUSTRACJA MIŁOSZ ZDUNEK

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 22 (3415), 24.05–30.05.2023 Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Tusk podbija stawkę. Co zrobi PiS?

s. 6, 12, 15

Gra w 800+

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO





Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów



**SUPER
OFERTA**

Kup rower Cube
ODBIERZ 10%*
wartości roweru
w akcesoriach
i odzieży rowerowej



* Oferta promocyjna na zakup akcesoriów i odzieży rowerowej marki Cube i RFR obowiązuje do dnia 31.07.2023. Promocja nie obejmuje rowerów hybrydowych oraz rowerów z serii Nuroad. Regulamin promocji w kasach sklepów i na skiteam.pl

NASZE SKLEPY STACJONARNE SĄ OTWARTE 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00** | Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00** 

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b | **POZNAŃ:** ul. Bułgarska 117a

WROCŁAW: CH Arkady Wrocławskie | **KATOWICE:** ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



17 Atak dronów



26 Ślubowanie bez ślubu



38 Mierzeja Wiślana – Krynica omijana

Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin **Z Tuskiem po kraju**
 15 Joanna Solska **800 plus: stary chwyt na nową kampanię**
 17 Adam Grzeszak
Kto kontroluje drony?
 20 Marcin Piątek **Kacper Tekieli: śmierć w drodze przez szczyty**

Polityka

- 23 Anna Dąbrowska, Norbert Frątczak
Piotr Mazurek – młodzieżowy dygnitarz

Społeczeństwo

- 26 Katarzyna Kaczorowska **Śluby humanistyczne: TAK po ludzku**
 29 O braku zaufania do instytucji i odwracaniu się od demokracji opowiada prof. **Krystyna Skarżyńska**
 32 Zbigniew Borek **Kościół – powiaty dają rabaty**
 35 Rozmowa z **Cezarym Łazarewiczem** o śmierci i micie Stanisława Pyjasa



Rynek

- 38 Marcin Piątek
Mierzeja Wiślana – jest przekop, nie ma przejazdu
 42 Cezary Kowanda
Niebezpieczeństwa bezpiecznego kredytu

Świat

- 46 Łukasz Wójcik **TURCJA Erdoğan i bunt kobiet**
 49 Jędrzej Winiecki **Kryzys ryżowy**
 52 Paweł Reszka **O „wojenkorach”, rosyjskich propagandzistach frontowych**
 54 O antyniemieckiej polityce polskiego rządu mówi były ambasador Niemiec **Arndt Freytag von Loringhoven**

Nauka/projektpulsar.pl

- 56 Marcin Piątek **Wyścig Le Mans: poligon doświadczalny technicznych nowinek**



- 60 Agnieszka Krzemińska
Opowiadania wykute w skale
 62 Marta Alicja Trzeciak
Czy wirus ptasiej grypy może spowodować pandemię

Historia

- 64 Sławomir Łotysz **Poleskie mokrądlą**
 67 O średniowiecznych władcach i ich obrazie świata opowiada brytyjski historyk **Dan Jones**

Kultura

- 74 Piotr Sarzyński
Piet Mondrian i Hilma af Klint: dziwna wspólna wystawa
 78 Rozmowa z reżyserem **Mateuszem Rakowiczem** o najnowszym filmie akcji „Dzień Matki”
 80 Bartek Chaciński
Wędrowki protest songów
 83 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
 84 Michał R. Wiśniewski
Supermario dla małych i dużych
 86 KAWIARNIA LITERACKA
Ishbel Szatrawska

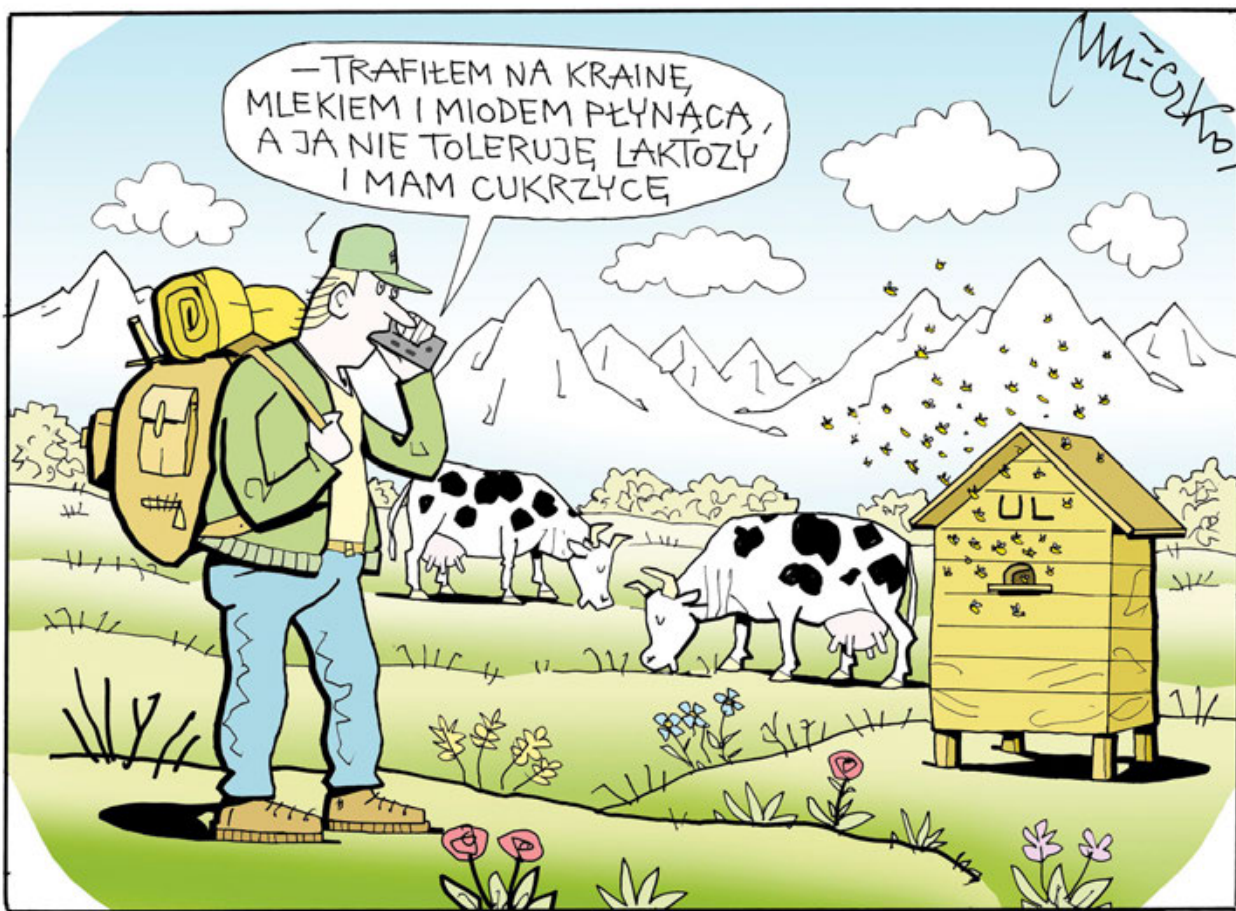


Ludzie i style

- 92–97 • **Odwaga oporu**
 • **W modzie styl na goliznę**
 • **Bambik – czyli kto?**
 • **Na samotność cybersympatia**
 • **W stylistyce Wesa Andersona**
 • **Moc minerałów**
 • **Sztuka wędrowki**
 • **Kariera naturalnych win**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski
 • **6** Przypisy • **8** Ludzie i wydarzenia
 • **70** Afisz • **87** Koziołek
 • **88** Lis • **89** Hartman
 • **90** Tym • **91** Do i od redakcji
 • **98** Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Błaszczak na drzewo

Na Polskę spadła ruska rakietą zdolna przenosić broń nuklearną, ale wojsko i minister Błaszczak uspokajają, że nie była w tę broń uzbrojona, dlatego jej nie szukano. Uzbrojona mogła oczywiście stanowić olbrzymie zagrożenie, ale jestem pewien, że w takiej sytuacji miejsce, w którym by spadła, wojsko bezbłędnie ustaliłoby po charakterystycznym i widocznym z dużej odległości grzybie. Jeśli ładunek nie byłby zbyt potężny, jest szansa, że minister Błaszczak zdążyłby nawet powiadomić o incydencie premiera i prezydenta.

Ten ostatni zapewnia, że w związku z przelotem i zaginięciem rakiety zadziałały wszystkie procedury, zwłaszcza procedura utrzymywania tego faktu w tajemnicy przed nim, przed premierem i przed opinią publiczną. Wszystkie najważniejsze osoby w państwie, które o pojawieniu się wrogiej rakiety miały nie wiedzieć, zostały o tym natychmiast niepowiadomione lub powiadomione w taki sposób, żeby nie zorientowały się, że o tym wiedzą. Niestety tajemnicę ujawniła pani na koniu, która natknęła się na rakiety przypadkowo, ale uważam, że należy za to winić tę panią, a nie wojskowych dowódców czy ministra Błaszczaka, który zrobił, co mógł, żeby

zaginięcie rakiety utrzymać w tajemnicy nawet przed samym sobą.

Trudno powiedzieć, czy nagłośnione przez media pojawienie się wizerunku Matki Boskiej na drzewie pod blokiem przy ul. Spółdzielczej w Parczewie (woj. lubelskie), to reakcja na nieszczęsne działania Błaszczaka w sprawie rakiety. Nie można tego wykluczyć, chociaż pesymiści uważają, że to, iż ludzie, którzy Matkę Boską widują zwykle na szybach, ujrzeli ją na drzewie, może wynikać z osłabienia spowodowanego niedożywieniem, będącym wynikiem panującej drożyny.

Tak czy inaczej pod drzewem przy Spółdzielczej ludzie od wielu dni modlą się, z ufnością zawierając swój los Matce Boskiej. I chociaż oskarża się ich o ciemnotę i hołdownie zabobonom, uważam, że postępują racjonalnie. Obdarzając postać ukazującą się na drzewie większym zaufaniem niż postać ukazującą się w telewizji Błaszczaka, dają dowód, że w sprawach bezpieczeństwa państwa potrafią kierować się rozumem. Nie wiem tylko, czy drzewo to dobre miejsce do ukazywania się kogoś takiego jak Matka Boska. Zgadzam się z opinią, że na drzewo należałoby posłać ministra Błaszczaka, z tym że najlepiej, żeby się na nim nikomu nie ukazywał.





„Dolce vita” w Toskanii

Fantastyczna podróż kulturowa, podczas której odkryjemy tajniki włoskiego stylu życia i poznamy włoską kulturę, kuchnię, język oraz doskonałe wina.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. **Dz. 2** Umbria i magiczne Orvieto. **Dz. 3** Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. **Dz. 4** Całodzienna wycieczka do Sieny wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem Via Francigena. **Dz. 5** Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Capella di Vitaleta i wizyta w Montalcino. **Dz. 6** Włoski targ i etruskie muzeum. **Dz. 7** Degustacja win i uroczę popołudnie w San Gimignano. **Dz. 8** Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele Św. Franciszka. **Dz. 9** Dzień wolny w Chianciano Terme. **Dz. 10** Wylot z Rzymu do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 10/10 2023

5.298,-



WYKŁAD
ONLINE



Królewskie miasta Maroka

01/06/23 o godz. 17:00
Rejestracja na stronie
www.albatros.pl



Safari w Republice Południowej Afryki

Oderwij się od codzienności i wyrusz w podróż do zupełnie innego świata. Podróżując otwartymi jeepami w PN Krugera pocujemy czym jest prawdziwe safari i poznamy z bliska jak żyją dzikie zwierzęta.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga. Przejazd do Pretorii i krótkie zwiedzanie stolicy RPA. Przyjazd do Zebra Country Lodge. Odpoczynek i spacer po okolicy. **Dz. 3** Wycieczka do kopalni diamentów w Cullinan, gdzie wydobyto największy diament na świecie. **Dz. 4** Przejazd malowniczą trasą Panorama Route i Blyde River Canyon. **Dz. 5** Safari w Parku Narodowym Krugera i tradycyjna kolacja „boma braai”. **Dz. 6** Safari w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 7** Park Krugera – Johannesburg. Podróż powrotna. **Dz. 8** Przylot do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 16/10, 16/11 2023, 14/01 2024

od 8.498,-

Klasyczna podróż pociągiem przez Szwajcarię

Poznaj kultowe miasta Szwajcarii: Montreux, Saint Moritz i Lugano – podróżując Ekspresem Lodowcowym (Glacier Express) i Bernina Express.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot na trasie Warszawa – Zurich. Podróż pociągiem do Montreux nad Jeziorem Genewskim. **Dz. 2** Spacer po stylowym Montreux i czas wolny. **Dz. 3** Przejazd Ekspresem Lodowcowym przez przełęcz Oberalp w kierunku St. Moritz. **Dz. 4** Celerina. Wycieczka z pilotem do St. Moritz lub dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Ekspresem Bernina do Tirano. Przejazd do Lugano. **Dz. 6** Lugano. Spacer po mieście i czas wolny. Pożegnalna kolacja. **Dz. 7** Przejazd pociągiem Lugano – Zurich. Wylot powrotny do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 23/09 2023 | 11.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL19

V-dolce vita



Jerzy Baczyński

Hitem ostatniego tygodnia było słowo bambik, rzucone przez Donalda Tuska w stronę premiera. Dzięki temu nawet boomerzy, którzy nigdy w życiu nie grali w Fortnite i nie oglądali memów na TikToku, już się dowiedzieli, że słaby gracz, choćby miał dużo wirtualnych v-dolców, i tak pozostanie bambikiem, czyli – w prostym tłumaczeniu – przegrywem (więcej u Bartka Chacińskiego na s. 93). Coś takiego wydarzyło się właśnie w kampanijnej grze w 800 plus. To miał być zapewne punkt zwrotny w niemrawej ostatnio kampanii PiS. Jak pisaliśmy, cały „Programowy ul PiS” był tylko wprowadzeniem do finałowej eksplozji: ku zaskoczeniu nawet własnego rządu Jarosław Kaczyński ogłosił, że 500 plus po nowym roku zmieni się w hojne 800! Długa owacja na stojąco, radość działaczy, liczne komentarze – i to także po liberalnej stronie – że oto PiS znowu sięgnął po swoją zwycięską, zabójczą dla opozycji broń.

Ale potem odwinął się Tusk. Jego propozycja, aby tę „inflacyjną waloryzację” rząd i opozycja uchwały wspólnie, tak aby móc ją wprowadzić już od Dnia Dziecka, a nie od sylwestra, była jak zestrzelenie rakiety Kindżał z ręcznego granatnika. Piarowcy PiS przez kilkadziesiąt godzin trwali w stuporze, a pierwsze odpowiedzi, że „tego się nie da zrobić tak szybko” (od razu skontrolowane w mediach przypomnieniem ekspresowego wprowadzania 500 plus) jeszcze pogłębiały wrażenie paniki. Dopiero po paru dniach ogłoszono, że wszyscy ważni działacze partii mają jechać w teren i obnażyć niewiarygodność Tuska, piętnować liberalną, „antysocjalną” politykę jego rządu. Siegnanie przez PiS po marketingowe chwytły z 2015 r. też raczej potwierdza, że Tusk poważnie uszkodził im plan kampanii.

Proste „sprawdzam” pokazało, z jakimi kartami Kaczyński przystąpił do gry. Nazwanie podwyżki świadczenia na dzieci zwykłą rekompensatą inflacyjną zmieniało kampanijnego asa w blokę. Bo rzeczywiście wskutek wzrostu cen wartość dawnego 500 plus zjechała realnie o prawie 40 proc. (analiza Joanny Solskiej na s. 15). Jednak PiS, wprowadzając kolejne tzw. tarcze antyinflacyjne i dokonując ustawowych waloryzacji, wciąż przedstawia to – także w milionach pism dołączanych do rachunków i zusowskich przelewów – jako przejaw troski, dobrej woli rządu, gest, powód do wdzięczności. Tak było, kiedy „dzięki rządowi” podatnicy otrzymywali zwrot wcześniej nadpłaconego PIT, tak jest teraz. Budżet zarabia ogromne pieniądze na wzrostach cen, ale nawet częściowy zwrot pobranego podatku inflacyjnego władza obudowuje propagandą dobroczynności. Tusk przy każdej publicznej okazji przypomina, że polska inflacja, jedna z najwyższych w Europie, nie jest tylko winą pandemii i Putina – jak głosi gigantyczny baner na gmachu NBP – ale także winą rządu i proinflacyjnej polityki prowadzonej przez Adama Glapińskiego. Dziękować za 800 plus to jakby dziękować za inflację.

Ale wist Tuska odsłonił jeszcze jedną fałszywą kartę w talii PiS. Wiadomo, że rząd mógłby zwaloryzować 500 plus już teraz: argumenty, że to trzeba odłożyć do nowego roku (z domyślnym warunkiem, jeśli PiS wygra wybory), są słabe. Widać, że chodzi o specyficzny szantaż wyborczy, o to, żeby przedwcześnie nie zmarnować tych 24 mld zł. Cynizm wyłaził jak szydło z worka. Słabnie również wiarygodność powtarzanej przez PiS mantry, że Platforma po wyborach odbierze 500 plus. Bo jak odbierze 500, jeśli sama chce dać 800?

Na Tuska też oczywiście posypały się oskarżenia. Ze strony PiS – to jasne – że jego propozycja jest tylko kampanijną zagrywką; ze strony opozycji, zwłaszcza Trzeciej Drogi Kosiniaka i Hołowni oraz liberalnych komentatorów: że jeśli on naprawdę chce przyspieszyć wprowadzenie 800 plus, to znaczy, że przystąpił do licytacji z PiS na populizm. Dodatkowym dowodem było to, że do projektu pilnej waloryzacji zasiłku na dzieci Platforma dorzuciła propozycję podniesienia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, co kosztowałoby budżet 35 mld zł. Ostro skrytykował Tuska za lewicowo-populistyczne odchylenie guru polskiego liberalizmu Leszek Balcerowicz. Faktycznie, jeśli zsumować „babciowe”, 20-procentowe podwyżki w sferze budżetowej, nową kwotę wolną i wprowadzenie 800 plus, PO/KO już obiecała wyborcom ok. 100 mld zł.

Obietnice PiS na pewno nie będą mniejsze: do darmowych leków dla seniorów i juniorów czy „bezpłatnych” autostrad, dojdą pewnie stałe 14. emerytury, wakacje kredytowe, ulgi dla wsi – kolejne propozycje usłyszymy na następnych konwencjach. Eksperti donoszą, że Ministerstwo Finansów zamierza znów poluzować tzw. regułę wydatkową, która różnymi parametrami krępuje wzrost wydatków państwa. Luz ma wynieść ok. 5 proc. PKB, czyli 150 mld zł. I raczej na pewno wszystko zostanie rozpisane przed wyborami na bonusy dla wytypowanych grup społecznych. PiS podczas swojego „ula” wyraźnie dał do zrozumienia, że „Jan Paweł II, Niemcy, LGBT, Ukraina, Unia” to będą jedynie tematy towarzyszące; w kampanii PiS będzie się liczył „konkret”, czyli pieniądze do ręki.

W tym kontekście namawianie największej partii opozycyjnej, żeby postępowala „odpowiedzialnie i wstrzemięźliwie”, jest zaproszeniem do powtórki z 2015 r. W ciągu minionych ośmiu lat PiS nie tylko zmienił, zbrutalizował polską politykę, ale zmienił też (niektórzy powiedzą – zdemoralizował) wyborców. Prof. Przemysław Sadura, socjolog polityki z UW, od lat prowadzący pogłębione badania opinii społecznej, twierdzi („GW”), że trudno dziś wygrać z PiS, nie grając w populizm. O tym, że programy polityczne trzeba w kampanii przekładać na język indywidualnych korzyści, mówili także w POLITYCE (relacja na s. 9) liderzy czterech opozycyjnych ugrupowań, które po wyborach miałyby stworzyć przyszły rząd. Kampania, zwłaszcza ta, będzie przede wszystkim grą emocji, a nie racji i księgowych kalkulacji.

Czy jednak licytacja na obietnice nie zapowiada przyszłej katastrofy? Nawet ortodoksyjni liberał prof. Bogusław Grabowski twierdzi, że polska gospodarka ma wciąż znaczne rezerwy i nie grozi nam scenariusz grecki; rzecz w tym, na co publiczne pieniądze powinny iść. Polska pod rządami PiS ma najniższy od dekad poziom inwestycji, niedofinansowane są usługi publiczne, edukacja, nauka, służba zdrowia, energetyka – jedyne, co rząd PiS w miarę sprawnie realizował, to wydatki socjalne, dopłaty, dotacje, tarcze, granty, zwłaszcza dla bliskich partii grup i osób. Władza utrzymywała przekonanie, że dobrobyt bierze się z transferów, dobrodziejstwa państwa. To się może zmienić, zracjonalizować tylko wtedy, gdy ta partia straci władzę.

Pierwsze sondaże po 800 plus pokazują (sensacyjną) spadek notowań PiS. Jeśli się potwierdzi, że PiS nie albo niewiele ugrał na 800 plus, to znaczy, że zwycięska dotąd populistyczna strategia nie gwarantuje już sukcesu, a podjęta przez opozycję gra w kampanijne obietnice, czyli wydawanie wirtualnych dziś v-dolców, ma sens, bo powstrzymuje ekspansję PiS. Gra to gra: chodzi o to, żeby nie być bambikiem.



ROZGRYŹ FINANSE FIRMY W TELEFONIE

Zarządzaj firmą online z kontem i pakietem usług



za konto przez rok w promocji¹



księgowość online



za terminal płatniczy
w telefonie do 18 mies.²



wymiana walut
w aplikacji G0dealer



BNP PARIBAS

**Bank
zmieniającego się
świata**

¹Warunki promocji w regulaminie „Konto wspierające biznes”, która trwa do 31.05.2023 r. Regulamin i Taryfa prowizji i opłat są na stronie bnpparibas.pl. Konto za 0 zł dla nowych Klientów, którzy wyrażą zgody marketingowe. ²Zwolnienie z opłaty za dzierżawę terminala obejmuje 6 miesięcy w ramach promocji „Konto wspierające biznes” pod warunkiem posiadania umowy o rachunek bieżący z bankiem oraz zawarcia nie później niż do 15.06.2023 r. za pośrednictwem banku z Elavon Financial Services Designated Activity Company Oddział w Polsce umowy o terminal na 24 miesiące po zaakceptowaniu regulaminu promocji w okresie jej trwania. Natomiast zwolnienie z opłaty w ramach 12 miesięcy następuje w ramach programu Polska Bezgotówkowa pod warunkiem spełnienia warunków programu – więcej o programie: www.bnpparibas.pl/male-firmy/pakiety-i-rachunki/terminalizacja-program-polska-bezgotowkowa. Bank nie jest dostawcą usługi G0księgowość – dostarcza ją CashDirector S.A. z siedzibą w Warszawie. Aby skorzystać, należy posiadać rachunek firmowy w banku oraz zawrzeć odrębną umowę z dostawcą. G0dealer to aplikacja banku do obsługi platformy walutowej FX Pl@net na urządzenia mobilne. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego. BNP Paribas Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie przy ul. Kasprzaka 2, 01-211 Warszawa, zarejestrowany w rejestrze przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego przez Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy w Warszawie, XIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, pod nr. KRS 000011571, posiadający NIP 526-10-08-546 oraz kapitał zakładowy w wysokości 147 676 946 zł, w całości wpłacony.

Kogo poturbował rosyjski pocisk

Rosyjski pocisk odzyskał głowicę. Znalazła się kilka tygodni po samej rakiecie, a jej zawartość potwierdza hipotezę, że Ch-22 miał być wabikiem dla ukraińskiej obrony powietrznej, który może przypadkiem, a może celowo, znalazł się w Polsce. Beton zamiast ładunku wybuchowego nie zmniejsza powagi sytuacji. Rozpędzony kilkusetkilogramowy pocisk mógł zniszczyć dom, samochód, uszkodzić jakąś instalację, a nawet zabić wielu ludzi. Bezpieczeństwo Polski zostało wystawione na próbę pomimo zapewnień ministra Mariusza Błaszczaka o silnej obronie powietrznej.

Odpowiedzialności nie weźmie jednak nikt. Władza spanikowała i stosuje znane uniki: zrzuca winę na poprzedników, Tuska i wojskowych, a z drugiej strony usiłuje przekonać Polaków, że w sumie nic się nie stało. Dlaczego ten pocisk do Polski wleciał, jak to się stało, że tak daleko doleciał i czemu tak długo leżał nieodnaleziony – to pytania na czas kampanii zbyt niewygodne, dlatego mają być wyciszone. Nie będzie żadnych dymisji w wojsku ani w rządzie. Po stronie generałów stanął prezydent, po stronie ministra obrony – prezes PiS, a stawiający początkowo niewygodne dla Błaszczaka pytania **premier** został przywołany do porządku i nagle odzyskał pełne zaufanie do ministra. „Każdy,

kto żąda dymisji ministra obrony, działa na rzecz Kremla” – uciął dyskusję Jarosław Kaczyński. Bez konsekwencji przejdzie więc bezprecedensowy atak na gen. Tomasza Piotrowskiego i równie dziwaczna odpowiedź – odezwa wojskowego. By wszystko wyglądało poważnie i godnie, godzenia generałów z ministrem podjął się Andrzej Duda. Wyszło to średnio, ale przynajmniej usiedli w jednym pokoju i rozmawiali nie przez komunikaty, a to już postęp, w sytuacji gdy Błaszczak tak się obraził, że nie pojechał na najważniejsze od wielu lat ćwiczenia, którymi kierował Piotrowski.



Porozumienia nie zmieniają faktu, że przez kilka dni toczył się wojskowy kryzys niewidziany w Polsce od dekad. Konflikt o to, kto, co, komu i kiedy powiedział o rosyjskim pocisku, przerósł przepychanki między Antonim Macierewiczem a Andrzejem Dudą (prezydent zarzącał ministrowi „ubeckie metody” w walce z jego podwładnym – generałem) i jest porównywany do niesławnego obiadu drawskiego z 1994 r., kiedy podburzeni przez Lecha Wałęsę generałowie wypowiedzieli posłuszeństwo cywilnemu ministrowi obrony, admirałowi rezerwy Piotrowi Kłodziejczykowi. Teraz to minister najpierw uderzył w gen. Tomasza Piotrowskiego, ale ten natychmiast dostał wsparcie szefa sztabu generalnego Rajmunda Andrzejczaka i prezydenta Dudy. Zwierchnik sił zbrojnych w pierwszym odruchu stanął u boku oficerów, pokazując, komu bardziej ufa, ale uznał, że sprawy lepiej nie drażnić, bo przecież na wschodzie trwa wojna, bo patrzą na wszystko sojusznicy, bo wybory idą, a obronność to niezmienniczy filar kampanii PiS. **Mariusz Błaszczak** został co prawda poturbowany, ale pozostanie naczelnym „zbrojmistrzem”, obiecującym najsilniejszą armię Europy już za dwa lata. Do wyborów będzie pokazywał się z nowym sprzętem, podpisywał coraz większe umowy i przyjmował nagrody za zasługi. Tuż po skandalu i próbie jego zażegnania w jeden dzień dostał dwie.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Gra transfobią

Institut Ordo Iuris zapowiedział, że przedstawi kolejny okrutny projekt ustawy: wprowadzającej zakaz korekty płci u nastolatków. Trzy lata więzienia miałyby grozić lekarzowi, który przeprowadzi zabieg związany z korektą płci u osoby poniżej 18. roku życia. Nie wiadomo na razie, czy chodzi także o zakaz podawania hormonów albo nawet samej diagnostyki. Obowiązujące w Polsce prawo zezwala, by niepełnoletni mogli zaczynać korektę płci za zgodą rodziców. – *Byłby to zwrot w kierunku, z którego właśnie wychodzimy, czyli podziemia transzycyjnego. Dotarcie do hormonów bez udziału lekarza jest bardzo proste. Procesy zmiany medycznej bez udziału profesjonalnej pomocy staną się powszechne. Będzie więcej ofiar wśród młodych ludzi, także prób samobójczych. Więcej młodych ludzi będzie uciekało z domów, wyjeżdżało z Polski* – komentuje Helena Zakliczyńska, internistka i seksuolożka, współpracująca z osobami transpłciowymi, dorosłymi i dziećmi.

Ordo Iuris uważa, że zmiany w prawie związane z korektą są konieczne ze względu na przypadki „okaleczania młodych ludzi”. Przedstawiciel OI Rafał Dorosiński powołuje się na historię blogera Łukasza Sakowskiego, który wyjawiał, że przeszedł procesy detranzycji, czyli tranzycji, a następnie wycofania się z niej. Na Facebooku opisał, że w wieku 13 lat padł ofiarą manipulacji ze strony transpłciowej osoby, która namawiała go do przyjmowania hormonów. – Śledząc literaturę profesjonalną na ten temat, nie spotkałam się z informacją, że powodem



takiej decyzji jest pomyłka co do swojej tożsamości płciowej. Powody detranzycji to finanse i uwarunkowania społeczno-kulturowe, czyli niemożność znalezienia pracy, wykluczenie społeczne oraz wykluczenie z rodziny – tłumaczy dr Zakliczyńska.

Działacze wpływowej na prawicy organizacji twierdzą, że są „otwarceni na współpracę ze wszystkimi zainteresowanymi parlamentarzystami i liczą, że znajdzie się grupa gotowa zgłosić projekt do prac legislacyjnych”. Trudno tę wyciągniętą dłoń fundamentalistów z OI zlekceważyć, zwłaszcza że PiS w swej wyborczej grze znów sięgnął po kartę „seksualizacji dzieci”, której rzekomo chce zapobiec. Na początku maja Jarosław Kaczyński ogłosił poparcie dla projektu „Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców”, który jest obywatelską inicjatywą dotyczącą ustawy ograniczającej działalność NGO-sów w szkołach i przedszkolach. Tymczasem pod gotowym projektem OI, zgłoszonym jako poselski, nie trzeba zbierać minimum 100 tys. podpisów. I można go procedować jeszcze przed wakacjami. Albo we wrześniu, tuż przed wyborami. Wszak nic tak nie mobilizuje wyborców, jak konflikty światopoglądowe. (AGSZCZ)



Prawie razem

W redakcji POLITYKI odbyło się 17 maja niecodzienne spotkanie: na jednej scenie usiedli czolowi politycy demokratycznej opozycji: **Krzysztof Gawkowski**, szef klubu parlamentarnego Lewicy, **Tomasz Siemoniak**, wiceprzewodniczący PO, **Władysław Kosiniak-Kamysz**, prezes PSL i **Michał Kobosko**, wiceszef Polski 2050. Pretekst był znaczący, goście otrzymali bowiem „Rekomendacje programowe. Jaka Polska po wyborach 2023”, czyli podsumowanie cyklu 17 debat, które trwały od września zeszłego roku do marca br. Brali w nich udział eksperci z wielu dziedzin, ale również przedstawiciele partii opozycyjnych. Dopracowano się wielu wspólnych stanowisk w kwestii m.in. reformy wymiaru sprawiedliwości, oświaty, mediów publicznych, samorządów, polityki społecznej, roli służb specjalnych czy pozycji Kościoła w państwie. I choć, jak mówiono podczas prezentacji raportu z paneli, zdarzały się w dyskusjach różnice zdań i wizji (np. w kwestii wprowadzenia waluty euro w Polsce), zdecydowanie przeważał konsens i było widać, że jest na czym budować rząd po wygranych przez opozycję wyborach.

Do raportu zapewne będzie się jeszcze często wracać, zaś wizyta czwórki liderów w redakcji była dobrą okazją do poważnej rozmowy o bieżącej sytuacji. Redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński zaapytał gości, jak sobie wyobrażają ścieżkę prowadzącą do stworzenia rządu, dlaczego nie powstał dotąd komitet porozumiewawczy opozycji, który świadczyłby o współdziałaniu już teraz, zwłaszcza że wybory będą trudne i działać trzeba będzie od pierwszego dnia po głosowaniu. Zaproszeni liderzy dość zgodnie stwierdzili, że szefowie

partii opozycyjnych pozostają ze sobą w kontakcie, co pozwala na tworzenie paktu senackiego i wygrywanie niektórych głosowań w Sejmie, choć zgodzili się, że na zewnątrz tego nie widać, co może prowadzić wyborców do pewnej frustracji. Krzysztof Gawkowski przypomniał, że skoro nie powstała wspólna lista, Lewica proponuje „wspólny pakt rządzenia”, a więc deklarację co do najważniejszych celów programowych opozycji. Jego zdaniem kluczowa jest mobilizacja, której taki pakt by się przysłużył, i nie wolno ulegać samozadowoleniu, „że jest dobrze, skoro jest źle”. Tomasz Siemoniak zapewnił, że liderów opozycji więcej łączy, niż dzieli. Ale, jak dodał, dzisiaj najważniejsza jest praca w terenie, w powiatach, przekonywanie ludzi żyjących lokalnymi sprawami, a mniej się liczą „wspólne występy polityków w blasku fleszy”. „Nie ma jednego świętego Graala, którym wygrywa się wybory” – mówił wiceszef PO.

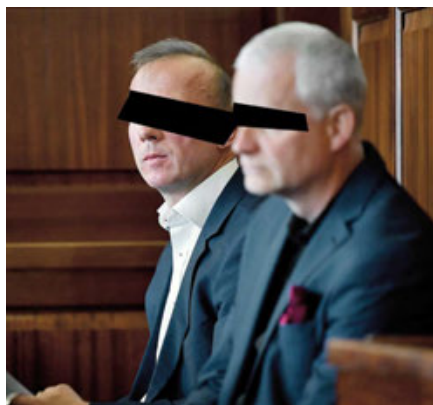
Michał Kobosko przypomniał, że jego partia proponowała innym ugrupowaniom opozycji debaty programowe, ale nie doszło do nich, udało się za to porozumieć Polsce 2050 z PSL i jest to „atrakcyjna propozycja dla niezdecydowanych wyborców”. Na komitet porozumiewawczy jest, zdaniem Koboski, już za późno, bo zaraz powstaną sztaby wyborcze i zapanuje logika kampanijna, ale: „Rozmowa o planie działania na pierwsze 100 dni jest absolutnie potrzebna” – zaznaczył. Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślał wagę sojuszu wyborczego Polska 2050-PSL i zapewnił, że choć jednej listy nie ma, to będzie wspólny rząd. „Nie różnimy się co do tego, że trzeba te wybory wygrać, ale co do tego, jak tego dokonać” – mówił prezes PSL. Powiedział też, że będzie zachęcał do głosowania na swoją formację, ale również namawiał tych, którzy mają inne poglądy, do oddania głosu na KO lub Lewicę.

Wszyscy obecni liderzy mówili, że zdają sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa. Zapewnili, że zrobią, co w ich mocy, aby dokonała się „zmiana, której chcą Polacy”, jak wynika z badania opublikowanego w poprzedniej POLITYCE. Mają nadzieję, że skończyła się „smuta marcowa”, kiedy to nastroje w opozycyjnym elektoracie gwałtownie się pogorszyły, i że teraz antyPiS jest ponownie na fali wznoszącej, co widzą na spotkaniach wyborczych. (MAJ)

Afera PCK: byli politycy PiS będą siedzieć?

Były poseł i szef wrocławskich struktur PiS **Piotr B.** ma zwrócić Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi 506 tys. zł, zapłacić 80 tys. zł grzywny i odsiedzieć 2 lata i 7 msc. więzienia. Na 3,5 r. skazano byłego radnego wojewódzkiego PiS, dyrektora wrocławskiego oddziału PCK i protegowanego europosłanki Anny Zalewskiej – **Jerzego G.** Rafał Holanowski, były prezes wrocławskiego PCK, biznesmen związany z ubezpieczeniami, został uniewinniony. Wyrok jest nieprawomocny, więc zapewne i prokuratura, która domagała się wyższych wyroków, i obrońcy skazanych będą składać apelacje.

Aferę PCK ujawniono w 2017 r. Dolnośląskie media dotarły wtedy do świadków, którzy twierdzili m.in., że w latach 2014–15 lokalni politycy PiS wykorzystywali pracowników PCK do kampanii wyborczej, a z samej instytucji wyciekały tysiące złotych na konto firmy założonej na tzw. słupa. Ruszyło śledztwo, za nim pojawiły się aresztowania. Zdaniem prokuratury



wyprowadzono ponad 3 mln zł – PCK współpracował z fundacją Supra, kontrolowaną przez Holanowskiego, która miała pomagać w zbieraniu używanej odzieży i sprzedawaniu jej firmie Wtórpol. Pieniądże miały zasilać konto PCK z przeznaczeniem na pomoc najuboższym i początkowo tak było, ale po jakimś czasie miało dochodzić

do defraudacji. Sąd we Wrocławiu uznał, że Holanowski o przekrętach nie wiedział. Były poseł i były radny PiS bronili się, przekonując, że prokuratura nie przedstawiła dowodów ich winy, a świadkowie, na których się powoływała, są niewiarygodni.

Do tej pory nie wyjaśniono kwestii wyprowadzania pieniędzy z PCK na kampanię wyborczą PiS – mówił o tym Bartłomiej Ł., były pracownik PCK, który zdecydował się na współpracę z prokuratorem. To jedyny oskarżony, który przyznał się do winy i wyraził skruchę. W 2015 r. wpłacił 7 tys. na kampanię PiS. I wymienił w kontekście nielegalnego finansowania kampanii byłą minister edukacji Annę Zalewską, która oskarżeniom zaprzecza.

Materiały z samorządowej kampanii w 2014 r. i wyborów parlamentarnych z 2015 policjanci znaleźli w siedzibie PCK we wrześniu 2017. Były to m.in. banery opisane nazwiskiem europosłanki. W 2022 r. Onet ujawnił, że prokuratura nie poruszyła w śledztwie dotyczącym afery PCK kwestii kampanii, a Zalewska nie została w tej sprawie przesłuchana. (KK)

Niewidzialny szczyt

Adam Bodnar

Dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS,
rzecznik praw obywatelskich w latach 2015–21.



W ostatnim tygodniu w Reykjavíku odbył się szczyt Rady Europy. Do stolicy Islandii przylecieli liderzy 46 państw, w tym Andrzej Duda. Wołodymyr Zełenski wysłał premiera, a sam przemawiał zdalnie. Na szczycie pojawiła się także Ursula von der Leyen. Okazja była niebagatelna. Od poprzedniego szczytu RE upłynęło 18 lat. Decyzja, aby po tylu latach spotkali się liderzy państw europejskich, związana jest z wojną w Ukrainie oraz wyrzuceniem Rosji z Rady Europy. Najstarsza w Europie organizacja wymaga wzmocnienia oraz reform, aby skutecznie bronić praw człowieka, demokracji oraz praworządności. Mogłoby się wydawać, że było to istotne wydarzenie. Niestety tylko nieliczne media dostrzegły, że szczyt w ogóle się odbył. Przyjęta przełomowa deklaracja z Reykjavíku była tylko wzmiankowana i nie budziła takiego zainteresowania jak choćby „cud z Parczewa”. Sprawy międzynarodowe zazwyczaj spychane są w Polsce na margines głównego nurtu debaty; wielu obywateli pewnie nie widzi wielkiej różnicy między Radą Europy a organami UE, takimi jak Rada Europejska czy Rada Unii Europejskiej.

Starałem się zachęcić jednego dziennikarza do zainteresowania tematem szczytu. Wszystkie merytoryczne argumenty były zbywane miną politowania. Dopiero jak powiedziałem, że na szczycie będzie Andrzej Duda i że z punktu widzenia polskiej racji stanu ważna jest obecność na tak wysokim szczeblu, dostrzegłem w oczach dziennikarza szansę na... klikalność – na zasadzie: „Bodnar chwali prezydenta”.

Ale problem jest znacznie głębszy. Od 2015 r. obóz rządzący skutecznie nam obrzydza jakiegokolwiek formy zaangażowania organizacji międzynarodowych w nasze sprawy. Wszelka krytyka jest ignorowana, orzeczenia Trybunału w Strasburgu nie są respektowane, a współpraca z różnymi komitetami monitorującymi traktowana jest jak zło konieczne. Dochodziło nawet do tak skandalicznych sytuacji jak niewypuszczenie komisarza praw człowieka Rady Europy Dunji Mijatović do strefy przygranicznej. Jeśli już dobrze się mówi o organizacjach międzynarodowych, to tylko wtedy, kiedy jakiś przedstawiciel obozu rządzącego może tam przez chwilę zablyszczyć. Niestety tego typu atmosfera udziela się światu liberalnemu. Organizacje międzynarodowe są dostrzegane wtedy, kiedy mogą być użyteczne politycznie. Wtedy przywoływane są ważne wyroki strasburskie, a opinie Komisji Weneckiej stają się orężem w walce. Z kolei media przodują wtedy, kiedy zagrożone są ich bieżące interesy. Nie dyskutujemy, jak działają te organizacje czy też jaką rolę mogą odgrywać w kontekście odpowiedzialności Rosji za zbrodnie wojenne.

Obsługujemy też w Polsce erozję instytucji państwowych. Już mało który organ staje się trwałym punktem odniesienia. W sposób naturalny powinniśmy się odwoływać do tych instytucji międzynarodowych, gdzie dominuje analiza opierająca się na faktach i wiążących nas umowach, a nie na bieżących interesach politycznych. Orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka to nie tylko przyznanie sprawiedliwości ofiarom, ale także kronika naszych czasów. Raporty Komitetu Przeciwdziałania Torturom to z kolei silne wsparcie dla tych, którzy przejmują się warunkami w więzieniach czy ośrodkach deportacyjnych.

Jesteśmy pełni frazesów o naszej europejskości, jednak jak trzeba wykonać konkretną pracę i rozważyć, jak wzmocnić współpracę międzynarodową, to w tej debacie nie uczestniczymy. Zamiast rozliczyć Andrzeja Dudę i polską dyplomację ze stanowisk podjętych w czasie szczytu, roztrząsamy kwestie, które za dwa dni zostaną zapomniane. Takie zaniedbanie to więcej niż grzech.

Uskrzydleni obietnicami

Samoloty wielozadaniowe **F-16** w końcu trafią do Ukrainy. Zgoda Białego Domu zapadła po ponad roku apeli ukraińskiego prezydenta. I mimo tej zwłoki wywołała euforię. Warunkiem Waszyngtonu jest jednak, by F-16 nie bombardowały Rosji, choć pytanie, czy coś powstrzyma Kijów przed odpaleniem pocisków manewrujących o zasięgu kilkuset kilometrów, które Ukraińcy mają otrzymać z Francji i Wielkiej Brytanii?

Lotniczy pakiet ogłoszono na razie bez terminu realizacji, liczby samolotów ani wskazania dostawców. Wstępnie zgłosiły się Belgia, Dania, Holandia – europejscy użytkownicy starszych wersji F-16, którzy zastępują je myśliwcami nowej generacji F-35. Wielka Brytania ma pomóc w szkoleniu pilotów. Sztab w Kijowie sugeruje, że zachodnie maszyny pojawią się już jesienią, co po superszybkich szkoleniach na czołgach, haubicach, a nawet Patriotach jest całkiem realne.

Nadmierne skracanie lotniczej edukacji niesie jednak dużo większe ryzyko dla załóg i sprzętu niż w przypadku systemów lądowych, więc sam pośpiech nie powinien być celem. Amerykanie mówią wyraźnie, że F-16 to inwestycja na przyszłość, a nie na teraz. Gdyby Ukraina przystąpiła do kontrofensywy w najbliższych tygodniach, zachodnie samoloty w niej nie pomogą. A jeśli nie ma przygotowanych do szkolenia pilotów i techników, skierowanie lotników do zachodnich baz może nawet utrudnić operację.

Decyzja o przekazaniu myśliwców, przed którą jeszcze kilka miesięcy temu wzbierał się Joe Biden, może oznaczać tylko jedno – Zachód doszedł do wniosku, że bez lepszego sprzętu Ukraina nie wyprze Rosji z okupowanych terenów. Szczególnie że w oczekiwaniu na kontratak Ukrainy Rosja ponawia coś w rodzaju własnej ofensywy powietrznej. Intensywne bombardowania miast przy użyciu pocisków manewrujących i dronów znów zdarzają się codziennie lub co kilka dni.



Rosja odzyskała zdolność produkcji broni dalekiego zasięgu albo skupuje ją od swoich sojuszników, czym powtarza model zachodniej pomocy dla Ukrainy. Rosjanie przejęli też schemat użycia bezzałogowców i amunicji krążącej przeciwko ukraińskiej artylerii i czołgom, ofiarą tandemowych uderzeń padają również polskie armatohaubice samobieżne Krab. Dlatego nad ukraińskim sprzętem zaczynają pojawiać się wyśmiewane na początku wojny siatki ochronne, mające zatrzymać drony kamikadze.

Rosja nie daje za wygraną też pod Bachmutem. A ukraińskie wypadły na północ i południe od miasta mogły być ostatnim zrywem obrońców. Jewgienij Prigożyn już drugi raz pochwalił się zdobyciem Bachmutu i choć Ukraińcy zaprzeczają upadkowi miasta, prezydent Wołodymyr Zełenski przyznał, że twierdza pozostaje już tylko w ukraińskich sercach, bo nic z niej nie zostało.

MARKŁ ŚWIERCZYŃSKI

Grecja z dogrywką

Wybory parlamentarne w Grecji wygrali rządzący konserwatyści. Partia Nowa Demokracja zdobyła 41 proc. głosów, co jej lider i premier – **Kyriakos Mitsotakis** – uznał za apel Greków, aby ich kraj nadal prowadzony był „doświadczoną ręką trzymającą ster”. Nowa Demokracja ma ponad 20 pkt proc. przewagi nad drugą w stawce lewicową Syriza i prawie 30 pkt proc. nad centrolewicowym PASOKiem, ale nie zdobyła samodzielnej

większości. Mitsotakis wyklucza jednak rozmowy koalicyjne i już w wieczór wyborczy zapowiadał powtórkę wyborów. Liczy na premię związaną z ich ordynacją, która przewiduje dodatkowe mandaty dla zwycięskiego ugrupowania – wystarczająco dużą, by uzierać jednopartyjną większość parlamentarną.

Partii Mitsotakisa nie pogrzebały liczne trudności. Grecy zmagają się z wysokimi kosztami życia, co trzeci obywatel zalega z rachunkami, co jest najwyższym poziomem w Unii. Konto szefa rządu obciążała też lutowa katastrofa kolejowa, najpoważniejsza w historii Grecji, w której

zginęło 57 osób. Z drugiej strony kraj wychodzi z pasma głębokich kryzysów i trwającego od kilkunastu lat zaciskania pasa. Za cenę wyrzeczeń udało się zmniejszyć poziom zadłużenia i koszty jego obsługi, spadło bezrobocie, a ożywienie pozwoli w tym roku gospodarce wrócić do poziomu z 2010 r.

Nowej Demokracji nie przeszkodziły też zarzuty o kroczenie węgierską czy polską drogą, w tym afera podsłuchowa (inwigilowani byli m.in. opozycjoniści i dziennikarze), oskarżenia o zamach na praworządność i knebrowanie mediów, wypychanie z powrotem na morze uchodźców oraz przetrzymywanie ich w ośrodkach przypominających więzienia. „Wiadomość do Brukseli? – komentował wyniki wyborów w serwisie Politico Thanasis Bakolas, były doradca Mitsotakisa, a dziś sekretarz generalny Europejskiej Partii Ludowej – ten wynik jest jasnym przesłaniem skierowanym przeciwko wszystkim spoza Grecji, którzy uporczywie kwestionują jakości greckiej demokracji i wolę narodu greckiego”. Brzmi znajomo?



Powrót Asada

Jak długo trwa rehabilitacja zbrodniarza? Prezydent Syrii **Baszar Asad** czekał 11 lat. W piątek pojawił się na szczycie Ligi Państw Arabskich w saudyjskiej Dżuddzie, gdzie powitał go ciepło **Muhammad bin Salman**, następca saudyjskiego tronu i – w porównaniu do Asada – zbrodniarz początkujący. Saudyjczycy starają się budować na Bliskim Wschodzie nowy porządek – już bez Amerykanów, za to z kluczową rolą swojego królestwa. Syria jest tu niezbędna, m.in. ze względu na położenie.

Saudyjska rehabilitacja Asada dokonywała się stopniowo. Jeszcze dekadę temu sponsorowane przez Saudyjczyków oddziały partyzanckie próbowały obalić Asada. Ale już kilka lat temu Saudyjczycy i ich sojusznicy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich zaczęli negocjować z Damaszkiem powrót do kraju syryjskich uchodźców, głównie z Libanu i Jordanii. Oba tym krajom groził potężny kryzys humanitarny. Drugim argumentem za rozmowami z Asadem była próba powstrzymania nielegalnego handlu kaptagonem, silnym narkotykiem, którym Syria zalewa Bliski Wschód i który jest dla niej jednym z głównych źródeł dochodu.

Choć znaczenie Ligi Państw Arabskich jest coraz mniejsze, Cto obecność Asada w Dżuddzie była jego osobistym triumfem. Symbolicznie zakończyła ponad dekadę izolacji „syryjskiego rzeźnika”, odpowiedzialnego m.in. za użycie broni chemicznej przeciwko demonstrantom, ataki na szpitale i inne budynki cywilne. Asad w ten sposób próbował stłumić tzw. arabską wiosnę, która wybuchła w Syrii w 2011 r. Ostatecznie udało mu się przy pomocy wspieranych przez Iran bojówek i rosyjskiego lotnictwa, choć wciąż nie odzyskał kontroli nad całym krajem. Inne rządy arabskie długo opierały się normalizacji stosunków z Asadem – głównie z powodu sprzeciwu swoich obywateli. Ale w większości tych państw ich zdanie się nie liczy. Tak jak w Emiratach, które zaprosiły nawet Asada na organizowany przez siebie w tym roku szczyt COP – będą tam rozmawiać o ociepleniu klimatu.

Bardzo amerykański kryzys

Największej potędze świata znów grozi niewymuszone bankructwo. Jak niemal co roku, Stany Zjednoczone zbliżają się do limitu zadłużenia – wynoszącego obecnie 31 bln dol. – po przekroczeniu którego państwo nie będzie mogło się już zadłużać. Podobne limity funkcjonują w wielu państwach, w tym w Polsce, ale zazwyczaj ustala się je w stosunku do PKB – limit w liczbach bezwzględnych to amerykańskie kuriozum, które regularnie jest okazją do targów między Białym Domem i Kongresem o sprawy często bez związku z zadłużeniem. Tym razem targ zapowiada

się wyjątkowy, gdyż Ameryka szykuje się na kampanię prezydencką.

Departament Skarbu ostrzega, że jeśli Kongres nie podniesie limitu, już 1 lipca zabraknie pieniędzy m.in. dla pracowników federalnych, części wojskowych i na pomoc socjalną. Może to również wywołać chaos na międzynarodowych rynkach. Rozmowy ostatniej szansy między prezydentem Joe Bidenem i Kevinem McCarthym, republikańskim liderem Izby Reprezentantów, która zajmuje się sprawami budżetowymi, rozpoczęły się, gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI. Republikanie, w zamian za podniesienie limitu, domagają się cięć wydatków budżetowych, przede wszystkim na programy socjalne, które mają być przepustką Bidena do drugiej kadencji.

Prezydent, który skrócił podróż zagraniczną, aby negocjować z McCarthym, sugeruje ustępstwa, ale obaj są zakładnikami skrajnych frakcji swoich ugrupowań. Część Demokratów domaga się od Bidena „opcji atomowej”, czyli skorzystania z 14. poprawki do konstytucji, która mówi, że ważność długu publicznego USA „nie będzie kwestionowana”. Czyli że cały ten limit zadłużenia jest po prostu niekonstytucyjny.

Amerykanie, którzy nie muszą martwić się o pensje, robią sobie zapewne popcorn, siadają na kanapach i szykują się na kolejny bardzo amerykański kryzys: groźba zagłady, rozmowy ostatniej szansy, kolejny cud i zażegnanie kryzysu. Przynajmniej tak było dotychczas.



Tusk plus

Kraków Hala Wisły, spotkanie z Donaldem Tuskiem i Rafałem Trzaskowskim.

Jeszcze nigdy w swojej bogatej politycznej karierze Donald Tusk nie cieszył się takim uwielbieniem fanów jak dziś. Ale czy to wyraz jego osobistej siły, czy też niedostatków formacji, na czele której stara się wrócić do władzy? Właśnie kończy się jego trasa po województwach. I pojawiło się 800 plus.

RAFAŁ KALUKIN

Do rozpoczęcia spotkania jeszcze prawie godzina, a już niemal wszystkie miejsca siedzące na dole są pozajmowane. Trzeba będzie otworzyć wejścia na trybuny, chociaż i tam niedługo zrobi się komplet. Wedle szacunków organizatorów tego popołudnia przybyło do hali krakowskiej Wisły mniej więcej 4,5 tys. chętnych posłuchać, co mają do powiedzenia Donald Tusk i Rafał Trzaskowski.

Zazwyczaj spontanicznie, nikt się tutaj nie obnosi z partyjnymi emblematami. Platformerskich notabli można policzyć na palcach, ale też o tej samej porze na terenie całej Małopolski odbywa się kilkadziesiąt innych otwartych spotkań z wyborcami, w których biorą udział niemal wszyscy parlamentarzyści KO. Tutaj w Krakowie średnia wieku na sali jest raczej wysoka, wyraźnie przeważają siwe głowy. Trochę wbrew oficjalnemu szyldowi akcji #TuJestPrzyszłość. Chociaż publicy bynajmniej nie brakuje werwy. Kiedy pojawią się obaj bohaterowie, faktycznie będzie można się poczuć jak w wnętrzu ula. Co też Tusk od razu podchwyci, bo terminologia pszczelarska akurat jest na fali. Dzień wcześniej zakończyła

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

się konwencja PiS, dziwacznie ochrzczona przez Jarosława Kaczyńskiego mianem ula programowego.

Koincydencja czasowa obu zdarzeń była przypadkowa, niemniej podniosła rangę krakowskiego wystąpienia Tuska. Nie ulegało wątpliwości, że lider odniesie się do najnowszych obietnic rządzących. Szczególnie 800 plus, które co bardziej wyrwyni komentatorzy zdążyli już ogłosić *gamechangerem* rozstrzygającym na korzyść PiS losy tej kampanii.

Szef Platformy zaraz po przywitaniu przeszedł więc do sprawy, ostrożnie dobierając słowa i wyraźnie zabiegając o precyzję wypowiedzi. Co zrozumiałe, bo jego komunikat okazał się w jakimś sensie wewnętrznie sprzeczny. Werbalnie Tusk zdystansował się od narzuconej przez PiS licytacji socjalnej, podkreślając jej szkodliwość i wzywając rywala do opamiętania się. Ale zarazem podniósł poprzeczkę, dokładając własne postulaty na kolejne dziesiątki miliardów złotych.

A więc po pierwsze, przyspieszyć waloryzację świadczenia na dziecko, tak żeby beneficjenci odczuli to już od czerwca. Po drugie, podnieść kwotę wolną od podatku do 60 tys. zł. I po trzecie, uchwalić intensywnie lansowane przez PO „babciowe”. Bo – jak mówił Tusk – państwo musi wspierać również tych, którzy składają się do budżetu, czyli pracujących. Ale taka jest od dłuższego czasu doktryna liberalnej kiedyś Platformy, która ciągle musi uzasadniać swój wymuszony politycznymi realiami socjalny zwrot. Tylko czy można wiarygodnie obsłużyć dwie krańcowo odmienne narracje, zaadresowane do różnych grup wyborców? Z jednej strony tych rozczarowanych PiS, których Kaczyński raz jeszcze próbuje zmobilizować socjałem oraz strachem przed liberałami, co z kolei Tusk próbuje teraz osłabiać. Z drugiej ciągle liczących się wolnorynkowych wyborców, do których wdzięczy się Konfederacja.

Stąd uważność Tuska w doborze słów, jak również niepewność malująca się na twarzach stojących w rogu sali jego sztabowców. Bo też odpowiedź na zagrywkę PiS, choć sama w sobie ofensywna, w pierwszej kolejności miała za zadanie zneutralizować ewentualne straty: chodzi o to, aby Kaczyńskiemu nie urosło w sondażach, a PO nie straciła, i o nic więcej. To gra o brak zysków drugiej strony. Jeżeli PiS ulegnie i zgodzi się głosować 800 plus już teraz, Platforma ogłosi, że to dzięki niej wyborcy otrzymają finansowy konkret i osłabi zasługi obozu władzy. A jeżeli odmówi – co zresztą zasugerował w kolejnych dniach Kaczyński – będzie można podważyć jego intencje i wiarygodność. Tylko czy sceptycy wobec rozdawnictwa wyborcy PO zrozumieją tę grę, przyjmą regułę, że w starciu z populistami trzeba stosować różne, w tym ryzykowne chwytły?

PiS po początkowym zamieszaniu uruchomił swoją fabrykę przekazów o „niwiarygodnym oszuście Tusku”, co jak zwykle przeniknęło także do części „bańki” drugiej strony. Zaczęły się w niej pojawiać opinie, że to jednak Kaczyński przechrzył Tuska, wciągając go na swoje socjalne poletko.

Dopiero jednak sondaże pokażą, kto okazał się skuteczniejszy w tym starciu o 800 plus, ale jeżeli krakowskie spotkanie potraktować jako test, to nie powinno być problemu. Zgromadzonym odpowiedź Tuska zdecydowanie przypadła do gustu. Jak zresztą wszystko, co zostało tego dnia powiedziane. Niemal każda wypowiedź szefa Platformy i towarzyszącego mu prezydenta Warszawy została uznana za ekscytującą. Nawet wielokrotnie powtarzane hasła o konieczności odsunięcia od władzy PiS. Zblazowany, symetryzujący komentarz nie miałby tutaj czego szukać, gdyż fani Tuska wcale nie oczekują tzw. programowych konkretów ani tym bardziej wysublimowanej wizji Polski po PiS. Wystarczy im, że jest tym Tuskiem, którego już znają

– zwinnym retorycznie, dosadnym, na luzie. „Papieża Polaka pan nie przebijaj, ale po papieżu Polaku to pan jest najmądrzejszy, najrozsądniejszy i jeden jedyny polityk” – słodziła Tuskiowi jedna z uczestniczek mitingu, wywołując aplauz na trybunach.

Po zaliczeniu takiej imprezy sympatykowi opozycji niemalże rosła skrzydła. Pryska obawa o wynik jesiennych wyborów. Powiedzieć, że wygramy, to za mało; jesteśmy zdeterminowani i zmobilizowani, bo racja jest po naszej stronie, bo mamy świetnych przywódców, Tuska i Trzaskowskiego. Kolejność nieprzypadkowa, co było doskonale widać po wystąpieniach końcowych, kiedy nadszedł czas na autografy i wspólne zdjęcie: szpaler wokół byłego premiera był trzy, może cztery razy większy. Chociaż to Trzaskowski wydawał się bardziej energetyczny. Prowokował bojowe nastroje, wzywając do rytmicznego skandowania, podczas gdy Tusk zazwyczaj uprawiał swój typowy, nieco ironiczny stand-up.

Inaczej niż podczas wspólnego występu w Białej Podlaskiej, nie było widać między nimi napięcia. Tuskowi zdarzyło się nawet nawiązać do nieznacznie przegranej kampanii prezydenckiej i stwierdził, że „dla mnie prezydentem w sercu jest Rafał Trzaskowski”. To czytelne uhonorowanie ambicji młodszego kolegi i sugestia podziału ról: jeden idzie teraz na premiera, a drugi później na prezydenta. Co oznacza zawieszenie broni pomiędzy nimi, w tej kampanii mają stanowić tandem. Dokładnie tego oczekuje zresztą publiczność, która nie przyjmuje do wiadomości, że ich ulubieńców mogłoby coś poróżnić.

Problem w tym, że słupki KO jakoś nie chcą od dawna rosnąć. Frekwencyjne sukcesy na spotkaniach Tuska to jak na razie jedynie *erzac* tłumy wyborców w kolejce do urny. Akcja objazdowa już finiszuje i pobrzmiwa pytanie, dlaczego w sondażach wciąż nie widać tego entuzjazmu? Co bardziej sceptycznym wobec Tuska politykom PO zdarza się czasem utyskiwać, że szef przy całym swoim ogromnym doświadczeniu wyciąga zbyt daleko idące wnioski. Zbывая uwagi o sondażowej stagnacji, lubi podobno podkreślać, że nawet w najlepszych czasach nie budował takich relacji z wyborcami jak teraz, co musi wcześniej czy później zaprocentować. Tym, którzy – jak autor tego tekstu – mieli okazję oglądać Tuska z bliska w jego zwycięskich kampaniach w 2007 i 2011 r., zapewne przyjdzie się z tym zgodzić. Tak emocjonalnych reakcji, wręcz uwielbienia tłumy szef Platformy nigdy dotąd nie wzbudzał. Pytanie, czy zawdzięcza to własnemu zdolnościom, czy szerszym socjopolitycznym uwarunkowaniom?

Od mitycznej kampanii w 2007 r. minęły lata świetlne i trudno ją porównywać z obecną. Niby już istniały całodobowe kanały informacyjne TV, był oczywiście internet, ale liderowi na kampanijnym szlaku nie towarzyszyły jeszcze na każdym kroku kamery i mikrofony. Ówczesne podróże Tuska po kraju nie były więc tak regularne, a ich kierunki często przypadkowe. Na oficjalnych konwencjach wygłaszał precyzyjnie skonstruowane wystąpienia, ale już na wieczornym spotkaniu z garstką sadowników gdzieś na końcu Polski, dokąd ekipy telewizyjne nie docierały, potrafił zdjąć krawat, poluzować narrację (skądinąd to słowo jeszcze w politycznym słowniku nie figurowało) i mówić od serca niepopularne rzeczy. Jego sprawność w panowaniu nad zbiorowym nastrojem głównie dawała o sobie znać na partyjnych konwentach. W spotkaniach ze zwykłymi ludźmi bywał dosyć nieśmiały, co nawet mogło budzić sympatię. Tylko że tamten Tusk ogólnie był jeszcze dosyć letni.

Pierwsza fala oddolnego uwielbienia pojawiła się dopiero na finiszu kampanii, po słynnej debacie telewizyjnej z Kaczyńskim. Ale też nie było jeszcze aż tak głębokiej oddolnej polaryzacji, podobnie jak zorganizowanego politycznego hejtu, fabryk trolli itd. Cztery lata później znajdował się u szczytu kariery. ►

► Był premierem polskiego rządu po pierwszej, ogólnie udanej kadencji. Ślepo oddana mu partia prowadziła w sondażach, a tkwiący w oparach smoleńskiego szaleństwa PiS długo nie wydawał się godnym rywalem. Kampania PO była jednak niemrawa. Platforma oblepiła kraj plakatami z gospodarskim hasłem „nie robimy polityki, budujemy drogi”, co miało dodatkowo podkreślać dystans dzielący ją od taśmowo produkującego teorie spiskowe rywala. Tylko że ówczesna stabilizacja na polskiej „zielonej wyspie” była mimo wszystko krucha i wystarczył sfrustrowany paprykarz z jego nośnym pytaniem „Panie premierze, jak żyć?” podczas jednego z wypadów w teren, wałkowanym później przez media, żeby cały plan na kampanię się zachwiały. Na kilkanaście dni przed wyborami platformersom zajaśniało w oczy widmo przegranej. I wtedy stary druh Jan Krzysztof Bielecki miał powiedzieć Tuskiowi: „Jak nie ruszysz osobiście, przegramy”.

Dzisiaj kampania w autokarze jest rutyną, ale 12 lat temu to była nowinka. Inspiracji dostarczył brytyjski premier David Cameron, w tamtym czasie wschodząca gwiazda europejskiej polityki (później niesławny za sprowokowanie brexitu), który dopiero co wygrał wybory dzięki intensywnym podróżom po całym kraju. Tak samo objeżdżający Polskę „tuskobus” z premierem na pokładzie okazał się strzałem w dziesiątkę. Tym razem kluczowa była inteligencja emocjonalna Tuska, perfekcyjnie wyszlifowana od czasu poprzedniej kampanii. Premier nie miał żadnych obaw wchodzić w sam środek spontanicznych zgromadzeń na rynkach miast i miasteczek, chociaż zdawał sobie sprawę, że spotka się tam nie tylko z objawami sympatii. Wysłuchiwał też żali, złorzeczeń, czasem spazmatycznych szlochów. A wszędobylskie kamery skrzętnie to pokazywały, podważając oficjalną opowieść o wartko płynącej z polskich kranów ciepłej wodzie. Ryzyko było więc spore, ale Tusk był wtedy w wielkiej formie. Z ojcowską empatią obejmował i przytulał nieszczęśników, którzy przychodzili poskarżyć się na swój los, biedę, przeżyte dramaty. Przeciwników umiał jednym zdaniem rozbroić, zbić z tropu, pozbawić pewności siebie. Choćby stanowali zwartą kibolską bojówkę.

Chociaż nawet wtedy nie był jeszcze politykiem tak mocno adorowanym przez fanów jak teraz. Nie upatrywano w nim mesjasza, bo też i perspektywa powrotu rządów PiS nie była dość wyraźna. Zresztą mało kto przypuszczał, jak daleko może się posunąć Kaczyński w rujnowaniu demokracji. Co ciekawe, pasażer „tuskobusa” w ogóle nie wymawiał wtedy nazwiska swojego wielkiego rywala. Nie mówił nic o PiS, niewiele o Platformie. Prawie niczego też nie obiecywał, nie wchodził w licytacje. Można było odnieść wrażenie, że na całej scenie jest miejsce tylko dla samotnego premiera Tuska, który bierze się za bary z trudnymi polskimi sprawami. Reszta wydawała się odległa, nieistotna.

Już pobieżny ogląd pokazuje więc, jak bardzo od czasu poprzedniej zwycięskiej kampanii Tuska zmieniła się Polska, nasze oczekiwania wobec polityki, realia sceny politycznej, całe jej oprządkowanie. Jeśli wtedy Tusk był królem środka pola, to dziś jego formacja walczy o to, aby się w tym środku ponownie zalegalizować. Wtedy osobiście wyznaczał reguły gry, teraz próbuje się dopasować do reguł ustanowionych pod jego nieobecność. Paradoksalnie 12 lat temu nawet nie potrzebował uwielbienia tłumu, bo wystarczyło, że panuje nad zbiorową

wyobraźnią. Za to dzisiejsze hołdy pod jego adresem mają swoje źródło w ogólnej słabości Polski liberalnej, znękaney serią bolesnych porażek, na swój sposób upokorzonej. Kwieście fetowany Tusk przypomina jej czasy świetności, dawne triumfy. Nic więc dziwnego, że tak świetnie udaje mu się nawiązywać relacje w trakcie otwartych spotkań. Ale też wartość diagnostyczna tego spostrzeżenia nie jest specjalnie doniosła.

Co oczywiście nie znaczy, że da się zbagatelizować walory kończącego się objazdu po kraju. Cyklicznie rozbudzana euforia oczywiście tak całkiem nie gaśnie, uczestnicy dzielą się później tym doświadczeniem z innymi, co powinno sprzyjać mobilizacji. To również narzędzie przestawiania partii na tryb kampanijny. Każdy przystanek w regionie wiąże się z ogromnym wysiłkiem logistycznym dla struktur. Jednego dnia odbywa się wtedy po kilkadziesiąt, czasem ponad setka otwartych spotkań na terenie województwa z kilkusobowymi zespołami poselskimi. A do tego jeszcze po parę zamkniętych, np. z przedsiębiorcami, samorządowcami, rolnikami. Z frekwencją bywa różnie, bo podobno ludzie często się boją przychodzić, szczególnie kiedy są w jakimś sposób uzależnieni od władzy.



Może trzeba trochę odciążyć w kampanii Tuska? Sam Trzaskowski u boku nie wystarczy.

Ale i tak trzeba się sumiennie przygotowywać, bo o ile publiczności Tuska i Trzaskowskiego w wielkich halach widowiskowych zazwyczaj wystarcza ich retoryczna biegłość, to w terenie ludzie na ogół pytają o lokalne problemy. Na koniec dnia posłowie przekazują sztabowi Tuska uwagi z tych spotkań, co służy liderowi jako tworywo do wystąpienia nazajutrz, podczas wyjazdowej sesji klubu KO. To również stały element programu w każdym z regionów, mający w pierwszej kolejności promować lokalnych posłów na tle lidera.

Dla partii akcja jest zatem istotnym testem, które ogniwa działają już nieźle, a które jeszcze niedomagają. Skoordynowane działanie na taką skalę wymaga

współpracy, która dodatkowo cementuje regionalne struktury. Sukces organizacyjny poprawia zaś morale i motywuje do wysiłku we właściwej kampanii. Także podróżujący za Tuskiem posłowie na ogół są zadowoleni, bo pracując w zespołach, mają okazję się poznać, a wieczorami w hotelach kwitnie życie towarzyskie. Co też pomaga rozładować napięcia, których na tym etapie kampanii jest sporo. Wynik wyborczej rozgrywki w końcu niepewny, a do tego partię czeka trudny proces układania list.

Do końca objazdów pozostał już tylko Dolny Śląsk, Świętokrzyskie i Mazowsze. Zwieńczeniem akcji będzie wielki marsz 4 czerwca w stolicy. A co dalej? Tego nikt nie ujawnia, być może nawet nie zapadły jeszcze decyzje. Formuła otwartych spotkań z sympatykami wydaje się już wyczerpana, chociaż kampania bezpośrednia toczyć się pewnie będzie do samego końca. Może czas opuścić strefę komfortu i spontanicznie ruszyć w plener, jak kiedyś w „tuskobusie”? Albo trochę odciążyć Tuska, któremu coraz trudniej obsługiwać po kilka sprzecznych opowieści jednocześnie? Sam Trzaskowski u boku nie wystarczy, być może przydałaby się szersza obsługa z charakternymi politykami, którzy reprezentują rozmaite wrażliwości. Podsuwanych pomysłów jest sporo, niektóre już przećwiczone, chociaż proste analogie bywają żłudne. Nie ulega jednak wątpliwości, że dobrze rozpoczęta kampania głównej siły opozycyjnej wymagać będzie nowego impulsu.

RAFAŁ KALUKIN

Więcej, ale gorzej

Wraz z 800 plus Polska stanie się unijnym liderem najhojniej wspierającym rodziny z dziećmi. I jednocześnie krajem z najgorszą polityką społeczną, bo jej celem jest wyłącznie utrzymanie władzy.

JOANNA SOLSKA



Zasiłek 500 plus, wprowadzony w 2016 r., nie był od tamtej pory waloryzowany. Ale dopiero od 2021 r. ceny rosły jak na drożdżach. Ekonomiści wyliczyli, że obecnie wartość nabywcza zasiłku stopniała do 360 zł. Podniesienie go o 300 zł byłoby więc rekompensatą za drożyznę. Ustawowo zagwarantowana jest przecież coroczna waloryzacja emerytur. Dlaczego dzieci miałyby być traktowane gorzej?

Rząd PiS spójnością zasad polityki społecznej nie zawracał sobie głowy. Przez prawie osiem lat do deklarowanej przez partię prorodzinności nie wpisano mechanizmu waloryzacyjnego, co w czasach tak dużej inflacji spycha słabsze grupy w obszar nędzy, zasiłek, na jaki mogą liczyć osoby bez dochodów, od lat wynosi 719 zł, czyli już tylko jedną piątą płacy minimalnej. Zasiłki rodzinne, relikw z poprzednich rządów, uzależnione od liczby dzieci w rodzinie, są waloryzowane raz na trzy lata. Ich wartość jest obecnie symboliczna, to 95 zł na pierwsze dziecko. Michał Myck z Centrum Ekonomicznych Analiz CenEA uważa, że system wspierania rodzin z dziećmi należało scalić, stworzyć jeden, na przejrzystych zasadach. PiS tego nie zrobiło. Panuje bałagan. O każdy rodzaj zasiłku trzeba starać się oddzielnie.

Kiedy jeszcze przed wyborami w 2015 r. PiS obiecało 500 zł na dziecko, prof. Irena Kotowska z Instytutu Statystyki i Demografii SGH nawet nieco się ucieszyła, że rodziny dostaną trochę pieniędzy. – *Wsparcie było stanowczo za małe. Na politykę prorodzinną wydawaliśmy wtedy zaledwie 1,7 proc. PKB, a to dużo mniej niż średnia unijna. Pojawiła się szansa na lepszą politykę społeczną* – mówi, choć prof. Kotowska już wtedy ostrzegła, że od 500 zł więcej dzieci się nie urodzi, bo głównym celem programu miało być zwiększenie dzietności polskich rodzin. Beata Szydło, ówczesna premier, zapewniała „to nie koszt, to inwestycja”. Z licznych badań wynikało, że rodziny chciałyby mieć więcej dzieci, jednak po urodzeniu pierwszego najczęściej na drugie się już nie decydowały. Hojny zasiłek miał je zachęcić.

Program ruszył w 2016 r., a 500 zł przyznano tylko na drugie i kolejne dzieci. Bezwarunkowo, niezależnie od wysokości dochodów rodziny. Ta bezwarunkowość nie stygmatyzowała beneficjentów, podobała się lewicy. Tylko że była pozorna, bo samotnej matce zarabiającej w dyskoncie ówczesną pensję minimalną zasiłek się nie należał, gdyż zarabiała za dużo. Dla samotnych rodziców z jednym dzieckiem wprowadzono bowiem próg dochodowy. Już wtedy samotnych matek było w Polsce 2,17 mln, a samotnych ojców 328 tys., to co piąte gospodarstwo domowe. Dla PiS nie istnieli. Rządzący nie ukrywali, że chcą wspierać tych, którzy żyją po bożemu. Ówczesna rzeczniczka partii doradzała samotnym matkom, żeby wyszły za mąż i miały więcej dzieci. Od marca 2019 r. zasiłek otrzymuje się już na wszystkie dzieci.

Już po roku od startu programu PiS odrząbiło sukces. W 2017 r. urodziło się 402 tys. dzieci. Po dwóch latach okazało się, że raczej mieli eksperci. Na powiększenie rodziny zdecydowały się pary, które i tak miały taki zamiar, nieco tylko przyspieszyły jego realizację. Liczba urodzeń znów zaczęła spadać, z 370 tys. przed programem do 305 tys. w 2022 r.

Według Eurostatu dzietność (statystyczna liczba dzieci, które rodzi jedna kobieta) przed wprowadzeniem 500 plus wynosiła 1,39, a obecnie spadła do 1,33. We Francji wynosi 1,84. Wyprzedzili nas nawet Czesi, którzy mieli największy problem z demografią. Tam współczynnik dzietności wynosi 1,65. Żeby Polska się nie wyludniała, wskaźnik dzietności powinien przekroczyć 2. Nie ma o tym mowy.

Szybko stało się oczywiste, że PiS przy pomocy transferów chce wspierać tradycyjny, katolicki model rodziny. Rok po wprowadzeniu 500 plus Anna Gromada, socjolożka i ekonomistka, zwracała uwagę, że poszczególne fragmenty polityki społecznej PiS są ze sobą sprzeczne, wykluczają się wzajemnie. Rząd deklarował, że zależy mu na aktywizacji zawodowej kobiet, w praktyce ▶

► program 500 plus zachęcał je do rezygnacji z pracy. Dla rodzin zawodowo związanych z tzw. sferą budżetową wprowadzenie 800 plus stanie się jeszcze większą zachętą do rezygnacji z coraz gorzej opłacanej pracy.

Po skandalicznym wyroku TK w sprawie aborcji i wypowiedziach ministra Czarnańka młode kobiety już nie mają złudzeń: Polska nie jest krajem dla rodzin z dziećmi. Dla polityków ważne są przede wszystkim te nienarodzone. Kiedy więc ostatnio CBOS zapytał kobiety w wieku 15–49 lat, czy zamierzają mieć dzieci, tylko 32 proc. odpowiedziało twierdząco. Tak źle nie było od czasów II wojny światowej.

Kiedy stało się jasne, że za dodatkowe 500 zł więcej dzieci się nie urodzi, PiS zmieniło narrację. Celem programu stało się „przywrócenie Polakom godności przez likwidację ubóstwa”. I to się – niestety na krótko – udało, ubóstwo dzieci zostało znacznie ograniczone. W 2015 r. liczba dzieci żyjących w skrajnym ubóstwie wynosiła aż 620 tys., natomiast w 2019 r. zmalała o połowę, do 312 tys. Autora badań, prof. Michała Brzezińskiego z UW zmartwiło jednak, że odbyło się to w sposób skrajnie nieefektywny. Gdyby bowiem pomoc była adresowana do naprawę potrzebujących, można by zlikwidować skrajne ubóstwo za jedną ósmą wydanej sumy. – *Drożyzna powoduje, że skrajne ubóstwo znów staje się problemem* – twierdzi prof. Brzeziński.

Powodów do stwierdzenia, że program nie osiąga deklarowanych celów, jest więcej. Nie ma już wątpliwości, że potężne transfery pogłębiają nierówności, bardziej zasilając domowe budżety rodzin zamożniejszych. Uważnie śledzi je Centrum Ekonomicznych Analiz. Rozszerzenie programu na każde dziecko w 2019 r. przyniosło korzyści głównie rodzinom o wysokich dochodach: prawie 29 proc. kosztów jego upowszechnienia trafiło do 20 proc. rodzin o najwyższych dochodach, a jedynie 6 proc. do 20 proc. najbiedniejszych.

Prof. Michał Brzeziński twierdzi, że po podniesieniu zasiłku do 800 zł, to rozwarstwienie stanie się jeszcze większe. – *W biedniejszej dochodowej części społeczeństwa wychowuje się 2,8 mln dzieci, w zamożnej 3,9 mln* – wyjaśnia. Oznacza to, że w wyniku waloryzacji tylko 10,4 mld zł zasilili budżety rodzin ubogich, a 14 mld popłynęło do zamożnych. Tradycyjne rodziny z czwórką dzieci, takie jak premiera Morawieckiego, w praktyce dodatkowo zwolnił z podatku PIT Polski Ład. Największe korzyści są wtedy, gdy żona zawodowo nie pracuje. Naukowcy o takiej polityce społecznej mówią, że jest wysoce nieefektywna. O chęci jej kontynuowania decyduje jednak efektywność wyborcza.

Rodziny, których dochody nie pozwalają starać się o kredyt hipoteczny, ale są za wysokie, żeby ubiegać się o mieszkanie socjalne, nie mają żadnych szans na lokum. Jak mogą myśleć o dzieciach? Programu tanich mieszkań na wynajem PiS nie zrealizowało, właśnie ogłosiło jego likwidację.

Roczny koszt programu 500 plus wynosi 42 mld zł, jego waloryzacja do 800 zł zwiększy tę sumę o kolejne 23 mld zł (do 65 mld zł), czyli prawie 4 proc. PKB. Przegonimy Francję, obecnego lidera Unii wydającego na politykę społeczną najwięcej. Zanim zastanowimy się, co za to dostaniemy, warto pomyśleć, co już otrzymujemy za te ogromne pieniądze.

Rząd PiS nie skorzystał z szansy skonstruowania takiego wsparcia rodzin, żeby móc osiągać deklarowane cele. Po zapowiedzianej przez PiS waloryzacji szanse na to, że w Polsce będzie się rodzić

więcej dzieci, są obecnie dużo mniejsze niż przed 2015 r. Nie tylko z powodu traktowania kobiet z butą przez nieludzkie prawo, w wyniku którego boją się zająć w ciąży. Wiedzą, że w razie komplikacji nikt im nie pomoże, tak jak Lzie z Pszczyny czy innym matkom. Praktycznie zlikwidowano dostęp do badań prenatalnych, o nieuleczalnej chorobie dziecka dowiedzą się, gdy już się urodzi. Istniejąca wcześniej szansa na interwencję chirurgiczną jeszcze w łonie matki, w przypadkach, gdy może ona przywrócić dziecku zdrowie, została zaprzepaszczone.

Lewica już nie ma powodu cieszyć się, że hojny zasiłek na dziecko dla wszystkich nie stygmatyzuje. W innych krajach wprowadzano go wtedy, gdy państwo już wcześniej zdołało obywatelom zapewnić dobry poziom usług publicznych, takich jak ochrona zdrowia, edukacja, łatwy dostęp do żłobków i przedszkoli. W Polsce okazało się, że 500 plus jest zamiast tego wszystkiego. Nie dostaniesz się do publicznej przychodni, idź prywatnie. Twoje dziecko nie radzi sobie z nauką w przeludnionej klasie, to kup mu korepetycje, masz przecież za co. Pretendent do tytułu unijnego lidera w wydatkach na politykę społeczną nie jest w stanie ułatwić coraz liczniejszej rzeszy potrzebujących dzieci dostępu do psychiatrii, rośnie liczba samobójstw. Rodzicom dzieci, które już się urodziły, państwo ma do zaoferowania tylko gotówkę. Usługi publiczne zostały sprywatyzowane. Z każdym rokiem zapaść się pogłębia.

Prof. Irena Kotowska zwraca uwagę, że wraz z pogarszającym się stanem publicznej opieki zdrowotnej pogarsza się też zdrowie reprodukcyjne potencjalnych rodziców. – *W Polsce w ciężę nie może zająć już półtora miliona par, które bardzo chcą mieć dziecko* – zauważa. Państwo nie ma im nic do zaoferowania, wycofało się nawet z pomocy przy in vitro. Kiedy samorząd w Rzeszowie zapowiedział dla tych par wsparcie finansowe, w nocy do zapisów ustawiła się kolejka.

Ambicją i celem rządów PiS nie jest dobra polityka społeczna. Chodzi mu raczej o to, by ogromnymi transferami wyrobić w Polakach przekonanie, że bez pomocy obecnego rządu nie damy sobie rady. Zwłaszcza teraz, gdy borykamy się ze skutkami pandemii, a „Putin zafundował drożyznę”, za którą rząd ani NBP nie czują się odpowiedzialni. PiS chce nam wmówić, iż nasz poziom życia nie zależy od indywidualnych kompetencji i pracowitości, stanu polskiej gospodarki, ale od łaskawości i hojności polityków. Dlatego udział transferów w dochodach Polaków rośnie.

Ale żyje nam się coraz gorzej, bo tzw. dochód rozporządzalny na głowę – wbrew temu, co twierdzi Jarosław Kaczyński – po ostatnim roku gwałtownie się skurczył, zjadła go drożyzna. GUS do dochodu rozporządzalnego wlicza także wszystkie transfery społeczne, a mimo to okazało się, że wprawdzie wzrósł on nominalnie o 9 proc., jednak realnie poziom życia się obniżył, transfery tego nie zmieniły. Ludzie to czują. Zaczynają zdawać sobie sprawę, że kolejne wyborcze prezenty ich sytuacji nie poprawiają, a finansowane są z naszych wspólnych pieniędzy.

Z badań społecznych wynika, że entuzjazm do 800 plus okazuje się dużo mniejszy, niż PiS się spodziewało (w niedawnym sondażu UCE Research dla Onetu podniesienie świadczenia do 800 zł poparło 36 proc. ankietowanych, przeciw było 46 proc.). Wypuszczony na konwencji PiS napompowany pieniędzmi i propagandą balon (zręcznie zresztą nakłuty przez Tuska), zdaje się tracić polityczną siłę nośną. Więc może jednak da się w przyszłości wrócić do poważnej rozmowy o polityce społecznej?

JOANNA SOLSKA



Łapać drona

Bezzałogowe statki powietrzne, czyli drony, mogą walczyć, pracować, zapewniać rozrywkę. W Polsce ostatnio też straszą, pojawiając się i znikając w tajemniczych okolicznościach.

ADAM GRZESZAK



Sobota, 13 maja, do warszawskiego portu lotniczego im. Chopina zbliża się lecący z Poznania samolot. Nagle piloci w odległości kilkudziesięciu metrów dostrzegają drona. Meldują kontroli lotów, że żółty kilkumetrowy płatowiec, o kształcie szybowca, mija ich właśnie w odległości 30 m. Dzieje się to na wysokości 550–600 m, a więc w strefie, gdzie żadne drony latać nie mogą. Lotniskowi kontrolerzy wszczynają alarm, bo sprawa

jest poważna. Zderzenie miałyby fatalne konsekwencje. Uprzedzają następny samolot nadlatujący już z Wrocławia, potem wstrzymują wszystkie starty i lądowania na pół godziny.

Rusza polowanie na żółtego drona, ale ten znikł bez śladu. Nie wiadomo, do kogo należał ani kto nim sterował. Policja wszczyna śledztwo, LOT powołuje komisję, sprawą zajmuje się Komisja Badania Wypadków Lotniczych i Urząd Lotnictwa Cywilnego (ULC). Polska Agencja Żeglugi

Powietrznej (PAŻP) wydaje komunikat, tłumacząc, że „dron nie był widoczny na radarach, kontrolerzy nie wykryli go też podczas obserwacji wzrokowej”. – *Problem polega na tym, że lotniskowe radary nie są przystosowane do śledzenia małych i nisko lecących obiektów. Bywa, że mają wielkość kartki papieru, a tworzywo sztuczne redukuje odbicie sygnału. Zresztą nawet ptak rozmiarów bociana zostałyby przez radar wychwycony tylko pod warunkiem, że przeleciałby* ►

► *w bardzo bliskiej odległości* – wyjaśnia Michał, kontroler z lotniska na południu Polski. Piloci przyznają, że i oni mają problem z dostrzeżeniem małego drona, zwłaszcza jeśli pozostaje nieruchomo w zawisie. Wtedy dla pilota jest tylko ciemnym punkcikiem. Tym razem jednak żółty szybowiec jakby chciał, żeby go zobaczono.

Dwa dni po incydencie na Okęciu samolot Wizz Air z Eindhoven zbliża się do lotniska Katowice-Pyrzowice. Maszynę dzieli 20 km od pasa, gdy na wysokości ok. 1200 m pojawia się spory dron wielowirnikowy, tzw. quadcopter, i przelatuje 50 m pod samolotem. Podobno także żółty. Znów szok, bo tak wysoko drony bez specjalnej zgody latać nie mogą, zresztą wiele z nich ma fabryczne ograniczenie do 500 m. Przestrzeń na tej wysokości na podejściu do lotniska jest obszarem zamkniętym. Znów więc policja rozpoczyna śledztwo, poszukując właściciela drona.

Co się dzieje? Atmosfera robi się nerwowa, bo za granicą trwa wojna, w której obie strony używają rozmaitych dronów bojowych, a w polską przestrzeń powietrzną wlatują tajemnicze obiekty – rakiety, skrzydlate pociski, balony i gdzie się rozplývają. Szukając ich, policja gubi własne drony. Nikt więc nie chce się wypowiadać. ULC informuje, że na nasze pytania odpowie w ciągu dwóch tygodni, PAŻP w ogóle nie reaguje.

Gdzie jest pilot?

W mediach pojawia się hipoteza, że żółte drony to kolejna próba testowania polskich procedur bezpieczeństwa podobna do tych, jakie pod koniec ubiegłego roku zanotowano w Danii i Norwegii. Zatrzymano tam Rosjan, którzy niewielkimi cywilnymi dronami latali nad chronionymi instalacjami energetycznymi. Jacek Tarciański, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich, tłumaczył wówczas, że „rosyjskim celem jest najprawdopodobniej wzbudzenie niepokoju oraz zmuszanie do reakcji”.

– *Maksymalna wysokość lotu dronem bez specjalnych zezwoleń wynosi 120 m nad ziemią, a w strefach kontrolowanych lotnisk lot wymaga zgody PAŻP. Im bliżej lotniska, czyli mniej niż 6 km od pasa, tym niżej, 30–50 m nad ziemią* – wyjaśnia Michał Zawadzak, kierownik ds. bezpieczeństwa w LabAir. To firma należąca do Farada Group, jednej z największych polskich firm branży dronowej. Zawadzak jest entuzjastą dronowym, ich konstruktorem, certyfikowanym pilotem i instruktorem, prowadzi też portal Świat Dronów. – *Zastanawia mnie, czy to, co widzieli piloci,*

zbliżając się do Okęcia, to był na pewno dron. To mógł być samodzielnie zbudowany, sterowany radiem model szybowca. Wprawdzie modelarzy obowiązują te same przepisy co pilotów dronów, tyle że oni często się do nich nie stosują. Uważają, że ich to nie dotyczy.

Zawadzak odpowiada w LabAir za komunikację z władzami lotniczymi i służbami, więc miał już kontakt z policją w sprawach incydentu na Okęciu. Mundurowi sprawdzali, czy przypadkiem nie był to ich dron. Jest to bowiem pierwsza w Europie firma, która świadczy usługi transportu medycznego na stałych trasach z użyciem dronów. Drony latają w codziennych regularnych rejsach,

Drony stały się dziś poważnym wyzwaniem dla bezpieczeństwa lotnisk. Kiedyś groźne były ptaki, dziś bezzałogowe statki powietrzne (BSP).



przewożąc próbki medyczne ze szpitali w Pułtusk i Sochaczewie do laboratorium w Warszawie.

Maszyna latająca do Sochaczewa, gdyby zboczyła z kursu, mogłaby pojawić się w pobliżu samolotu. To spory płatowiec pionowego startu, jednak Zawadzak zapewnia, że nie jest to możliwe, bo dron jest pod stałym nadzorem pilotów śledzących lot z ziemi, a poza tym lata po zaprogramowanej i zatwierdzonej przez PAŻP trasie i na stałej wysokości 100 m, więc o zboczeniu i wzniesieniu się na ponad pół kilometra mowy nie ma. Kolejnymi podejrzany okazali się studenci i naukowcy Politechniki Warszawskiej, którzy niedawno chwalili się zbudowanym nowatorskim dronem, kształtem, kolorem i rozmiarami pasującymi do opisu pilotów. Jednak i oni mają alibi.

Przekleństwo lotnisk

Drony stały się dziś poważnym wyzwaniem dla bezpieczeństwa lotnisk. Kiedyś groźne były ptaki, dziś bezzałogowe statki powietrzne (BSP). – *Ptak jest miękki, a dron twardy, bo to może być nawet kilkukilogramowy kawał metalu i tworzywa. W zderzeniu z lecącym samolotem przekazuje potężną energię, może więc*

przebić poszycie albo unieruchomić silnik i doprowadzić do jego zapalenia. Jeśli stanie się to w trakcie startu lub lądowania, łatwo o katastrofę – wyjaśnia wieloletni pilot linii lotniczych, a dziś instruktor. W wolnych chwilach prowadzi też jednoosobową firmę droniarską, fotografując i filmując z powietrza. To popularna usługa, bo dziś wszyscy chcą mieć efektowne lotnicze zdjęcia. Nasz rozmówca specjalizuje się w usługach dla deweloperów, dla których lata nad nowo budowanymi osiedlami, by w internetowych i telewizyjnych reklamach inwestycja prezentowała się nietuzinkowo. – *Każdy pilot drona przed startem powinien zarejestrować się w aplikacji DroneRadar i upewnić, czy w danym miejscu może wykonać lot. Jeśli ci, którzy latali w pobliżu Okęcia czy Pyrzowic, tego nie zrobili, to sytuacja staje się podejrzana* – tłumaczy.

Problemy z dronami pojawiającymi się w zakazanych rejonach ma większość portów lotniczych. Największym pechowcem jest londyński Gatwick. W 2018 r., tuż przez Bożym Narodzeniem, lotnisko było przez 36 godzin nękane przez pojawiające się i znikające drony. Była to najwyraźniej świadoma akcja, która zmuszała port lotniczy do wstrzymywania ruchu i przekierowywania samolotów na inne lotniska. Ponad tysiąc lotów zostało odwołanych lub opóźnionych, 140 tys. podróży nie dotarło na czas. Straty były olbrzymie, więc zarząd Gatwick wezwał na pomoc wojsko i wyznaczył nagrodę 50 tys. funtów za wskazanie sprawcy dronowej inwazji. Niewiele to dało. Zatrzymano wprawdzie kilka podejrzanych osób, ale z braku dowodów wszystkie zwolniono. Zarząd Gatwick zainwestował więc kilka milionów funtów w system antydronowy.

Inne lotniska też miewają podobne problemy. W czerwcu ubiegłego roku pilot A320 lecącego ze Sztokholmu, lądując na londyńskim lotnisku Heathrow, zauważył dużego czarnego drona z kamerą, który przeleciał zaledwie 15 m pod nosem samolotu. W lutym port lotniczy w irlandzkiej stolicy był dwukrotnie zamykany z powodu pojawiania się dronów. Ryanair wezwał irlandzkie władze, by „zrobiły coś w celu ochrony portu lotniczego w Dublinie”. Takich incydentów nie brakuje też w USA, gdzie jest szczególnie duży ruch w powietrzu i często dochodzi do sytuacji kolizyjnych. Przybywa też innych niebezpiecznych sytuacji, jak choćby ta, gdy w 2015 r. dron uciekł pilotowi i wleciał na teren ogrodu Białego Domu, gdzie się rozbił. Ucieczki dronów zrywających kontakt z pilotem

i odlatujących w nieznane to spory problem i zagrożenie. Polscy policjanci coś o tym wiedzą.

Revolucja dronów

Z dronami jest dziś tak, jak ze sztuczną inteligencją. Jedni cieszą się z rozwoju technologii, bo przybywa nowych konstrukcji i nowych zastosowań, inni marwią, bo trudno zapewnić kontrolę nad lawinowo rosnącą liczbą maszyn i nieprzewidywalnością zachowań użytkowników. Strach pomyśleć, co będzie dalej, gdy drony będą nas wozić jako autonomiczne powietrzne taksówki. Dziś świat cywilnych bezałogowców to masa odmian urządzeń, typów napędów i rodzajów zastosowań. Począwszy od dziecięcych zabawek, aż po duże i skomplikowane maszyny kosztujące nawet kilkaset tysięcy złotych. Najbardziej typowe są drony wielowirnikowe (głównie quadcoptery), ale są też jednowirnikowce (miniśmigłowce) i płatowce, czyli skrzydlate drony. Są drony rekreacyjne do latania dla przyjemności, są drony sportowe do wyścigów i specjalistyczne maszyny do pracy.

Krzysztof Lewandowski, współwłaściciel internetowego sklepu Drony.net, mówi, że ostatnie 4–5 lat to systematyczny wzrost sprzedaży. – *Pewne wyhamowanie było za to w 2020 r., gdy pojawił się mocny marketing firm szkolących pilotów i ludzie mogli odnieść wrażenie, że bez kursu nie wolno latać. Wkrótce jednak darmowe kursy i egzaminy zaczęły organizować Urząd Lotnictwa Cywilnego.* Wszystko odbywa się zdalnie, do testu można podejść kilka razy.

Odkał małe, popularne drony – zwane „komunijnymi”, bo to dziś prezentowy hit – trafiły do marketów z elektroniką, wyspecjalizowanym sklepem trudniej rywalizować z sieciówkami. Więc mocniej stawiają na sprzedaż sprzętu skrojonego pod zawodowe potrzeby. – *Przed wszystkim kupują klienci instytucjonalni: służby mundurowe, uczelnie. Ale też rolnicy oraz przedsiębiorcy, zwłaszcza jeśli mogą rozliczyć ten zakup w ramach dotacji ze środków publicznych* – mówi Lewandowski.

Revolucja dronów przyspiesza. Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) w 2019 r. szacował, że wartość cywilnego rynku dronów w latach 2017–26 sięgnie 3,26 mld zł, ale dziś widać, że będzie więcej. Rozrasta się cały ekosystem dronów. Powstają nowi sprzedawcy, producenci urządzeń, podzespołów, oprogramowania, firmy szkoleniowe, usługowe. Mamy także producentów urządzeń antydronowych do ochrony przed fruującymi intruzami. – *Ogromny wpływ na ten rozwój miała wojna w Ukrainie. Polacy zobaczyli, jak wiele drony*

mogą mieć zastosowań, także cywilnych – wyjaśnia Kamil Wasilewski, adwokat prowadzący blog Latam Dronem. Wasilewski specjalizuje się w prawie dronowym, licząc na nowy rynek. – *Wraz z rozwojem branży dronowej przybywa problemów prawnych, które będą wymagały fachowej pomocy* – wyjaśnia mecenas.

Program odleciał

Ile w Polsce lata dronów, tego dokładnie nie wiadomo. Przed pandemią PIE szacował, że 100 tys. Ocenia się, że jest 20 tys. zarejestrowanych operatorów dronów. Operator to właściciel maszyn. Osoba prywatna, a częściej firma wykorzystująca wiele BSP. Ilu jest pilotów, czyli tych, którzy wykonują loty? DroneRadar, czyli polska aplikacja służąca do rejestracji lotów, ma ponad 100 tys. pobrań. Można więc zakładać, że tyle osób może latać dronami. Latanie wymaga różnych kwalifikacji w zależności od ryzyka, jakie niesie lot. Drony o masie do 250 g, bez pokładowej kamery, nie wymagają specjalnych kwalifikacji, te rejestrujące obraz, większe, cięższe i latające wyżej – już tak. Regułą są loty w zasięgu wzroku, gdy pilot widzi drona. Loty BVLOS (Beyond Visual Line of Sight), czyli poza zasięgiem wzroku, wymagają specjalnego certyfikatu i zgody prezesa ULC.

Dziś z dronów korzystają ratownicy górscy niosący pomoc potrzebującym, policja nadzorująca porządek na drogach czy straż miejska, sprawdzając, kto pali śmieci. Służby geodezyjne skanują teren, rolnicy dokonują oprysków, budowlańcy przeprowadzają inspekcje konstrukcji, fotograficy i filmowcy robią zdjęcia z powietrza itd. Niestety także świat przestępczy odkrył zalety tych urządzeń i wykorzystuje drony, m.in. przemycając do więzień zakazane towary. Więzienia bronią się, instalując systemy antydronowe. Ale ochrona przed dronami jest sprawą skomplikowaną i kosztowną. Takie systemy bywają stosowane w przypadku obiektów wojskowych, lotnisk, imprez masowych itp. Firma Hertz Systems prezentowała niedawno na lotnisku w Zielonej Górze swój antydronowy system Jastrząb, który monitoruje przestrzeń wokół chronionego obiektu i umożliwia zlokalizowanie i przejęcie kontroli nad dronami intruzami. Zainteresowanie wyraził też zarządcy polskich portów.

Najpopularniejszą metodą jest zakłócenie łączności między pilotem a dronem, przejęcie kontroli i zmuszenie maszyny do lądowania. Wiąże się to jednak z ryzykiem, że dron spadnie, powodując szkody na ziemi, albo zerwie się spod kontroli i ucieknie. W przypadku lotnisk wyzwaniem są też duże obszary, które trzeba

kontrolować na różnych wysokościach, oraz brak jasnych regulacji dotyczących antydronowych działań. Dlatego wszyscy bardziej polegają na surowych karach, jakie mogą czekać pilotów łamiących zakazy. Sprowadzenie zagrożenia katastrofą lotniczą zagrożone jest ośmioma latami więzienia.

Niezależnie od przeznaczenia dronów, najczęściej pochodzą od jednego producenta, chińskiej firmy DJI, do której należy ponad 70 proc. globalnego rynku cywilnych urządzeń. Są jednak i polscy producenci. – *Wykonują sprzęt pod konkretne zamówienie, zdarzają się też manufaktury, gdzie drony składa się ręcznie* – wyjaśnia Lewandowski. Nic natomiast nie słyhać o polskich dronach i systemach dronowych, którymi zgodnie z planem Morawieckiego mieliśmy zadziwić świat. Wszystko to przewidywał program Żwirko i Wigura, a patronowali mu lotnicy, którzy zginęli, gdy samolot rozpadł się w powietrzu. Wygląda na to, że pilotowi programu też coś się rozpadło. Drony gdzieś uciekły i nikt nawet ich nie szuka. Może ktoś je przypadkiem znajdzie?

ADAM GRZESZAK
WSPÓŁPRACA MARCIN PIĄTEK

REKLAMA



KLINIKA
KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty - Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,
chroniczne zespoły bólowe
kręgosłupa i głowy, powikłania
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,
następstwa i powikłania urazów
układu kostnego, więzadeł i stawów,
migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

Góry coraz wyższe

Śmierć w szwajcarskich Alpach **Kacpra Tekielego** pokazuje, że tragedie nie omijają nawet świetnych wspinaczy młodego pokolenia. Dzisiejszy alpinizm staje się również domeną solistów.

MARCIN PIĄTEK



Dzień przez śmiercią 38-letni Kacper Tekieli zamieścił w swoich mediach społecznościowych zdjęcie: o przeszklone drzwi stoi oparty plecakiem, a na zewnątrz białe szaleństwo, drzwi zasypane śniegiem do wysokości dobrze ponad metra. Dla znajomych śledzących jego projekt zdobycia wszystkich 82 alpejskich czterotysięczników podczas jednej, rozpisanej do lata, wyprawy był to sygnał, że pogoda się

załamała, a Kacper czeka w schronisku na poprawę warunków.

A potem szok: Tekieli spadł z lawiną, zginął na miejscu pod szczytem Jungfrau (4158 m) w Alpach Berneńskich. Bartek Dobroch, dziennikarz i autor książek poświęconych alpinizmowi, dobry znajomy Kacpra: – *Wcześniej wszedł na Bishorn, tam po sąsiedzku są dwa inne szczyty, o które można się pokusić właściwie za jednym zamachem. Ale mówił mi, że odpuszczył, bo było zbyt niebezpiecznie. To był*

mądry, rozważny facet, umiał skalkulować ryzyko. Trudno zrozumieć, dlaczego zdecydował się iść na Jungfrau.

Ogłoszono wszak trzeci stopień zagrożenia lawinowego, czyli duże prawdopodobieństwo nagłego zejścia olbrzymich połaci śniegu. W lipcu 2007 r. niemal dokładnie w tym samym miejscu podczas ćwiczeń wysokogórskich lawina zmiotła sześciu żołnierzy szwajcarskiej armii. Już po tym, gdy informacja o śmierci Kacpra została upubliczniona, na jego

Instagramie pojawiło się ostatnie zdjęcie: stoi po łydki w śniegu na szczycie Jungfrau, unosząc nad głową czekan. I krótki wpis: *PIK, Kocham Was Kotki. Odpowiedź: – My Ciebie bardziej mój Kochany* – zamieściła jego żona Justyna Kowalczyk-Tekieli. Najwybitniejsza polska biegaczka narciarska wraz z dwuletnim synkiem towarzyszyła mężowi w wyprawie.

Celebryta mimo woli

Śmierć Kacpra wywołała duże poruszenie. – *Był lubianym, ciepłym, wrażliwym gościem* – mówi Dobroch. – *Z gatunku tych, w których towarzystwie od razu dobrze się czujesz. Łatwo przychodziło mu mówienie miłych słów, które były szczerze i bezinteresowne.* W środowisku dał się poznać jako szybki, sprawny, świetny technicznie alpinista, który nie chadza utartymi ścieżkami i specjalizuje się w odważnych, solowych przejściach. Nierzadko bez asekuracji. Śmiał się, że odkąd związał się z Justyną, został celebrytą mimo woli, mężem swojej żony. – *Musiał potem znosić newsy w stylu: mąż Justyny Kowalczyk zjechał na nartach z Rysów. Nie jest to sportowy wyczyn, ale dla plotkarskich portali wystarczy* – dodaje Dobroch.

Teraz portale grzeją się do czerwoności notoryczną w przypadku wysokogórskich wypadków dyskusją: grono romantycznych pasjonatów uważających, że każdy jest kowalem własnego losu, ściera się z przyziemnymi prokuratorami, rzucającymi oskarżenia o ryzykanctwo, nonszalancję, pchający poza granicę zdrowego rozsądku egoizm nie do pogodzenia z odpowiedzialnością za rodzinę. Tym drugim umyka jednak, że Justyna Kowalczyk była uczestniczką tego projektu: śladem Kacpra jeździła wraz z synkiem kamperem, zapewniając logistyczne i duchowe wsparcie. A on przemieszczał się pomiędzy kolejnymi szczytami tylko na nartach – czasem służących również do podejść – oraz na rowerze.

Nie ścigał się o rekord. Jego autor, Szwajcar Ueli Steck, kilka lat temu przebiegł po tych 82 szczytach w czasie 62 dni; zresztą niewiele później, mając 40 lat, zginął w tajemniczych okolicznościach podczas aklimatyzacyjnej wspinaczki w Himalajach. Projekt był wymagający, ale i obliczony na przyszłość, stabilną egzystencję, bo Kacper zaliczał kolejne stopnie trudnego oraz długotrwałego kursu na przewodnika wysokogórskiego w krajach alpejskich. Realizując pomysł na zawodowe życie i nie chcąc być tylko mężem swojej żony, również w znaczeniu finansowym.

Presji nie odczuwał też ze strony sponsorów. Wyprawie nie towarzyszył

sponsoring w zamian za ekspozycję logo oraz marki w relacjach z miejscą akcji. Tekieli korzystał przede wszystkim z pomocy w doposażeniu wyprawowego ekwipunku, ale nie musiał się odwzięczać „lokowaniem” produktów, raczej dyskretnymi wzmiankami. Zresztą nie nagłaśniał swych zamiarów. Najpierw chciał się zmierzyć z wyzwaniem, zdobyć kilka, kilkanaście szczytów, a potem mówić o tym, że są elementami ambitnej całości. Wszedł na osiem.

Poznać własne granice

Do wyczynowej wspinaczki nie da się przykładać zwykłej miary ryzyka i niebezpieczeństwa obowiązującej na nizinach. Niemal każdy wypadek można zza biurka zinterpretować, stawiając zarzuty nieodpowiedzialności, ignorancji. Celują w tym zwłaszcza ci, którzy nigdy nie mieli na sobie wspinaczkowej uprząży, zaś karabinek kojarzą z żołnierzem. A ofiary nie mogą się bronić.

Solowy alpinizm to niebezpieczeństwo spotęgowane. Kilkadziesiąt lat temu takie przejścia były przez środowisko ignorowane; kultowy magazyn „Taternik” nie zamieszczał relacji z solówek, uznając je za zbyt ryzykowne oraz godzące w wyższe idee: partnerstwo, odpowiedzialność, zaufanie. U Kacpra wyszło to trochę z przypadku. Z urodzenia gdańszczanin, a z wykształcenia filozof wyładował pod Tatrami i zahaczył się do pracy w recepcji schroniska Murowaniec na Hali Gąsienicowej. – *Była to świetna baza wypadowa w góry, no a że pochodził z drugiego końca kraju, nie miał znajomości mogących się spontanicznie przekuć we wspinaczkowe partnerstwo. Chodził w skałki, a potem w ściany samotnie. Zanim znalazł towarzystwo, dokonywał robiących wrażenie solowych przejść* – dodaje Dobroch.

Solowe wyzwania można realizować szybko, elastycznie, nie oglądając się na innych. Poza tym wciągające musiało być nieodłączne dla tego stylu wznoszenia się na najwyższy poziom koncentracji, zwłaszcza w ścianach wymagających tzw. żywcowania, czyli wspinaczki bez asekuracji. Potwierdzeniem klasy i umiejętności Kacpra było włączenie go kilkanaście lat temu do programu Polskiego Himalaizmu Zimowego, na czele którego stanął nieżyjący już (spadł w 2013 r. podczas wspinaczki na Gasherbrum I) Artur Hajzer. Po latach posuchy w polskim himalaizmie wskrzeszono ideę zimowego wejścia na niezdojone jeszcze szczyty, ze szczególnym uwzględnieniem K2. Hajzer do sfinansowania przekonał polityków, argumentując, że lada moment

wyczyn sprzątną nam sprzed nosa Ruscy i tym samym przyśni mit polskich „lodo-wych wojowników”.

Hajzer stawiał na sprawnych, wytrenowanych i mocnych fizycznie wspinaczy. Otworzył się na młode pokolenie. Tekieli zabłysnął w 2010 r. podczas jednej z edycji traktowanego w PHZ szkoleniowo Elbrus Race. Wbiegł na szczyt w świetnym czasie – choć rekord ustanowił tam wówczas Andrzej Bargiel, dziś sławny dzięki brawurowym zjazdowi na nartach z ośmiotysięczników. – *W Himalajach Kacper poznał jednak granicę własnych możliwości. Był mocny, imponował świetną wydolnością, ale jednocześnie miał kłopoty z aklimatyzacją. No i wracał stamtąd z traumatycznymi doświadczeniami* – opowiada Dobroch.

Najpierw, jesienią 2016 r., Tekieli był uczestnikiem wyprawy na sześciotysięcznik Shivling w indyjskiej części Himalajów. Planowano dokonać pierwszego polskiego przejścia trudnej, południowo-wschodniej grani. Zamiast sukcesu była tragedia: w ostatnim obozie pod szczytem zmarł nagle Grzegorz Kukurowski, a towarzyszący mu Łukasz Chrzanowski musiał zdecydować się na samotne i ryzykowne zejście. Walczył przez trzy dni, w międzyczasie bezskutecznie próbowano podjąć go ze ściany helikopterem. W końcu, będąc już bardzo blisko idącej mu naprzeciw ekipy ratunkowej, której członkiem był Tekieli, wygłodzony i odmrożony Chrzanowski zsunął się po lodzie i wpadł do szczeliny. Zmarł kolegom na rękach. Dwa lata później podczas próby wytyczenia nowej drogi na Broad Peak ledwo uszedł z życiem uderzony spadającym kamieniem Stanislav Vrba. Towarzyszący mu Tekieli asekurował rannego podczas zjazdu na linie, a potem w przeprawie przez lodowiec do bazy, gdzie była akurat ekipa kręcąca film „Broad Peak”. Asystowali jej lekarze, którzy uratowali Vrbe.

Na górę, żeby w dół

Zerwanie z Himalajami nastąpiło dla pokolenia dzisiejszych trzydziestolatków spektakularnie. Wraz ze zdobyciem K2 w styczniu 2021 r. przez ekipę Nepalczyków przestał istnieć obsesyjny dla polskiego himalaizmu cel. – *Szczerze mówiąc, odetchnęliśmy z ulgą. Wreszcie pojawiła się przestrożka do realizacji innych, ambitnych wypraw, pod względem technicznych trudności zdecydowanie przewyższających K2, ale trudno sprzedawałnych medialnie, bo znajdujących się w Patagonii albo Kirgistanie* – mówi Wadim Jabłoński, jeden z czołowych alpinistów młodej generacji. ►

► Polski Himalaizm Zimowy stracił rację bytu; powołano do życia Polski Himalaizm Sportowy, PHS, a jego szefem został niespodziewanie właśnie Jabłoński, rocznik 1993. Wcześniej był szefem grupy młodzieżowej w PZA i dał się poznać jako świetny organizator zimowych obozów tatrzańskich, gdzie ściągała krajowa śmietanka wspinaczkowa. Grupie „młodych” sprzyjał szef PZA Piotr Pustelnik, który wprawdzie swego czasu obsesyjnie dążył do skompletowania Korony Himalajów, ale jednocześnie podkreślał, że na tamtejszych celach wyzwania się nie kończą. No i sam nie był typem górskiego męczennika – korzystał podczas wejść z butli tlenowej, do miana lodowego wojownika nie pretendował – a gdy trzeba było porzucić plany, by ratować obcego człowieka, nie miał żadnych dylematów.

Młodsze pokolenie, działające nieco na uboczu głównego nurtu albo wręcz poza nim, już wcześniej dawało o sobie znać. Jego najbardziej nieszablonywym przedstawicielem był Tomek Mackiewicz: człowiek po ciężkich heroinowych doświadczeniach, wspinacz-samouk, który rzucił się w Himalaje z pominięciem paru koniecznych szczebli wtajemniczenia, budżet kompletował dzięki internetowym zbiórkom, a podczas wspinaczki na Nanga Parbat korzystał z lin kupionych w sklepie rolniczym. Panowało przekonanie, że Mackiewicz jedzie po bandzie, i że prędzej czy później przyplaci to życiem. Tak się w końcu stało, w styczniu 2018 r. podczas próby zimowego wejścia na Nange.

Ze swoją dezynwolturą naturyszczyka Tomek nie był typowym reprezentantem nowej fali: wyżyłowanej, trenującej na obrotach charakterystycznych dla zawodowych sportowców. Najbardziej spektakularne stały się osiągnięcia Andrzeja Bargiela. W PHZ dał się poznać jako twardy zawodnik, obdarzony fenomenalną wydolnością oraz nadludzką odpornością na warunki panujące w strefie śmierci powyżej 8 tys. m, jednak grzecznie podziękował za zimową mordęgę, która dla aspiranta wiązała się też niekiedy z wykonywaniem czarnej roboty poręczowania dla innych, bardziej doświadczonych kolegów. Bargiel postawił sobie za punkt honoru zjazd na nartach z ośmiotysięczników, o ile to możliwe, zdobywanych na szybko, w tzw. stylu alpejskim, czyli bez zakładania obozów. Zaliczył pionierskie zjazdy z Broad Peak oraz K2, ale też zaznał porażek. Warunki pogodowe dwukrotnie zmusiły go do rezygnacji ze zdobycia i zjazdu z Everestu. Jego pomysł na siebie działa na wyobraźnię i przyciąga następców, np. Bartka Ziemskiego.

Na skiałpinizmie cele PHS się nie kończą. Wadim Jabłoński definiuje je następująco: – *Nowe drogi, dziewicze szczyty, trudne technicznie przejścia skalne. Jeśli wyprawy szkoleniowe, to powtarzanie wymagających dróg. Trzeba wykazać się odpowiednim doświadczeniem również w przejściach zimowych, dokonaniem co najmniej w Alpach, no i być ciągle aktywnym w górach. Nie ma szans, by dostać w PHS dofinansowanie na tzw. drogę normalną na ośmiotysięcznik. Stawiamy na innowację, eksplorację, w której zresztą, jeśli chodzi o Himalaje, polscy wspinacze mają wielkie dokonania.*

Bez cierpiętnictwa

Do obecności na utartych szlakach w Himalajach zniechęca galopująca komercjalizacja. Masowa turystyka stała się tamtejszym przekleństwem, choć jednocześnie intratnym zajęciem dla tubylców. W sezonie podszczytowe bazy są oblegane przez żółtodziobów z wypchanym portfelem, których największym marzeniem jest selfie na szczycie, nawet jeśli trzeba się tam dostać w masce tlenowej i na plecach Szerpów. Dlatego ambitni zawodnicy dziś przede wszystkim wybierają na bazy wypadowe odludne miejsca, a korzystanie z pomocy lokalnej ludności ogranicza się do zorganizowania karawany i obozu biwakowego. Wytyczenie drogi i rozwiązanie poręczówek albo założenie stanowisk asekuracyjnych robi się we własnym zakresie. A najlepiej widziany jest styl alpejski.

Nadający dziś ton w polskim wspinaniu chcą iść więc swoją drogą i zostawić własny ślad. Tak jak Kacper Tekieli, który latem 2019 r. w ekspresowym tempie wspiął się na cztery granie Matterhornu. Wadim Jabłoński mówi, że imponujące i pionierskie projekty są przecież do zrealizowania choćby w niekojarzonej powszechnie z wyzwaniami Patagonii. – *Weszliśmy roku Złoty Czekan, czyli najbardziej prestiżowa nagroda świata wspinaczkowego, została przyznana za solowe pokonanie niezwykle trudnego pod względem technicznym trawersu masywu Fitz Roy, gdzie najwyższy szczyt ma raptem 3375 m [ale trawers zakłada wejście na siedem wierzchołków, a w pionie trzeba pokonać ponad 4 km bardzo trudnej trasy – red.]. Myślę, że kryterium nominacji do Złotych Czekanów to jest coś, co nas kręci i co bierzemy pod uwagę, kreśląc plany. Ale nagroda nie jest celem* – dodaje Jabłoński.

Coraz powszechniejsza staje się otwartość, wyrażana przez kompletowanie międzynarodowych składów. Przed dwiema dekadami szlaki przecierał na tym polu

nieżyjący już (zginął w 2009 r. po upadku do szczeliny pod Dhaulagiri) Piotr Morawski. A potem Adam Bielecki, trochę z konieczności, gdy po tragedii na Broad Peak w 2013 r. (zdobyto zimą szczyt, ale zginęli Tomasz Kowalski i Maciej Berbeka) nie miała część koleżeństwa zarzuciła mu granie na siebie i ignorowanie poleceń kierownika wyprawy. Bartek Dobroch mówi, że dla młodego pokolenia cele realizowane pod flagą biało-czerwoną wciąż są istotne, ale bez przesady. – *Jako demonstracja zdrowego, sportowego patriotyzmu. Wcześniej ta flaga zbyt często bywała synonimem wymachiwania szabelką.*

Inny charakterystyczny rys dzisiejszych wspinaczy: niechęć do cierpiętnictwa, które stało się znakiem firmowym lodowych wojowników i kulturowym przez nich etosem. Emanują raczej aurą dobrej zabawy, luzu, nieskrępowanej wolności, podkreślając jednocześnie, że uprawiają sport ekstremalny, który wymaga silnej psychiki i ciężkiego treningu. Podejście mają pragmatyczne: po co tracić energię, usiłując przez godzinę włożyć buty przy 40-stopniowym mrozie, skoro potem może jej zabraknąć podczas wspinaczki.

Klimatyczna zawierucha

Śmierć Kacpra Tekiego przypomina, że wspinaczkowe ryzyko nie ogranicza się do najwyższych gór. Jest też pretekstem do innej refleksji: o potęgowaniu tego ryzyka przez anomalie pogodowe spowodowane globalnym ociepleniem. Opady śniegu, jakie miały miejsce w masywie Jungfrau, były bowiem nienormalne.

Podobnie jak nienormalne są – z punktu widzenia wspinaczy – ostatnie zimy w Tatrach. Śnieg pada późno, jest za ciepło, by przekształcić się w lód, nie ma więc co „zabetonować” żlebów, stworzyć mocnej, lodowej podstawy, więc podczas wspinaczki grunt usuwa się spod raków. – *To samo ma miejsce nawet w Himalajach. Adam Bielecki i Mariusz Hatała musieli niedawno odpuścić wytyczenie nowej drogi na Annapurnie, bo spotkali się tam z istnym bombardowaniem skalnych odłamków, które powinny być związane lodem. W Patagonii są miejsca, gdzie lodowiec cofnął się o kilometr. I powstało jezioro, które bardzo komplikuje dostanie się do podnóża gór* – dodaje Jabłoński.

Alpiniści mówią, że dopiero w wysokich górach dobitnie można się przekonać, jak dewastujące skutki ma globalne ocieplenie. A dotychczasowe branżowe doświadczenia, opisy i rady tracą na aktualności. Trzeba o tym pamiętać, biegnąc na szczyt.

MARCIN PIĄTEK

Złoty chłopiec PiS

O tej dymisji krążą w obozie władzy zadziwiające opowieści.
O co chodzi z odwołaniem pełnomocnika rządu do spraw młodzieżowych
i dlaczego wciąż rozdziela on rządowe pieniądze?

ANNA DĄBROWSKA, NORBERT FRĄTCZAK

Piotr Mazurek odszedł z funkcji pełnomocnika rządu ds. polityki młodzieżowej równo dwa miesiące temu. Ogłosił to na Facebooku: „W związku z nadchodzącymi nowymi zadaniami, kończę swą 7,5-letnią pracę w KPRM, w tym 2,5-letnią w jej kierownictwie”. Pasma sukcesów podsumowuje tak:

„Realnie wzmocniliśmy głos młodych na wszystkich poziomach władzy” i dodaje, że „te osiągnięcia i wiele innych nie byłyby możliwe, gdyby nie ogromne wsparcie premiera Mateusza Morawieckiego i wicepremiera Profesora Piotra Glińskiego”. Ale żadne nowe zadania

na Piotra Mazurka (rocznik 1993) nie czekały. Prawda jest taka, że młody wiceminister zaczął sprawiać wizerunkowe kłopoty, a mentorowi Mazurka, wicepremierowi i ministrowi kultury, zabrakło argumentów, aby go obronić.

Wiceministrem u premiera został w wieku zaledwie 26 lat z roczną pensją 173 tys. zł. Wcześniej był szefem gabinetu Piotra Glińskiego, a od 2018 r. warszawskim radnym PiS.

W partii mówią, że urodził się w garniturze, że miał szansę na wielką polityczną karierę. Ale Mazurek wcale nie wypadł z orbity władzy, uznano tylko, że w czasie kampanii, kiedy partia walczy o trzecią rządową kadencję, lepiej zdjąć go ze świecznika, bo może sprawić wizerunkowe kłopoty. ►



► Bo zupa była niedobra

W rządowych źródłach, w partii i z okolic Nowogrodzkiej słyszamy liczne i dość szokujące opowieści o Mazurku. – *Jego wielkopańskie i obcesowe zachowania drażniły otoczenie. Bardzo źle traktuje ludzi, absolutnie nie dojrzał do tej funkcji. Zaczęło się o nim mówić „drugi Misiewicz”* – opowiada osoba z Kancelarii Premiera. Kierowcy ze Służby Ochrony Państwa nie chcieli go wozić. Poniżał ich, kazał sobie otwierać drzwi do samochodu, w czasie pandemii nakazał, aby zakładałi kombinowany covidowe. – *Można to zrozumieć, ale wszystko da się załatwić w kulturalny sposób, a on awanturował się, wywyższał* – relacjonuje jeden z jego byłych współpracowników.

Premier zapewne stracił do niego cierpliwość po mailu, który Mazurek wysłał do Anny Nałęcz, dyrektorki generalnej KPRM. Tym razem poszło podobno o zupę, którą podano mu w stołówce w kancelarii. – *Napisał, że zupa była niedobra, że to skandal i tak nie może być. Zażądał wyjaśnień. Ona wysłała tego maila do premiera, a Morawiecki pokazał go Kaczyńskiemu i dostał zielone światło na wywalenie Mazurka z kancelarii* – opowiada nasz informator.

Innym razem jeden z kierowców oficjalnie poinformował szefostwo kancelarii, że wstyd pokazywać się gdziekolwiek z Piotrem Mazurkiem. To przy nim minister awanturował się w hotelowej restauracji, bo na śniadanie nie podano mu sera. – *To był chyba piątek, a on jako katolik pości, i to oczywiście rozumiałe, ale czy katolikowi wypada tak poniżać kelnerkę i krzyżać na nią, bo nie podała mu sera?* – pyta retorycznie nasz rozmówca.

Do tego wszystkiego lubi tworzyć wokół siebie dwór, zajmować honorowe miejsca, powoływać się na relacje z najważniejszymi w PiS. Ktoś opowiada, że zanim pojawiał się na jakiejś gali czy konferencji, to wcześniej wysyłał tam swojego asystenta, aby zarezerwował mu krzesło w pierwszym rzędzie.

W PiS mieli nadzieję, że odwołanie Mazurka, zresztą poprzedzone kilkoma rozmowami dyscyplinującymi, podziała na niego trzeźwiąco, że zmieni swój stosunek do ludzi. Tak się jednak nie stało.

Bo prezes był za miękki

Kilkanaście dni po dymisji w kwietniowy weekend Mazurek i działacze Fundacji Służba Niepodległej z jej prezesem Mateuszem Feszlerem (rocznik 2002) na czele bawili się w jednym z hoteli w Warszawie i przyległej do niego restauracji. Wynajęli pokoje i salę konferencyjną dla 40 osób. Nasi rozmówcy, którzy tam wtedy byli (chcą pozostać anonimowi), opisują, że „zabawa” w wykonaniu tych dwóch w głównej mierze polegała na poniżaniu obsługi. „Ej ty, ruszaj się, nie widzisz, że szkło już puste? Za co ci płacimy?” – miał krzyżać na kelnerki były pełnomocnik rządu ds. polityki młodzieżowej. „Tu się coś wylało, sprzątaj to!”.

Wieczorem, gdy duża część towarzystwa, nie wyłączając Mazurka i Feszlera, była pijana, według naszych rozmówców zachowywali się jeszcze gorzej, hałaśliwie, arogancko wobec kelnerek. Niektóre wchodziły na salę ze łzami w oczach.

Prym w tych zachowaniach wiodł Mazurek, ale 20-letni prezes fundacji starał się dotrzymać mu kroku. Tyle że najwidoczniej za słabo się starał, bo w pewnym momencie rozścieczony Mazurek wygarnął mu, że jest „pi... da nie prezes”,

bo zbyt pobłaźliwie traktuje obsługę restauracji. Wrzeszczał na niego tak długo, że Feszler rozpląkał się przy członkach swojej fundacji. Dwudniowemu pokazowi impertynencji Mazurka i Feszlera przyglądało się kilkadziesiąt osób, głównie ze Służby Niepodległej. Nie wszystkim podobało się ich zachowanie. Niektórzy potajemnie przeproszali obsługę, tłumaczyli, że to nic osobistego, bo „z tą dwójką zawsze jest tak samo”.

Mateusz Feszler nie odebrał telefonów od dziennikarzy POLITYKI. Nie odpowiedział także na prośby o kontakt. Piotr Mazurek proszony o spotkanie najpierw zgodził się, a potem przysłał esemes: „W związku z tendencyjnym charakterem Państwa wcześniejszych publikacji na temat mój oraz osób, z którymi współpracuję, a także z uwagi na przeszłość Państwa gazety jako organu prasowego PZPR, w mojej opinii determinującą niestety nadal określoną linię redakcyjną, jestem zmuszony odmówić Państwu wywiadu”.

Bo nam się należy

Działalność Mazurka jest determinowana, jak się wydaje, przez związki z partią. Jak sam pisze o sobie, „całe dorosłe życie” jest związany ze środowiskiem politycznym Prawa i Sprawiedliwości. „Od 2010 roku [czyli od 17. roku życia – red.] współpracuję z tą partią (m.in. uczestniczyłem w różnych rolach

we wszystkich kampaniach wyborczych PiS), a następnie zostałem jej członkiem”. Teraz chciał wystartować na posła, ale Jarosław Kaczyński nie ma dla niego miejsca na listach. Żegnając się z Kancelarią Premiera, napisał, że z „zaangażowania w sprawy młodzieżowe i NGO-sowe w pełni nie rezygnuję”.

– *To słabe, że człowieka, który tak po chamsku traktuje innych ludzi, zdjęliśmy ze świecznika, a wciąż zachował tak rozległy wpływ. Mazurek jest zaprzeczeniem standardów, o których mówimy* – denerwuje się nasz rozmówca z PiS.

Ostatnio o tych standardach PiS głośno było na ulu programowym partii. „Ten brak szacunku dla zwykłych ludzi, dla robotnika z fabryki, dla pana magazyniera, dla pani salowej, dla pani sekretarki, dla rolników. Ten brak szacunku był charakterystyczny w latach III Rzeczypospolitej, niestety. (...) Ostatnie komentarze przewodniczącego PO, których nie wymienię, też są komentarzami, które świadczą o stosunku do zwykłego człowieka, do zwykłych Polaków” – mówił szef rządu.

Mazurkowi premier odebrał tytuł ministra, ale inne funkcje ten zachował. Jest dziś: wiceprzewodniczącym rządowego Komitetu ds. Pożytku Publicznego, współprzewodniczącym rządowej Rady Dialogu z Młodym Pokoleniem, członkiem Rady Muzeum „Żołnierzy Wyklętych” i Więźniów Politycznych PRL, członkiem Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy oddziale IPN w Warszawie, radnym PiS, m.in. wiceprzewodniczącym komisji kultury (!) i wreszcie, członkiem rady Narodowego Instytutu Wolności (NIW), dokąd oddelegował go Piotr Gliński.

Rada NIW ma wpływ na to, jak dzielone są grube miliony i do których organizacji trafiają. Już od dawna wiadomo, że najszerszym strumieniem do tych powiązanych z PiS. Mechanizm przekazywania publicznych pieniędzy do zaprzyjaźnionych organizacji Mazurek ćwiczył od dawna.

Piotr Mazurek
lubi tworzyć wokół
siebie dwór, zajmować
honorowe miejsca,
powoływać się na relacje
z najważniejszymi
w PiS.



W październiku 2022 r. redakcje OKO.press i magazynu śledczego Frontstory opisały go tak: znajomi Mazurka, związani z PiS lub stowarzyszeniem KoLiber (Mazurek był jego prezesem przez cztery lata do 2015 r.), bawią się z ministrem i zakładają kolejne organizacje pozarządowe. Beneficjenci funduszy NIW nachalnie promują Mazurka w mediach społecznościowych i dostają granty z pieniędzy na politykę młodzieżową. Przepływ tych środków nadzoruje m.in. Mazurek. Tylko przez dwa lata, od 2018 r., gdy Mazurek zasiadł w radzie NIW, do momentu publikacji wyników dziennikarskiego śledztwa, organizacje założone przez byłych i obecnych działaczy KoLibra dostały z funduszu 20 mln zł.

Jedną z takich organizacji jest fundacja Portia założona przez Katarzynę B., reprezentantkę pravicowej młodzieży, a prywatnie przyjaciółkę Mazurka – 1 stycznia 2019 r. wrzuciła na Facebooka zdjęcie ze wspólnej imprezy w hotelowym pokoju. Kilka miesięcy później Portia dostała 362 tys. zł z NIW.

Bo trzeba się wypromować

W 2019 r. Katarzyna B. została wiceprezeską warszawskiego oddziału KoLibra. Niedługo później dostała pracę w Fundacji Giełdy Papierów Wartościowych, chwilę pracowała też w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. W tym czasie pokazywała się z Mazurkiem w warszawskim pubie studenckim Zielona Gęś. Portia miała zajmować się „promowaniem wszechstronnego rozwoju i edukacji człowieka na całym etapie życia”. Mimo znikomego dorobku i doświadczenia dostała z NIW w sumie blisko pół miliona złotych.

Rok temu Katarzyna B. została oskarżona o zabójstwo swojego narzeczonego Igora T., 21-letniego studenta prawa, wiceprzewodniczącego Młodzieżowej Rady Miasta Lublin. W nocy z 29 na 30 kwietnia 2021 r. został dźgnięty nożem w mieszkaniu Katarzyny B. na warszawskim Wilanowie. Kobieta opłacała lokal ze środków NIW, udając, że jest to biuro fundacji. 23 stycznia sąd skazał Katarzynę B. na 15 lat więzienia.

O wspomnianej na początku Fundacji Służby Niepodległej, która bawiła niedawno w jednym z warszawskich hoteli, głośno zrobiło się wrześniu 2021 r., gdy NIW przyznał jej milion złotych dotacji. Wiceprezesem Służby Niepodległej był wtedy Piotr Wasilewski, który jednocześnie zasiadał w radzie NIW. Był też współprzewodniczącym Rady Dialogu z Młodym Pokoleniem, i przewodniczącym Rady Dzieci i Młodzieży Rzeczypospolitej przy Ministrze Edukacji i Nauki. Wszędzie tam zasiada też obecny prezes Służby Niepodległej Mateusz Feszler. Fundacja powstała w 2016 r. skupia osoby z kręgu towarzyskiego Mazurka. Służba „dąży do krzewienia w młodym pokoleniu Polaków etosu propaństwowych patriotów chcących służyć niepodległej Rzeczypospolitej...”.

Nawet w kręgach PiS można usłyszeć, że to sposób na wyciąganie pieniędzy z państwowej kasy. Ale przysmykają na to oko, bo Mazurek wie, że przy okazji powinien promować nie tylko siebie, ale też polityków obozu władzy. Na licznych zjazdach weekendowych, w porządnym hotelu (wszystko dla uczestników za darmo, bo opłacane z pieniędzy NIW), ludzie związani z obozem władzy formują młodego Polaka pasującego do wizji PiS. I promują siebie. Wśród wykładców znaleźć można: Jarosława Sellina, Annę Fotę,

Kazimierza Smolińskiego, Tomasza Latosa i oczywiście samego Mazurka.

Ludzie ze Służby Niepodległej, jak wiele organizacji związanych z PiS, też zabezpieczają się na wypadek wyborczego niepowodzenia partii, której tak wiele zawdzięczają. Z ich sprawozdania finansowego za 2021 r. wynika, że z pieniędzy, które dostali z NIW, kupili za prawie pół miliona lokal użytkowy. Z 700 tys. zł, czyli całego ich przychodu za 2021 r., aż 648 tys. zł to wpływy z dotacji ze środków publicznych. W rubryce „składki członkowskie” widać wielkie zero, bo po co zrzucać się ze swoich pieniędzy, skoro tak łatwo można dostać państwowe.

Bo należy wytepić lewactwo

W 2018 r. wicepremier Piotr Gliński, promując Mazurka w wyborach do Rady Warszawy, napisał, że ceni jego ideowość i jest pewny, że „z oddaniem będzie działał na rzecz swoich wyborców”. – *Piotr znalazł się przy Piotrze Glińskim, kiedy ten szukał młodych ludzi do współpracy. Niestety, uczeń próbuje nieudolnie kopiować swojego mentora – ocenia dobrze zorientowany polityk PiS.*

Wiceprzewodniczący Rady Warszawy Sławomir Potapowicz uważa, że Mazurek należy do grupy najbardziej agresywnych radnych PiS. Do tego w trakcie wypowiedzi radnych innych klubów Mazurek pokrzykuje coś do oponentów lub namśmiewa się głośno z tego, co mówią. – *Nie jest jedynym radnym PiS, który zachowuje się niestosownie, ale z pewnością należy do awangardy – tłumaczy Potapowicz.*

W radzie miasta Piotr Mazurek zasiada w komisjach kultury oraz edukacji. Przewodnicząca tej ostatniej Dorota Łoboda kojarzy go z krzykliwymi, emocjonalnymi wypowiedziami i zawziętością. – *W radnych Koalicji Obywatelskiej i Lewicy widzi lewactwo i bolszewizm.*

Walka z lewactwem, bolszewizmem i komunizmem to konik Mazurka. W stowarzyszeniu KoLiber koordynował akcję „Goń bolszewika z pomnika”. Jako radny tropi patronów szkół i ulic, których powinno się zdekomunizować. Zaś w 2020 r. zablokował przyznanie nagrody miasta Warszawy dla Dariusza Stoli, dyrektora Muzeum Żydów Polskich, przekonując, że wprowadził do tej instytucji „propagandę organizacji skrajnie lewicowych”. Radna Łoboda dobrze pamięta tę sytuację. – *Nigdy wcześniej nie mieliśmy z czymś takim do czynienia. Kandydaci są wyłanianiani w drodze konsultacji między klubami większości i opozycji. Później nie podejmujemy dyskusji na ich temat, taka jest umowa. Radny Mazurek jako pierwszy się z niej wyłamał – tłumaczy.*

Po odwołaniu Mazurka nie ma nowego pełnomocnika rządu ds. polityki młodzieżowej i z naszych informacji wynika, że do wyborów nie będzie. Dlaczego? – *Bo nie potrzeba nam w kampanii walki młodych pieszków pod dywanem, ujadających, że jednej frakcji coś się więcej dostało, a innej nie doceniliśmy – mówi wprost ważny polityk PiS.*

W 28-stronicowej broszurze, bogato ilustrowanej zdjęciami ministra Mazurka, wydanej przez KPRM na zakończenie jego ministerialnej działalności, czytamy: „Utworzenie funkcji Pełnomocnika Rządu do spraw Polityki Młodzieżowej stanowiło przejaw otwartości administracji rządowej na dialog z młodymi Polakami”.

ANNA DĄBROWSKA, NORBERT FRĄTCZAK

Walka z lewactwem,
i komunizmem
to konik Mazurka.
W stowarzyszeniu
KoLiber koordynował
akcję „Goń bolszewika
z pomnika”.





TAK po ludzku

Śluby humanistyczne są coraz popularniejsze. Zwłaszcza wśród par, w których jedno z małżonków jest z zagranicy czy jedнопłciowych. Bywa, że na taki ślub decydują się też katolicy po rozwodach.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Kamila Tyborowska-Golnik jest niewierząca, choć z bardzo religijnej rodziny. Wiedziała, że nie chce ślubu kościelnego, cywilny w urzędzie kojarzył jej się raczej z podpisaniem umowy niż z uroczystością ważną dla niej i Maćka.

– *Moja koleżanka brała ślub humanistyczny. Ona Polka, on Francuz. We Francji wzięli ślub cywilny, w Polsce, dla rodziny i przyjaciół, którzy nie mogli przyjechać do nich, zorganizowali drugą uroczystość. Spodobało nam się to i tak zrodził się pomysł na naszą własną ceremonię* – opowiada Kamila i przyznaje, że początkowo nie mieli w ogóle pojęcia, „z czym się to je”. Zaczęli więc z Maćkiem szperać w internecie i szykować się na własną uroczystość.

W 2015 r. wprowadzono przepisy umożliwiające zawarcie ślubu cywilnego poza urzędem – w parku, ogrodzie czy choćby na zamku. To otworzyło drogę do organizowania uroczystości, które dla jednych par są dopełnieniem urzędowej formuły, bo nadają im szczególną oprawę, ale dla innych, jak np. jedнопłciowych, stały się publicznym sposobem na pokazanie bliskim i przyjaciołom, że ich związek w państwie, w którym nie ma zgody prawnej na małżeństwa homoseksualne, jest równie trwały i ważny.

Jacek Tabisz z Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów: – *A my zaczęliśmy się zastanawiać nad tym, czy w Polsce można byłoby doprowadzić do prawnego uznawania ślubów humanistycznych, które tak naprawdę są prywatną ceremonią bez jakichkolwiek formalnych konsekwencji.*

W ramach tego zastanawiania się polscy racjonalisci zaprosili do swojej internetowej telewizji pełnomocniczkę rządu ds. równego traktowania prof. Małgorzatę Fuszare (sprawowała tę funkcję w latach 2014–15). – *Minister za czasów koalicji PO-PSL powiedziała, że będzie wspierać ten projekt, ale z góry było wiadomo, że to raczej długotrwały proces* – opowiada Tabisz i przyznaje, że prawica błyskawicznie pochwyciła temat i zauważyła, że nieformalne śluby humanistyczne, połączone czasami ze ślubami cywilnymi, otwierają furtkę do małżeństw par homoseksualnych.

Wybuchła awantura, co dla członków Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów było zaskoczeniem, bo wbrew pozorom wcale nie są mocno lewicowi, uważają się za centrystów, a śluby humanistyczne traktowali (i traktują) jak rytuał ważny zarówno dla liberałów, jak i dla konserwatystów. Według nich tym pierwszym dają poczucie wolności, a tym drugim pokazują, że mimo narzekania na upadek wartości i instytucji rodziny dla ludzi istotny jest rytuał podkreślający wagę związku.

– *Dzisiaj dyskusja na ten temat jest w ogóle niemożliwa, choć jestem pewien, że przyjdzie czas na uczciwą debatę. W Szkocji liczba ślubów humanistycznych jest wyższa niż kościelnych. Człowiek jest istotą społeczną. Potrzebuje wspólnego przeżywania ważnych dla niego chwil, a takimi są narodziny dziecka, wejście w związek. Ślub humanistyczny taką możliwość daje* – tłumaczy Jacek Tabisz, a jego żona Kaja Bryx (ślub brali cywilny, w urzędzie, ale planują odnowienie go już w formule ślubu humanistycznego) dodaje: – *Oboje z Jackiem jesteśmy celebrantami, a więc prowadzimy te uroczystości. Każda jest inna, każda wyjątkowa i wzruszająca. I często jest tak, że na początku widzę nieufne spojrzenia członków rodziny, a już po wszystkim wielu z nich podchodzi i mówi, że nigdy wcześniej nie uczestniczyli w czymś tak wzruszającym.*

A co z kościołem?

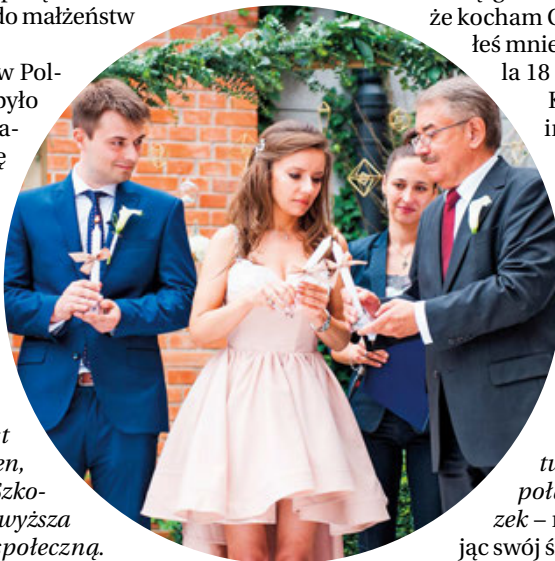
Kamila z Mackiem zaręczyli się na 9 miesięcy przed swoim ślubem. Ona, negocjatorka, wiedziała, że sukces osiąga się wtedy, kiedy udaje się przekonać ludzi do jakiegoś pomysłu – wciągając ich w jego realizację – bo wtedy uznają go za swój własny. O tym, że nie będzie brała ślubu kościelnego, powiedziała swojej mamie, wtedy już bardzo chorej. Mama zapytała ją: „A to będzie jak w teatrze? Udawane?”. „A czy twój ślub był udawany?” – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– *Mama zaakceptowała naszą decyzję. Tato długo nie mógł się zebrać do pytania o nasz ślub, aż w końcu któregoś dnia, już wychodząc od nas, w przedpokoj, rzucił tak zniechęca „a co z kościołem?”. Powiedziałam mu, że mama zaakceptowała to, że żadnego kościoła nie będzie* – opowiada Kamila i podkreśla, że jej brak zgody na ceremonię kościelną wynikał też z braku akceptacji dla wizji kobiety, jaką promuje katolicyzm w Polsce.

Maciek przyznaje, że zanim zaczęli układać swoją własną uroczystość, dostali kilka scenariuszy jako podpowiedź. Już wiedzieli, że mogą sobie sami ułożyć przysięgę. Taką, jaka będzie im najbliższa. „Nauczyłeś mnie słuchać tego, co mówi drugi człowiek, ale przede wszystkim usłyszeć to, czego nie mówi. Dzięki Tobie wiem, że nie samodzielność, ale wspólny wysiłek i wzajemna pomoc czynią mnie silną. Nauczyłeś mnie szybko przebaczać i krótko się gniewać, bo zawsze uświadamiałam sobie, że Kocham Ciebie bardziej niż siebie samą. Uczyniłeś mnie lepszym człowiekiem” – mówiła Kamila 18 sierpnia 2018 r., nie kryjąc wzruszenia.

Kamila dodaje, że połączyli też na swoim ślubie swoje rodziny. Ogniem. Ona z Mackiem zapalili świecę, a kolejno od tego ognia swoje odpalali tata panny młodej, mama pana młodego. Ta świeca też jest dzisiaj na honorowym miejscu w domu Kamili i Macka.

– *Ludzie podczas ceremonii wypijają toast, mieszając mleko z winem, a jak są z dwóch różnych krajów, to mieszają ziemię przywiezioną ze swoich ojczyzn. Najlepiej jak jest kolorowa, bo wtedy widać, jak te struktury i barwy się przenikają, symbolizując połączenie się dwóch ludzi w jeden związek* – mówią Kamila i Maciek, którzy, planując swój ślub, zdecydowali, że sfinansują go sami, by w ten sposób uniknąć jakichkolwiek nacisków ze strony najbliższych.



Kamila Golnik i Maciej Tyborowski (po ślubie obojga nazwisk).

Poniżej: Kaja Flaga i Amadeusz Andrzejewski



Z naukowej ciekawości

Dr Agata Rejowska ślubami humanistycznymi zajęła się naukowo. – *Transformacja po 1989 r. w Polsce pociągała za sobą nie tylko zmianę instytucjonalną, ale także ideową, która wywarła wpływ choćby na rytuały, i przygotowała grunt pod pojawienie się humanistycznych ceremonii ślubnych w Polsce* – mówi socjolożka z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dr Rejowska nie kryje, że pojawienie się w Polsce ślubów humanistycznych świadczy o zmianach w sferze kulturowej, symbolicznej i społecznej. I dlatego zdecydowała się na badania – z ciekawości naukowej, jakie za tymi zmianami stoją motywacje.

– *Potrzeby osób, które się decydują na śluby humanistyczne, są złożone, ale dominuje przekonanie, że rytuał katolicki – bo w polskim kontekście jest on dominujący – nie spełnia już swojej roli. Dla wielu osób więz z Kościołem jest tak rozluźniona, że wskrzeszenie jej na potrzeby ceremonii ślubu jest bezsensowne. Mówią o tym zresztą wprost, że byłaby to hipokryzja, ceremonia dla rodziny, dla której nagle staliby się praktykującymi katolikami, choć na co dzień w ogóle nimi nie są* – opowiada dr Agata Rejowska, dodając, że śluby humanistyczne stają się w Polsce coraz bardziej popularne również dlatego, że państwo młodzi nie wchodzi w relację petenta załatwiającego swoją sprawę w urzędzie, tak jak bywa w przypadku ślubów cywilnych.

► Dr Rejowska potwierdza, że na śluby humanistyczne decydują się pary wielkomiejskie, często wykonujące wolne zawody. W małych miastach i na wsiach kontrola społeczna jest ścislejsza i znacznie trudniej jest przeforsować uroczystość, która nie mieści się w powszechnie akceptowanym kanonie rytuałów, a więc w kościele lub w urzędzie stanu cywilnego. Okazuje się jednak, że jest to też kwestia relacji międzypokoleniowych. Co raz częściej bowiem młodsze pokolenie próbuje się wyłamać ze schematu „jak ślub, to w kościele”, a „jak dziecko, to chrzciny”. I jednocześnie starsze pokolenie rodziców i dziadków nie rozumie, przeciwko czemu ci młodzi się buntują. – *Często mówią „dobrze, nie chcesz ślubu kościelnego, ale co, jak się dziecko urodzi? Jak dostaniesz wtedy chrzest?”. Nie rozumieją, że to nie jest zachcianka, młodzieńczy bunt, który przejdzie, ale decyzja, która pociąga za sobą różne konsekwencje. Można więc mówić o zderzeniu dwóch perspektyw, które skupiają w sobie jak w soczewce kwestię postępującej sekularyzacji naszego życia* – mówi dr Rejowska.

Świeckie sacrum

Po podpisaniu przez Polskę konkordatu i wejściu w życie przepisów uznających śluby konkordatowe ich liczba systematycznie rosła, a spadała liczba ślubów cywilnych. Od kilku lat zachodzi jednak odwrotne zjawisko. W 2017 r. we Wrocławiu ślubów konkordatowych odbyło się 1052. W 2021 r. już tylko 686, czyli o 35 proc. mniej. W Krakowie w latach 2018 i 2019 liczba zawierzanych małżeństw konkordatowych była większa od cywilnych: w 2018 r. tych pierwszych było ponad 1800, a tych drugich niemal 1500, rok później odpowiednio – ponad 1700 i 1550. Pandemiczny rok 2020 zmienił sytuację nie tylko z racji wprowadzonych ograniczeń. Po raz pierwszy liczba zawartych ślubów cywilnych przekroczyła konkordatowe – w połowie 2022 r. 363 pary wybrały ślub kościelny i aż 735 cywilny.

– *Jednocześnie jednak w ludziach jest potrzeba sacrum, rytuału, który podkreśla znaczenie momentu przejścia, a takim właśnie jest ślub* – mówi dr Rejowska, dodając, że dla rytuału ważna jest też forma estetyczna, która niesie ze sobą jakiś przekaz, w przypadku ślubu humanistycznego istotny dla samych bohaterów ceremonii. Socjolożka z Krakowa przyznaje, że świeckie sacrum w pierwszym odruchu wydaje się oksymoronem, ale to dlatego, że kategoria sacrum została zagarnięta przez dyskurs religijny. – *A to, co się teraz dzieje w sferze religijnej, powoduje, że ludzie szukają tego sacrum poza zinstytucjonalizowanymi religiami. I często znajdują świeckie alternatywy realizowania tej potrzeby* – podkreśla Agata Rejowska.

Jacek Tabisz: – *Oboje z Kają jesteśmy ateistami. Ateistów spotkaliśmy w Indiach, na Sri Lance, w Indonezji, co tam wymaga znacznie większej odwagi niż u nas w Polsce. I zauważyliśmy, że ci ludzie, nie bojąc się swoich postaw, kiedy przychodzi w ich życiu moment przejścia, a takim jest ślub, sięgają po tradycję religijną. Nie mają zresztą innego wyjścia, jeśli chcą, by było to święto społeczne, rodzinne. Czasem proszą o to kapłana niszowej religii, by w ten sposób odciąć się od tej dominującej w ich kraju. A my mówimy, że jest trzecia droga, ślub humanistyczny.*

Dla Tabisza dyskusja o ślubach humanistycznych powinna wpisać się w znacznie szerszy temat – już nie tylko formalno-prawnego uznania takiej ceremonii. – *Chodzi o to, by związki światopoglądowe miały w Polsce takie samo znaczenie jak związki wyznaniowe. To ambitny temat, w dodatku mocno polityczny, ale tym bardziej warto go podjąć* – mówi Tabisz.

Na razie jednak oboje z Kają Bryx prowadzą uroczystości ślubów humanistycznych. Czasem młodzi, zanim wypowiedzą słowa napisanej przez siebie przysięgi, wyliczają powody,

dla których kochają swoją drugą połówkę (albo żartobliwie wymieniają wady). Jackowi zdarzyło się raz poprowadzić ceremonię w stylu rock opery, kiedy okazało się, że narzeczeni grali kiedyś w kapelach rockowych, koncertowali i w ogóle tego o sobie nie wiedzieli.

– *Dowiedzieli się dopiero, kiedy zaczęli przygotowania do swojej uroczystości. I to było naprawdę niesamowite przeżycie i dla nich, i dla mnie jako celebransa* – opowiada Tabisz, który prowadził też uroczystość zaślubin Kai Flagi i Amadeusza Andrzejewskiego. Państwo młodzi wystąpili w strojach stylizowanych na wiktoriańskie (podobnie jak spora część gości), ich rodzice odczytali wzruszające błogosławieństwa, a ślub można zobaczyć na YouTube. Ona jest wiolonczelistką, fotografką, kostiumografką i blogerką. On jest reżyserem, scenarzystą i absolwentem montażu filmowego w łódzkiej Filmówce oraz inżynierii dźwięku i obrazu na Politechnice Gdańskiej.

Dr Agata Rejowska: – *Osoby, z którymi rozmawiałam przy okazji swoich badań, należały do różnych odłamów klasy średniej, która jest bardziej skłonna do poszukiwania i łączenia różnorodnych elementów religijnych. Można więc powiedzieć, że humanistyczne ceremonie zaślubin są fenomenem klasowym.*

Ślub jak spektakl

Trudno oszacować łączną liczbę małżeństw humanistycznych zawieranych co roku w Polsce, ponieważ nie ma instytucji, która gromadziłaby na ich temat kompleksowe dane. Według szacunków celebransa z największej w Polsce firmy zajmującej się organizacją ślubów humanistycznych w 2016 r. przeprowadzono ich łącznie ok. 140. Ale trzy lata później tylko ta jedna firma wykonała ich już ok. 150. Joanna Humerczyk takie śluby organizuje od 12 lat. Z firmą, którą prowadzi z mężem Szymonem, współpracuje 30 mistrzów ceremonii. Obecnie koszt ślubu humanistycznego to 2500 zł w przypadku ślubów polskojęzycznych, 3000 zł przy ślubach dwujęzycznych, choć są celebransi, którzy wymagają jedynie zwrotu kosztów podróży do pary młodej.

– *Mogłoby wydawać się, że śluby humanistyczne są ekscentryczne i za każdym razem muszą mieć w sobie coś zaskakującego. Jednak nasza praktyka pokazuje coś innego. Większości par zależy na tym, aby przeżyć tę chwilę w poczuciu bliskości, miłości i bez stresu. Ślub humanistyczny najczęściej poprzedza zabawę weselną, dokładnie tak samo jak w przypadku ślubów kościelnych i cywilnych* – mówi Joanna Humerczyk i dodaje, że chciałyby, aby w przyszłości pary hetero- i homoseksualne mogły mieć możliwość wyboru ślubu; by nie tylko odbywał się na ich zasadach, lecz był tak samo ważny w świetle prawa jak ślub cywilny. I wierzy, że małymi krokami da się to w końcu osiągnąć.

Do mistrzów ceremonii dołączył niedawno Jakub Skrzywanek, laureat Paszportu POLITYKI w kategorii teatr, dyrektor artystyczny Teatru Współczesnego w Szczecinie – zaprosił pary nieheteronormatywne do, jak to nazwał, performatywnego ślubu, który mogą zawrzeć podczas wyreżyserowanego przez niego spektaklu „Spartakus. Miłość w czasach zarazy”. Do października 2022 r. taką uroczystość przeprowadzono dla kilkunastu par. „Pora powiedzieć stop. Pora zakończyć sztucznie produkowane spory. To nie są aktorzy, ale prawdziwe pary, które chciałyby móc zalegalizować swój związek. W Polsce jednak tego zrobić nie mogą” – mówił reżyser. Pierwsze pary, które takie śluby wzięły – przy dożynkowym ołtarzu w kształcie serca, zrobionym przez Koło Gospodyń Wiejskich ze wsi Stobno – to współtwórcy spektaklu związani ze Stowarzyszeniem Lambda Szczecin, skupiającym aktywistki i aktywistów LGBTQ.

KATARZYNA KACZOROWSKA



Wściekle nieufni, ślepo ufni

Rozmowa z prof. Krystyną Skarżyńską, współautorką i współredaktorką wydanej właśnie książki „Nieufność”, o tym, dlaczego również Polacy odwracają się od demokracji i dryfują w stronę autokracji.

EWA WILK: – Skąd pomysł na tak nietypowe przedsięwzięcie? W jednej książce mamy eseje kilkunastu polskich współczesnych myślicieli i badaczy, wszystkie na temat nieufności?

KRYSTYNA SKARŻYŃSKA: – Od kilku lat codziennie czytamy i słyszymy, że jakiś problem polityczny, społeczny, ekonomiczny wiąże się z brakiem zaufania między osobami i instytucjami, których sprawa ►

► dotyczy. Badania naukowe wyraźnie potwierdzają tę tezę. Trwałe i groźne konflikty międzynarodowe, np. Izrael–Palestyna czy Rosja–Zachód w znacznym stopniu wynikają z podsyconej przez lata nieufności.

Także rządzący dziś Polską celowo niszczą zaufanie obywateli do demokratycznych instytucji, do Unii Europejskiej, do mniejszości etnicznych i obyczajowych, dyskredytują i poniżają opozycyjnych polityków oraz wszystkie grupy społeczne, które stoją im na drodze do pełnej dyktatury. Nieufność stała się też jedną z przyczyn polaryzacji nie tylko w zakresie postaw, ale także emocji społecznych. A brak zaufania między liderami opozycyjnych partii osłabia szanse porozumienia, zmniejsza zaufanie obywateli do opozycji, co może skutkować mniejszą frekwencją wyborczą i przegraną.

Kilkanaście lat temu prof. Piotr Sztompka napisał głośno „Zaufanie”, dowodząc, że tzw. uogólnione zaufanie człowieka do człowieka, do instytucji, do świata jako miejsca bezpiecznego – jest filarem życia społecznego, trwania społeczeństw, ba, naszego gatunku. Czy „Nieufność” jest kontynuacją, czy może kontrą do tamtej lektury?

Koncentrujemy się na nieufności, rozumiemy ją jako uogólnioną podejrzliwość wobec ludzi, grup społecznych i instytucji, opartą na pochopnych sądach o czyichś złych intencjach oraz na ogólnej wizji „złego, zagrażającego świata”. Zaufanie i nieufność to zjawiska nie zawsze przeciwstawne, często współwystępują. Na przykład ufamy swojej rodzinie, nie ufamy obcym. A przecież złe dla świata może być także nadmierne zaufanie, ślepotą na błędy i grzechy bliskich nam osób i pozytywnych autorytetów. Zjawisko to było wcześniej opisywane jako amoralny familizm, prowadzący do nepotyzmu i korupcji, a ostatnio – jako *blinding trust* (ang. oślepiające zaufanie). Prowadzi ono do bezkrytycznego ulegania „swoim”, do tolerowania i usprawiedliwiania ich przekrętów.

Psychologowie zwracają uwagę, że nieufność jest często pochodną lęku przed jakimś zagrożeniem, formą obrony przed kolejną krzywdą czy stratą. I czasem bywa racjonalna. Badania, które prowadziłam z Konradem Majem w pierwszym roku pandemii Covid-19, wykazały, że im wyższa była ogólna nieufność wobec ludzi, tym silniejsza akceptacja ograniczeń chroniących przed

zachorowaniem. Przekonanie, że ludzie na ogół dbają wyłącznie o swoje interesy i w swoich zachowaniach nie liczą się z innymi, skłania tak myślących nie tylko do stosowania technik zaradczych (w sytuacji pandemii dość skutecznych), ale też prowadzi do zgody na ostre kary dla nieprzestrzegających takich reguł. Nieufność często idzie w parze z tendencją do akceptacji i stosowania dotkliwych kar, zwłaszcza w sytuacjach zagrożenia grupy. Pozwala to zrozumieć, dlaczego nieufność sprzyja autorytarnej władzy.

Książka nie koncentruje się na Polsce, lecz ukazuje nasz pędzący ku autorytaryzmowi kraj na globalnym tle. I wygląda na to, że zaraza nieufności (oraz oślepiającej ufności) szerzy się jak jakiś mentalny covid. Na niej ufundowane są współczesne ostre ideowe

spory, populizmy, nietolerancje, zamordyzmy. Da się krótko opisać ten mechanizm?

Podstawowy mechanizm ucieczki od wolności w stronę autorytaryzmu jest wszędzie ten sam. Powodowany różnymi przyczynami lęk, niepewność, zachwianie poczucia bezpieczeństwa popychają jednostki i duże grupy społeczne ku akceptacji konserwatywnych przekonań, odwołujących się do tradycji, jasnej hierarchii społecznej, braku tolerancji dla różnego rodzaju odmienności, zamknięcia dla „obcych”. Wybieramy do władzy tych, którzy oferują nam takie wartości (albo wydaje nam się, że to proponują). I mechanizm się nakręca.

Trzymający władzę mają wpływ na społeczeństwo, w pewnym sensie socjalizują obywateli – zarażają nieufnością, uczą wrogości. Choć obiecają bezpieczeństwo – wprowadzają niepokój i realne zagrożenia.

Trzymający władzę w Polsce, zarażając nieufnością, jednocześnie zainstalowali w ogromnej części społeczeństwa ślepe zaufanie do siebie. Czy teraz w Polsce, w roku wyborczym, nie staje się ono większym problemem niż legendarna dla naszego społeczeństwa nieufność?

Oba te zjawiska są niedobre dla demokracji. I oba obserwujemy u nas. Co gorsza, oba zyskują na wyrazistości w ostatnich miesiącach i mogą odegrać rolę w wyborach. Nieufność wobec rządzących jest coraz większa u tych, którzy widzą i słyszą, co oni robią i mówią. Podśłuchy osób związanych z opozycją bądź tylko nieposłusznych władzy, spadające rakiety, kryzys w sądownictwie, konflikty z instytucjami unijnymi, łamanie wolności badań naukowych, rosnące koszty życia – przy wyłącznie

Dlaczego świat zakręca?

„Nieufność: źródła i konsekwencje” pod redakcją prof. Andrzeja Eliasza i prof. Krystyny Skarżyńskiej od połowy maja jest dostępna online na stronie: www.ipwc.pw.edu.pl. Książka zawiera kilkanaście esejów, dostarczających interesujących odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak wiele krajów, w tym Polska, odwraca się dziś od liberalnej demokracji. O splocie właściwości psychicznych, które sprzyjają postawom autorytaryzm, pisze Andrzej Eliaz. Procesy prowadzące do głębokiej polaryzacji społeczeństwa w Polsce i USA opisuje Krzysztof Jasiewicz. Zjawisku antyelitaryzmu przygląda się Piotr Kulas. Wojciech Cwalina i Paweł Koniak opisują efekty „obraźliwego” języka, jakim komunikują się między sobą politycy. Witold Orłowski wyjaśnia źródła nieufności wobec prognoz ekonomistów oraz osób podających się za nich. Dwa rozdziały można traktować jako studia tragicznych przypadków: niszczenia praworządności w Polsce rządzonej przez PiS – to analiza Mirosława Wyrzykowskiego oraz zakłamania i manipulacji w działalności dyplomatycznej Rosji – esej Adama Daniela Rotfelda. O zmianach społecznych, jakich dokonuje powszechny dostęp do internetu, piszą Maciej Mrozowski, Piotr Szarota i Michał Boni. O emocjach wobec różnych „obcych” piszą w książce Michał Wypych, Kamila Zochniak i Michał Bilewicz, zaś różnicom w politykach migracyjnych rozmaitych państw europejskich przygląda się Paweł Boski.

optymistycznej opowieści ludzi władzy – wzmacniają nieufność zarówno co do kompetencji tej władzy, jak i jej moralności. Przypuszczam, że część dawnych wyborców PiS już także to widzi, powoli traci pełne zaufanie i entuzjazm do głosowania na tę partię.

Bardzo powoli. Słupki poparcia dla PiS budzą nie tyle niedowierzenie, ile przerażenie: po ujawnieniu kolejnych afer nie spadają, a niekiedy wręcz rosną. Politolodzy, badacze społeczni, publicyści wklajają się w analizach i oczekiwaniach, że ten twardy elektorat wreszcie przejrzy na oczy. Jakiejże to operacji dokonano na ogromnej części polskiego społeczeństwa, że zaćma, usuwająca z pola widzenia nieprawość, złodziejstwo, dewastację instytucji państwa prawa, jest tak trwałą?

Ślepo ufający są niewrażliwi na fakty, bo czują się emocjonalnie czy tożsamościowo związani z rządzącymi: „I my, i oni nie byliśmy przez lata dostatecznie doceniani, zauważani, nie doceniano naszych zasług, wartości. Nam się teraz należy więcej”. Grupa tożsamość, oparta na poczuciu krzywdy, prowadzi często do bezgranicznego zaufania tym, których postrzega się jako podobnie skrzywdzonych; skłania do stawiania w ich obronie, także przy urnie wyborczej. Piszemy o tym. *Fuzja tożsamości* to zjawisko opisujące popełnianie przestępstwa dla rzekomego dobra grupy. Warto jednak pamiętać, że osoby o autorytarnej mentalności szybko zmieniają swoje preferencje polityczne, gdy widzą siłę lub wyraźną zapowiedź zwycięstwa po drugiej stronie.

Wielu autorów „Nieufności” próbuje poprowadzić swoje diagnozy ku konstruktywnym wnioskom, poszukując sposobów na odwrócenie proautorytarnych trendów. Nie idzie im to najlepiej. Rozumiem, że nie pisali państwo podręcznika ani poradnika. Ale: co robić?

Po pierwsze, edukacja w zakresie rozumienia mediów, osvajania się z niepewnością, różnorodnością kulturową, obyczajową. Po drugie, aktywizm obywatelski, szeroka współpraca dla tak ważnych celów, jak przestrzeganie praw człowieka, ochrona klimatu, dobre relacje z UE, sprawiedliwa płaca. Wspólne działanie nawet w drobnych lokalnych sprawach uczy słuchania różnych głosów i buduje mosty między ludźmi.

Teraz np. trzeba zgłaszać się do pilnowania przebiegu wyborów, płacić, ile kto może, na partie demokratyczne i głośno bronić praw obywatelskich. A mosty między ludźmi można budować codziennie. Przecież to niewiele kosztuje, a bywa bardzo przyjemne.

Pierwsze zdanie w książce – z pani wstępu – to odwołanie się do tezy antropologów, że *Homo sapiens* jest najbardziej przyjaznym gatunkiem na świecie. Ale natychmiast gasi je uwaga, że owszem, człowiek jest dobry i przyjemny, ale tylko dla swoich. Poświęciła pani temu własny rozdział książki.



Krystyna Skarżyńska jest profesorką nauk humanistycznych, psycholożką, specjalizuje się w psychologii społecznej i politycznej, pracuje w Uniwersytecie SWPS.

Tak, ten o pułapkach pamięci historycznej, gdy grupa społeczna lub jednostka przyznaje sobie szczególnie prawa z powodu doznawanych wcześniej niezaskuszonych cierpień. Pokazują, jak koncentracja pamięci na doznawanych w przeszłości krzywdach staje się sposobem na dowartościowanie czy nawet gloryfikację własnej grupy i negowanie jej win oraz przypisywanie „innym”, „obcym” wrogości czy agresywnych zamiarów. Chroniąc w ten sposób wysoką, ale niepewną samoocenę, stajemy się roszczeniowi i ślepi na cierpienia i problemy innych grup.

Ostatnie słowo w książce ma prof. Eliaz. Cytuje filozofa José Orteę y Gassetę, bo jego ostrzeżenie sprzed stu lat znów nabrało mocy: „Gdy wszystko wydaje się możliwe, przeczuwamy, że możliwe może być też to, co najgorsze: cofnięcie się w rozwoju, barbarzyństwo”. Czy ludzkość znów stoi na tak niebezpiecznym progu? Czy wszystko jest możliwe?

Pyta pani, czy z powodu rosnącej w świecie nieufności stoimy w obliczu zagłady naszego gatunku? Moja

odpowiedź jest mniej pesymistyczna niż pani odczucie: to, czy przetrwamy, zależy od naszej uważności na świat i poczucia odpowiedzialności nie tylko za siebie; odejścia od wąskich identyfikacji społecznych. Groźna dla świata jest zgeneralizowana nieufność, ale także nadmierna ufność w to, że ktoś lub coś, na przykład polityk czy sztuczna inteligencja, wie wszystko najlepiej i rozwiąże za nas każdy problem. Końca historii szybko nie przewiduję.

Czytając esej po esej, miałam narastające wrażenie, że nad człowiekiem wisi przekleństwo: bezustannie tworzy on sobie wroga, jakby to była jakaś fundamentalna potrzeba psychiczna. I to go zniszczy.

Nie zgadzam się z tak ogólną tezą. Często szukamy osób lub grup do porównań, by zdiagnozować siebie jako lepszych, mądrzejszych, bardziej szlachetnych. Większości ludzi wrogowie nie są potrzebni „na co dzień”, ale możemy szukać wrogów dla usprawiedliwiania naszych indywidualnych lub grupowych niepowodzeń lub zarażać się ogólną nieufnością i wrogością od tych, którzy dążąc do władzy lub pragnąc ją zachować – wskazują wrogów i sięją nienawiść. Zniszczyć nas może raczej obojętność i bierność społeczeństwa wobec tych, którzy uczą nieufności wobec „innych”, „obcych” i propagują wrogość wobec każdej mniejszości czy odmienności. Szukając bezpieczeństwa i stabilizacji w szybko zmieniającym się świecie, ulegając władzy wykorzystującej naszą potrzebę bezpieczeństwa wyłącznie dla własnych korzyści i poszerzenia kontroli nad nami, budujemy mury nieufności. Tracimy wolność i solidarność. Stajemy się samotni. Bezpieczna samotność to raczej rzadkość i żadna przyjemność.

ROZMAWIAŁA EWA WILK

Czego dusza zapragnie

W teorii państwo nie finansuje działalności o charakterze religijnym. W praktyce odbywa się to poprzez rozmaite furtki w przepisach. Kolejne z nich właśnie wychodzą na jaw.

ZBIGNIEW BOREK

Nieruchomości warte niemal 69 mln zł organa władzy publicznej przekazały Kościołom i ich organizacjom za jedną dziesiątą ceny. Najwięcej skorzystał Kościół katolicki, część nieruchomości została darowana, inne sprzedane z obniżką sięgającą 99,9 proc. wartości – wynika z najnowszego raportu SOISH, apolitycznego i neutralnego światopoglądowo stowarzyszenia badającego relacje państwa i Kościołów. Sprawdziło działanie jednej ustawy (której nazwa nie kojarzy się nawet z religią), w ciągu zaledwie sześciu lat (2015–21), uwzględniając tylko powiaty (choć gmin jest sześć razy więcej, a województwa mają więcej nieruchomości). Opisało więc tylko wycinek rzeczywistości.

– *Całkowita skala zjawiska może sięgać setek milionów złotych* – mówi Agnieszka Filak, prawniczka ze stowarzyszenia. Kompleksowo nie kontroluje tego żadna instytucja państwowa czy kościelna, ale raport doskonale obrazuje mechanizmy przepływu majątku państwa do Kościołów, zwłaszcza dominującego. – *W kularach słychać głosy oburzenia wobec takich „prezentów dla Kościoła”, ale gdy przychodzi do głosowania, niemal wszyscy są za* – opowiada radny z Olsztyna Mirosław Arczak, który protestował przeciwko sprzedaży z 99-proc. bonifikatą trzech działek koło jednej świątyni wartej odpowiednio 860 tys., 150 tys. i 194 tys. zł.

Powiatowe prezenty

Dzięki grantowi Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska i Funduszu Obywatelskiego im. Henryka Wujca SOISH zebrało informacje o sprzedaży nieruchomości z bonifikatą przez 380 powiatów i miast na prawach powiatu (takich



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

jak Olsztyn) osobom prawnym Kościołów i innych związków wyznaniowych. To możliwe dzięki ustawie o gospodarce nieruchomościami. Art. 68 ust. 1 pkt 2 pozwala na przyznanie obniżki wszelkim (nie tylko wyznaniowym) osobom i organizacjom, które prowadzą niezarobkową działalność charytatywną, opiekuńczą, kulturalną, oświatową, sportową, turystyczną itp. Z zebranych danych (odmówił tylko Rzeszów) wynika, że taką transakcję przeprowadził niemal co dziesiąty powiat (9,21 proc.), sprzedając nieruchomości warte łącznie 30,4 mln zł za 4,3 mln zł. Wysokość bonifikat wahała się od 60 do 99,9 proc. (średnia: niemal 90 proc.). Z kolei średnia wartość nieruchomości to 1 mln zł. Najdroższą (prawie 6 mln zł) Gdańsk sprzedał osobie prawnej Kościoła zielonoświątkowego z 73-proc. zniżką. Najtańszą (3,7 tys. zł) kupiła katolicka parafia od starostwa żagańskiego (woj. lubuskie) ze zniżką 90 proc.

Najczęściej do takich transakcji dochodziło w miastach na prawach powiatu (nieruchomości jest tam więcej i są droższe), w podziale na regiony dominuje Dolny Śląsk, gdzie sprzedano ze zniżkami majątek wart 10,5 mln zł, oraz zachodnie Pomorze i Kujawy z Pomorzem (ponad 4 mln zł). Najwięcej skorzystały osoby prawne Kościoła katolickiego: kupiły więcej niż co drugą nieruchomość (55 proc.) o wartości 17 mln zł, płacąc niespełna 2 mln zł.

Kościół katolicki jest też największym beneficjentem innego przepisu ustawy o gospodarce nieruchomościami: art. 68 ust. 1 pkt 6 pozwala sprzedawca nieruchomości z bonifikatami na cele sakralne. Jego stosowanie w powiatach SOISH sprawdził przed dwoma laty (pisaliśmy o tym w publikacji „Jak Kościół ziemią obraca”, POLITYKA 34/21). Tamte ustalenia przypominają raport tegoroczny: taką transakcję miał na koncie co dziesiąty powiat, średnia bonifikata wynosiła 91 proc. (rozpiętość była większa: od 19 do 99,99 proc.), a Kościół katolicki kupił jeszcze więcej, bo ponad dwie trzecie nieruchomości, cieszył się też z największych zniżek.

Dzięki tylko tym dwóm przepisom Kościoły i związki wyznaniowe zyskały nieruchomości warte 61,3 mln zł. A to nie wszystko, bo na mocy tej samej ustawy (art. 59 ust. 5) rządowe agendy mogą przekazywać organizacjom pożytku publicznego nieruchomości w formie darowizny, bez nawet symbolicznej opłaty. I tak Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa (KOWR) w latach 2015–21 przekazał majątek wart prawie 7,5 mln zł, w tym organizacjom katolickim za 5,7 mln zł (dla porównania: organizacje bezwyznaniowe razem wzięte dostały nieruchomości za 1,8 mln, a Caritas Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej – za 2,8 mln zł). Podsumowując: za majątek wart 68,8 mln zł Kościoły, związki wyznaniowe i powiązane z nimi organizacje zapłaciły 7,3 mln zł. Kościół katolicki i jego osoby prawne nabyły nieruchomości warte 38,5 mln zł, płacąc niespełna 4 mln zł.

Powtórzmy: to jedynie fragment rzeczywistości obejmujący sześć lat. Ustawa o gospodarce nieruchomościami, która to umożliwiła, obowiązuje tymczasem od 1997 r. Stwarza też możliwość (art. 37 ust. 4) dzierżawienia nieruchomości bez przetargu. Gdy przed dwoma laty radny ze Szczecina Przemysław Słowik sprawdzał skutki ustawy, okazało się, że tylko jego miasto na cele sakralne sprzedawało i oddało w dzierżawę z olbrzymimi

bonifikatami 23 nieruchomości warte aż 38,17 mln zł (z wyjątkiem kilku, podmiotom katolickim). Kiedy POLITYKA próbowała sprawdzić skalę zjawiska w kraju, okazało się, że Sekretariat Konferencji Episkopatu Polski „nie zbiera takich danych i nie prowadzi ich analizy”, wojewodowie „nadzorują tylko zgodność udzielenia bonifikat z prawem”, a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji „nie jest organem odwoławczym”. Ten resort dekadę temu zapowiadał „raport, który wykaże stan majątku oddanego po 1989 r. różnym podmiotom prawnym, w tym kościołom”, ale do dziś nie powstał.

Prawie 100 proc. zniżki

– *Nie sposób traktować wszystkich tych przepływów majątkowych jednakowo* – zastrzega Agnieszka Filak z zarządu SOISH. Jak zauważa, rodzajem „ bonusu” od państwa jest przekazywanie gruntów na cele sakralne. Inaczej warto spojrzeć na wspieranie podmiotów realizujących zadania użyteczne społecznie, które jest zgodne z obowiązującą w Polsce zasadą subsydiarności. Takie rozwiązania stosowane są w wielu krajach, ale pod jednym warunkiem: korzystające z pomocy publicznej organizacje muszą wykorzystywać majątek zgodnie z przeznaczeniem, czyli np. na działalność edukacyjną, a nie religijną. – *Takiej pewności jednak nie mamy, bo w naszym systemie prawnym nikt nie jest zobowiązany do kontroli. Aby organizacja straciła majątek, musiałaby w praktyce sama na siebie donieść, że wykorzystuje go niezgodnie z przeznaczeniem.*

Zarówno cele sakralne, jak i niezarobkowy charakter działalności nie są dostatecznie (i ustawowo) zdefiniowane. – *Cel sakralny może więc być kapliczką w wybudowanym „przy okazji” wielkim centrum konferencyjnym, a z zarobkowania niektóre organizacje tłumaczą się tym, że dochody przeznaczają na działalność non profit* – tłumaczy Filak. Media (nasz tygodnik także) szeroko opisywały przypadek działki, którą Gdańsk sprzedał parafii św. Loyoli za 4,5 tys. zamiast 457 tys. zł na działalność sakralną. Arcybiskup Sławoj Leszek Głódź zamienił ją w prywatny ogród: ustawił ule, kurniki i sprowadził daniela, a celu sakralnego miała dowodzić figurka Matki Boskiej. Działalnością non profit miał służyć (co zapisano w umowie) dawny szpital przy al. Wyzwolenia w Szczecinie, który Kościół katolicki (a konkretnie oskarżony o pedofilię ks. Andrzej Dyrmer) odkupił wraz z 1,5-hektarowym parkiem za 19 tys. zamiast 19 mln zł. Powstał tam Szpital Rehabilitacyjny Świętego Karola Boromeusza, który – jak ustaliliśmy – oferuje płatne konsultacje, zabiegi i turnusy. Z kolei portal OKO.press opisywał przypadek wartego 11 mln zł rządowego ośrodka, który Agencja Nieruchomości Rolnych (poprzedniczka KOWR) przekazała Caritas Archidiecezji Warmińskiej, a ta wynajmowała turystom, choć umowa darowizny zakazywała zarabkowania.

Brakuje też czytelnych zasad przyznawania bonifikat. Ustawa nie określa dopuszczalnej ich wysokości, w praktyce sięgają 99,9 proc., a nawet 99,99 proc. Kwoty, jakie dzięki temu organizacje wyznaniowe płacą za przejście olbrzymiego majątku, mogą budzić niedowierzanie. Za 1 promil wartości udało się Kościołowi zdobyć nie tylko działkę w Gdańsku dla arcybiskupa Głódzia czy dawny szpital w Szczecinie. Za 2,5 tys. zł zamiast 2,5 mln zł salezjańskie stowarzyszenie kupiło dawną szkołę w Dębnie (woj. zachodniopomorskie), a inna osoba prawna Kościoła katolickiego za nieruchomość w powiecie lubelskim wartą 843 tys. zł zapłaciła 842 zł. W Szczecinie miasto chciało sprzedać za grosze działkę na Osiedlu Nad Rudzianką pod budowę kościoła, choć w promieniu 3 km są tam już cztery świątynie. Co trzeci mieszkaniec osiedla protestował, ostatecznie niemal 6 tys. m kw. oddano Kościołowi w dzierżawę. Opłatę ►

► ustalono na 3 promile wartości działki: to 119 tys. zł za 30 lat, miesięcznie 331 zł. Potem Kościół będzie mógł działkę odkupić, też za grosze, jak było np. na szczecińskim osiedlu Gumieńce, gdzie parafia Przemienienia Pańskiego dzierżawioną od 30 lat działkę wartą 1,5 mln zł kupiła za 3,5 tys., czyli ok. 2 promile ceny.

Tymczasem NSA w 2014 r. rozstrzygnął, że „bonifikata wynosząca 99,99 proc. wartości rynkowej stanowi w istocie darowiznę. Nabycie nieruchomości (lub udziału w nieruchomości) za cenę odpowiadającą 0,01 proc. jej wartości nie stanowi jakiegokolwiek ekwiwalentu za zbywane prawo”.

Szermierka za miliony

Innym problemem jest niejednakowe traktowanie różnych Kościołów: nabywają nieruchomości w tym samym trybie, ale z różną zniżką. W raporcie sprzed dwóch lat tylko jeden samorząd (Lublin) wskazał, że udziela bonifikat w równej wysokości, powołując się na orzecznictwo sądów administracyjnych i konstytucyjną zasadę równouprawnienia Kościołów i innych związków wyznaniowych. Do skrajności doszło w Suwałkach, gdzie dwie parafie rzymskokatolickie otrzymały 99 proc. zniżki, a Wschodni Kościół Staroobrzędowy 18,68 proc. W raporcie tegorocznym czytamy, że w Wałbrzychu Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety otrzymało 99 proc. zniżki, a Zbór Kościoła Zielonowiątkowego w RP – 89,93 proc.

Jasne i równe dla wszystkich reguły są tymczasem potrzebne, bo oficjalnie nasze państwo nie finansuje, a w każdym razie nie powinno finansować działalności o charakterze religijnym. Ten zakaz wynika z modelu relacji z Kościołami i związkami wyznaniowymi opisanego w konstytucji, a wprost z ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania z 1989 r. (art. 10: Państwo i państwowe jednostki organizacyjne nie dotują i nie subwencjonują kościołów i innych związków wyznaniowych). Brak czytelnich zasad premiuje przede wszystkim dominujący w Polsce Kościół katolicki: korzystając z politycznej siły, wywiera presję na lokalne samorządy (i nie tylko).

– *Jako miasto regularnie wyzbywamy się na jego rzecz publicznego majątku* – komentuje radny Słowik, który badał sprzedaż i dzierżawę nieruchomości w Szczecinie. – *Kościół katolicki traktuje miasto jak bogatego biznesmena, na którym chce zarobić jak najwięcej* – tak krakowski radny Dominik Jaśkowiec komentował zabiegi Kościoła o maksymalną bonifikatę na kupno gruntu ze świątynią św. Łazarza i jednocześnie stawianie miastu wygórowanych żądań w sprawie odsprzedaży części parku Jalu Kurka. Głosy oburzenia na majątkową zachłanność instytucji Kościoła słyhać też z Torunia (wycenioną na 1,6 mln zł działkę na Osiedlu Jar miasto chciało wydzierżawić Kościołowi na 98 lat za 48 zł rocznie) czy Olsztyna, gdzie katolickie stowarzyszenie w ciągu jednego tylko roku pod budowę hali sportowej kupiło z 99-proc. zniżką trzy działki w sąsiedztwie kościoła przy ul. Wyszyńskiego o łącznej wartości ok. 1,2 mln zł. – *To bardzo atrakcyjny teren, ale gdy cztery lata temu stowarzyszenie występowało o kupno działek, nikt nawet nie wnikał, czy nie można go wykorzystać inaczej, ani czy stowarzyszenie stać na realizację planów. Wystarczyło, że jest katolickie* – mówi radny Arczak.

Chodzi o Stowarzyszenie Świętej Rodziny, które prowadzi przedszkole, podstawówkę i ogólniak. W sierpniu 2022 r. lokalne media donosiły, że tuż obok nich poświęcono i wmurowano kamień węgielny pod budowę hali sportowej, oficjalnie: Warmińsko-Mazurskiego Centrum Szermierki i Kultury Fizycznej. Na uroczystości rząd reprezentował szef Rządowego Centrum Legislacji Krzysztof Szczucki, który rok wcześniej podpisał z liceum prowadzonym przez to stowarzyszenie umowę

na prowadzenie zajęć w zakresie prawa – ustalił Konkret24. Inwestycję wspierała posłanka PiS Iwona Arent, a według konserwatywnego portalu opinie.olsztyn.pl „entuzjastą powstania w Olsztynie Centrum Szermierki i Kultury Fizycznej okazał się także prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, który jest oddanym kibicem szermierczych zmagani”.

Ministerstwo Sportu i Turystyki uznało ten obiekt za strategiczny dla rozwoju sportu w Polsce i przyznało 12,3 mln zł, a premier Morawiecki sygnął dotacjami z rezerwy budżetu państwa umożliwiającej „reagowanie w sytuacjach nagłych, których wystąpienia nie można było przewidzieć” – tej samej, która zasiła kwotą ponad 4 mln zł fundację związaną z Kukizem. Stowarzyszenie Świętej Rodziny otrzymało z tego źródła w 2022 r. 10 mln zł, rok wcześniej 1,9 mln zł. Inwestycja ma pochłonąć ponad 29 mln zł, z czego co najmniej 24 mln z budżetu państwa, a wkład własny stowarzyszenia to ok. 300 tys. zł.

– *Cieszę się, że miasto zyska nowy obiekt, choć gwarancji nie mamy, bo już stojąc po sąsiedztwie świątyni mieszkańcy nazywają „kościółem wiecznej budowy”* – komentuje radny Arczak. I dodaje: – *Wolałbym, żeby to wszystko odbywało się na przejrzystych i jednakowych dla wszystkich zasadach, ale inne organizacje nie mają żadnych szans na taką przychylność. To im zresztą podcina skrzydła, część nie decyduje się nawet na składanie wniosków, bo czuje, że stoi na przegranej pozycji.*

Ksiądz z Jaguarem

Aby wyrównać szanse, SOISH postuluje więc przemysłenie przepisów ustawy o gospodarce nieruchomościami na nowo, przede wszystkim ustalenie kryteriów przyznawania bonifikat i jasnych procedur. Agnieszka Filak: – *Trzeba by też przynajmniej doprecyzować, czy organizacje non profit mogą w kupionych z bonifikatą obiektach prowadzić jakąkolwiek działalność zarobkową. Jeśli tak, to w jakim zakresie i jak rozliczać jej dochody oraz kto, jak długo i w jaki sposób powinien sprawdzać, czy organizacja wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Podobnie trzeba uściślić przepisy dotyczące nabywania nieruchomości na cele sakralne, które wymagają też zdefiniowania.*

Projekt obejmujący podobne zmiany złożył klub Lewicy, ale od dwóch lat czeka w sejmowej zamrażarce, tymczasem doczesne cele, jakie oficjalnie przyświecają zdobywaniu doczesnego majątku, wcale nie muszą być wieczne. Kupiony za grosze szpital przy al. Wyzwolenia w Szczecinie działalność leczniczą musi prowadzić jeszcze tylko przez 12 lat – później Kościół może z nim zrobić, co dusza zapragnie. Podobnie jest z działką, którą Agencja Mienia Wojskowego sprzedała archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej. Zamiast 2,8 mln zł zapłaciła 140 tys. zł. „Z początku miał stanąć tam kościół, potem kaplica, ale proboszcz wciąż zbiera środki od parafian. Jeśli nie zdąży do 2029 r., archidiecezja będzie mogła postawić tam, co zechce” – pisało OKO.press. Z kolei TVN24 ujawnił przypadek intratnej odsprzedaży działki na gdańskim Ujeścisku. Miasto przekazało tamtejszej parafii pw. św. Teresy Benedykty działkę o pow. 1,6 ha. Według rynkowej wartości kosztowała 1,7 mln zł, ale parafia zapłaciła 34,4 tys. zł, czyli 2 proc., bo na działce miał powstać nie tylko kościół, ale też żłobek. Tymczasem proboszcz Eugeniusz S. sprzedał połowę działki pod budowę marketu za ok. 2 mln zł. Po tym jak sprawa ujrzała światło dzienne, miasto zażądało zwrotu części bonifikaty o wartości jednej czwartej działki, czyli 400 tys. zł. Jak ustalił TVN24, ks. Eugeniusz S. prywatnie ma dom wart ponad 2 mln zł, wykończył go marmurem, który wygląda identycznie jak marmur w wybudowanym z datków kościele, a w garażu do niedawna parkował sportowy Jaguar.

ZBIGNIEW BOREK



Stanisław Pyjas. Powyżej: manifestacja po jego pogrzebie, Kraków 1977 r.

Mitu nic nie ruszy

Rozmowa z Cezarym Łazarewiczem, autorem książki „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”, o tym, co udało się ustalić, a co pozostanie tajemnicą śmierci krakowskiego studenta w 1977 r.

JOANNA PODGÓRSKA: – **Wydawało się, że o sprawie Pyjasa nie da się powiedzieć już nic nowego.**

Gdy zaczynałeś pracę nad książką, miałeś nadzieję, że tobie się uda?

CEZARY ŁAZAREWICZ: – Gdy napisałem książkę o śmierci Grzegorza Przemyska, pojawiło się pytanie, o kim ma być następna. Wszyscy mówili: pisz o Pyjasie. Ale ja właśnie miałem to poczucie, że trudno będzie dodać do tej historii coś nowego; sprawa jest oczywista i nie ma w czym grzebać. I że byłaby podobna do książki o Przemysku, bo opowiadała by o tych samych mechanizmach. To mnie zniechęcało. Dopiero Dorota Nieznańska, która przygotowywała wystawę o Staszku Pyjasie w 2019 r., namówiła mnie do napisania tekstu wstępnego do jej katalogu. Podrzuciła mi trochę dokumentów z IPN, przeczytałem kilka książek, porozmawiałem z jego kolegami i pomyślałem, że w sumie

to niewiele wiemy o sprawie Pyjasa. Zaczęła się w 1977 r., a gdy ja zaczynałem nad nią pracę, śledztwo prowadzone przez IPN jeszcze się nie zakończyło. Ciągłe pojawiały się w nim przeciwstawne teorie. Chciałem to opowiedzieć tak, żebym sam to zrozumiał i żeby zrozumieli inni. A w tej historii jest trup, narodziny mitu, przekupny medyk sądowy, zdrada przyjaciela, kłęb się agenci. Wszystko niby wyjaśnione, ale jakoś nie do końca.

Powszechne było przekonanie, że jedno w tej sprawie jest pewne: maczało w niej palce SB. Też w to wierzyłeś?

Oczywiście. Byłem wychowany na kulcie zakatowanego przez SB studenta. Jedynie, co mi się w tej historii potem przestało zgadzać, to postać prof. Zdzisława Marka, którego zespół przeprowadzał sekcję. W sprawie Grzegorza Przemyska był niezłomnym medykiem sądowym, który, mimo nacisków, nawet na jotę nie ustąpił

i upierał się, że wszystkie ślady wskazują, że Przemyska pobili na komisariacie. A przy sprawie Pyjasa, w przekazie publicznym, miał być sprzedajnym szefem katedry medycyny sądowej, który pod dyktando SB fałszuje wynik autopsji. To kluczowy moment, bo już dwa dni po śmierci Staszka cały Kraków huczał, że został zamordowany i zaczął rodzić się mit.

On się chyba zaczął od przyjaciela Pyjasa, Bronisława Wildsteina, któremu udało się dostać do prosektorium i opowiadał o wyraźnych śladach pobicia.

Tak, ale przekonanie, że Pyjas został zamordowany, było powszechne. Gdy Leszek Maleszka przybiega poinformować Bogusława Sonika o śmierci Pyjasa, to od proggu krzyczy, że zamordowali Staszka, w co ani Sonik, ani jego późniejsza żona Liliana nie chcą uwierzyć. Atmosfera sprzyjała plotkom. Rok wcześniej miały miejsce wydarzenia radomskie, podczas których protestujący byli brutalnie bici. Wszystko układało się w prawdopodobną całość.

Z drugiej strony od początku były wątpliwości, czy władzy na rękę byłby wówczas mord polityczny. Zwłaszcza że Pyjas nie był w opozycji nikim ważnym.

► Opozycja uważała, że nie było to celowe zabójstwo, tylko wypadek przy pracy – po prostu przesadzili i zamiast Pyjasa pobić – zabili. Władzy, skompromitowanej po wypadkach radomskich, ta śmierć nie była na rękę. W obronie władzy stanęły najtęższe pióra PRL. Pisał o tym między innymi Mieczysław Rakowski, racjonalnie tłumaczył, dlaczego Pyjas nie mógł zostać zabity przez władzę. Ale wtedy nikt racjonalnych argumentów nie przyjmował, szczególnie od partyjnych działaczy, którzy podlewali je ideologicznym bełkotem. Ta władza zupełnie pozbawiona była wiarygodności. A po drugie, Rakowski co innego pisał w POLITYCE, a co innego w swoich dziennikach. Rozmawiałem z Józefem Tejchmą, prominentną wówczas postacią, który powiedział mi, że nawet na szczytach władzy bezpiecznie się nie ufało.

Ale, jak na PRL, śledztwo prowadzono w dość transparentny sposób.

Zachodni dziennikarze dostali pełny dostęp do akt.

Zorganizowano dla nich konferencję prasową, rzucono na stół wszystkie dokumenty z nazwiskami świadków. Fiński dziennikarz Jarmo Jääskeläinen poszedł tym tropem i w 1977 r. nakręcił film „Śmierć studenta”. Świetny dokument, w którym występują opozycjoniści, medycy sądowi, prokurator, Jääskeläinen naiwnie liczył na to, że film pokaże TVP i bardzo się zdziwił, że się nie udało. Wtedy to było oczywiście niemożliwe, ale to potęgowało wątpliwości. Sytuacja trochę przypominała dzisiejszą. Jak masz media pod butem partyjnym, to trudno, żeby były uczciwe i wiarygodne. Jak w „Wiadomościach” TVP mówią, że chłopaka nie pobito śmiertelnie na komisariacie we Wrocławiu, to należy się temu dokładnie przyjrzeć.

Jakie było środowisko, w którym obracał się Pyjas?

Bardzo barwne. Buntownicy, anarchiści, poeci, kontrkulturowcy. Gdy jesienią 1977 r. po głódowce zmarł Andreas Baader z Frakcji Czerwonej Armii, zapanała wśród nich żałoba. Pili i płakali. Czytali Kropotkina i Bakunina, fascynowali się teatrem Grotowskiego, słuchali ciężkiej hardrockowej (bo tak się wtedy nazywała) muzyki i byli walczącymi antyklerykałami. Robili potem kariery, m.in. w dziennikarstwie, jak nasz kolega Adam Szostkiewicz czy Bronisław Wildstein. Bronisław Maj został świetnym poetą. Oni wcale nie zaczęli od polityki, ale od literatury i kontestacji. Chcieli pisać, mieć swobodę wypowiedzenia się, być wolnymi ludźmi. Komunizm odrzucali, ale specjalnie ich nie interesował. Można powiedzieć, że byli anarchizującymi hipisami. Mieli wspólną

skarbonkę, do której wrzucali pieniądze, i potem każdy brał tyle, ile mu potrzebna; oczywiście nie wystarczało to na długo.

A do tego wszystkiego morze wódki...

A może nawet dwa morza. Innych stymulatorów wtedy nie było.

Chodzi mi o to, że Pyjas zaczynał mieć problemy z piciem, a w chwili śmierci – 2,6 promila we krwi. Dużo.

Dużo. To mogła być jedna z przesłanek uprawdopodobniająca wypadek.

Czy śledztwo w 1977 r. było uczciwie prowadzone?

Nie próbowano nikogo zrobić w morderstwo, jak w przypadku Przemyska. Badano wiele wątków, poza jednym – udziałem SB. Co prawda prokuratura wysłała pismo do komendanta wojewódzkiego MO z pytaniem, czy Pyjasem interesowała się SB, ale po konsultacjach z SB komendant skłamał, że nie pozostawał. Ta droga była zamknięta. Oczywiście znak zapytania pozostał. Gdy w latach 90. i później wznawiano śledztwo, skupiono się głównie na tym wątku. Łączono go z utonięciem studenta Stanisława Pietraszki, który jako ostatni widział Pyjasa żywego w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Wyglądało to tajemniczo i nigdy nie udało się go zidentyfikować. Ale moim zdaniem była to ślepa uliczka. Jak wiele innych.

A co z wątkiem Leszka Maleszki, przyjaciela Pyjasa i Wildsteina, który okazał się po latach donosicielem o pseudonimie „Ketman”?
Miało to znaczenie?

Były sugestie, że w dniu śmierci Pyjasa Maleszka specjalnie odciągnął od niego Wildsteina, zapraszając do słuchania świeżo zdobytej płyty Okudżawy, bo silny Wildstein mógłby obronić Staszka przed pobiciem. Gdy IPN przejął śledztwo, przekazał dokumenty do archiwum X. Czytałem wyniki ich dochodzenia i miałem wrażenie, że są mocno fantastyczne i nielogiczne. To właśnie tam była sugestia, że „Ketman” specjalnie unieszkodliwił Wildsteina.

A co z sugestią, że Pyjas był zupełnie nieznaczącą postacią w opozycji i SB nie miało specjalnego powodu, by go unieszkodliwić?

Okres współpracy Pyjasa i jego przyjaciół, tzw. środowiska Żaczka, z opozycją KOR trwał bardzo krótko – od grudnia 1976 do maja 1977 r. Zorganizowali wtedy jedną zbiórkę pieniędzy i w marcu zbierali podpisy w sprawie uwolnienia kilku robotników z więzień.

No i rozprowadzali „bibułę”.

Tej bibuły to oni, myślę tu o środowisku anarchistów, mieli tyle, co kot napłakał. W maju 1977 r. najważniejszą postacią opozycji w Krakowie był związany

z duszpasterstwem akademickim Beczka – Bogusław Sonik. Gdy na klatce schodowej przy ul. Szewskiej 7 znaleziono zwłoki Pyjasa, Leszek Maleszka poszedł właśnie do Bogusława Sonika, żeby przez niego poinformować Warszawę. Oni nie znali nawet telefonu do Jacka Kuronia. Dostęp do „bibuły” i biuletynów KOR-owskich miało kościelne środowisko akademickie. Oni i Żaczek to były dwa różne światy, które połączyły się dopiero po śmierci Pyjasa, tworząc Studencki Komitet Solidarności, pierwszą niezależną organizację studencką w PRL. Staszek stał się jej ikoną.

Kiedy zwątpiłeś w mit zamordowanego przez SB studenta?

Ja bym uważał z tym sformulowaniem. Z perspektywy opozycji warszawskiej Pyjas mógł się wydawać nikim, ale z krakowskiej – już nie. W 1977 r. niezwyklej odwagi i determinacji trzeba było, aby z imienia, nazwiska i adresu podpisać opozycyjną petycję. Bez względu na to, czy śmierć Pyjasa to było morderstwo, czy wypadek, stała się momentem zwrotnym i impulsem do powstania SKS.

Chodzi mi o to, kiedy przeważało w tobie przekonanie, że to raczej był wypadek?

Prawdę mówiąc, zaczynałem pracę z naiwnym przekonaniem, że tak jak w porządnym kryminalach nazwisko mordercy znajduje się na pierwszych stronach akt. Wierzyłem, że będzie tam jakaś poszlaka, która w postępowaniu prokuratorским czy sądowym nie miałaby szans stanowić dowodu, ale w śledztwie dziennikarskim mogłaby doprowadzić do kogoś, kto miał związek ze sprawą. Czytałem akta i idąc wszelkimi utartymi szlakami, dochodziłem do ściany. Choćby dość powszechnie przyjęta wersja, że Pyjas pobił były bokser, wynajęty przez SB, który potem sam został znaleziony martwy na klatce schodowej. Tylko że gdy czyta się źródłowe dokumenty, widać, że to bardzo mało wiarygodna wersja. Trzeba szukać innego rozwiązania.

Im więcej czasu mijało od śmierci Pyjasa, tym bardziej fantastyczne wersje tego zdarzenia opisywane były przez media.

Tak. Na przykład, że Pyjas pobito na komisariacie, a potem jego ciało zawinięte w dywan przeniesiono na klatkę schodową przy Szewskiej. Odnajdywali się świadkowie, którzy to rzekomo widzieli. Jak? W środku miasta? Z komisariatu na Szewską (przeliczyłem to krokami) jest około trzystu metrów. Bez obawy, że ktoś to zobaczy? Pojawiały się nawet teorie, że Pyjas został zastrzelony. Dla mnie momentem przełomowym była ekshumacja

jego ciała. Prokurator, który podjął tę decyzję, rzucił na szalę cały swój zawodowy autorytet.

Bo ekshumacja wydawała się bez sensu. Jak po tylu latach, gdy został sam szkielet, badać ślady pobicia?

W dodatku protestowała przeciwko temu rodzina.

No i przed laty przeprowadzono szczegółową sekcję.

Badania były w sumie trzy. Pierwsze w 1977 r., przeprowadzone przez zespół prof. Marka, drugie w 1991 r. przez profesorów Nasiłowskiego i Naklińskiego i trzecie – po ekshumacji w 2010 r. Na czym polega różnica między opiniami z 77 i 91 r.? Pierwsza stwierdza, że obrażenia na ciele Pyjasa pochodzą z urazu biernego, ale nie wykluczają urazu czynnego. Druga na odwrót – jako bardziej prawdopodobny uznaje uraz czynny, ale biernego nie wyklucza. Uraz czynny to pobicie, a bierny – upadek. Różnica akcentów. Tylko że Zakład Medycyny Sądowej w 1977 r. pracował na ciele, a w 1991 r. – na papierach sporządzonych w 77 r. i na zdjęciach. W 2010 r. prokurator uznał, że ekshumacja może posunąć śledztwo do przodu. Ryzyko było duże, ale miał rację. Kluczowym dowodem stała się złamana szyjka kości udowej. Taki uraz nie może powstać podczas bijatyki, ale jedynie wskutek upadku z wysokości.

Ta informacja prawie nie przebiła się do opinii publicznej. Może została „przykryta” przez katastrofę smoleńską? Kto by w tym czasie interesował się sprawą Pyjasa.

Masz rację. Nie pomyślałem o tej koincydencji. Ale może być też tak, że to ludzi nie poruszyło. Biegle mówią: znaleźliśmy złamaną kość udową. No i co? To wskazyuje na wypadek. Brzmi mało pasjonująco.

Za ekshumacją poszła ekspertyza biomechaniczna. Dość niezwykle przedsięwzięcie.

Ogromne i nowatorskie. W krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych im. prof. Sehna zbudowano model klatki schodowej. Po ponad 30 latach odtworzyli ją w najdrobniejszych detalach, uwzględniając wymiary trelinek, belek, schodów. Wcześniej pojawiały się zarzuty, dlaczego podczas śledztwa w latach 70. nie zrzucano manekina, żeby prześledzić drogę upadku ciała. Jeden z prokuratorów, którzy pracowali wówczas przy sprawie Pyjasa, tłumaczył mi: proszę pana, ile razy moglibyśmy tego manekina zrzucić z drugiego piętra? To 70-kilogramowa skórzana kukła wypchana trocinami. Najpóźniej za trzecim razem by się rozpadł. A dzięki nowoczesnej technice wirtualny manekin mógł spadać dziesiątki czy setki razy. Ten

eksperyment został opisany w najbardziej prestiżowym brytyjskim piśmie z dziedziny medycyny sądowej. Teraz z całego świata dzwonią do Instytutu Sehna, gdy mają podobny przypadek, pytać, jak dokładnie prowadzili te badania. To była fantastyczna kryminalistyczna robota.

A wnioski?

Jednostronne uderzenie ciała z dużą energią w sztywną płaszczyznę, które po drodze zahaczyło o barierkę lub schody. Czyli mówiąc prosto – Pyjas spadł z wysokości, najprawdopodobniej z drugiego piętra.

Ta wersja też się specjalnie nie przebiła. Jak myślisz, dlaczego?

Bo opowieści o specjalistycznym programie, w którym mierzy się długości, zajmowaną przez ciało pozycję, jego odległość od ściany, charakterystykę płytek podłogowych, są mniej atrakcyjne niż dwóch tajemniczych facetów, niosących zawinięte w dywan ciało. Rodzina nie uwierzyła w wersję wypadku, bo bliskim łatwiej jest przyjąć stratę, wierząc, że ta śmierć miała głębszy sens.

Bronisław Wildstein też nie wierzył, a pracę Instytutu Sehna nazwał dziwnymi analizami.

Nie wierzy, mimo że przy tej ekspertyzie pracował zespół najwybitniejszych medyków sądowych, jacy są w Polsce. Wildstein, który po śmierci Pyjasa był w prosekutorium, twierdzi, że na własne oczy widział na twarzy przyjaciela ślady pobicia, prawdopodobnie kastetem. Problem w tym, że on był w prosekutorium dwie godziny po tym, jak zakończyła się sekcja zwłok; dość brutalna, bo połączona z oddzieleniem skóry od twarzy, by stwierdzić, czy są ślady pobicia. Ale łatwo nam mówić. Dla niego są to ogromne emocje. Do dziś.

A czy ty masz poczucie, że wiesz, co się stało majowej nocy 1977 r. w kamienicy przy Szewskiej 7?

Prawdopodobnie Staszek Pyjas przyszedł odwiedzić Barbarę Paneczko, której nie znał zbyt dobrze. Kiedyś przyprowadził go do niej Wildstein, to była jego szkolna koleżanka. Potem dwa czy trzy

razy Pyjas wracał do niej samotnie, po alkoholu, m.in. pożyczyc pieniądze. Pod jej drzwiami na II piętrze odnaleziono jego chlebak. Co stało się dalej? Na pewno nie został pobity. Nie był szarpany, nie użyto wobec niego przemocy. Ciało nie było przenoszone. W chwili śmierci był pijany, a tam były bardzo niskie poręcze przy schodach. Najprawdopodobniej po prostu wypadł przez barierkę. Nie można jednak ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że nie został przez kogoś popchnięty. To jedyny znak zapytania. I z tym znakiem zapytania zostajemy, bo nie da się już tego stwierdzić naukowo. IPN, który prowadził śledztwo, stwierdził lakonicznie, że zostało ono umorzono z powodu niewykrycia sprawców.

Co będzie z mitem zakatowanego przez SB studenta?

Mitu nic nie ruszy. Nie ulega wątpliwości, że śmierć Pyjasa miała daleko idące konsekwencje społeczne. Była dla ludzi tak ważna, że mimo represji protestowali na uczelniach. Mieli poczucie, że stało się coś strasznego i to wymaga dalszych działań. Powstał Studencki Komitet Solidarności. Gdyby mieli wtedy świadomość, że to prawdopodobnie banalny wypadek, może by nie powstał. Ta śmierć naprawdę miała ogromne znaczenie. Adam Szostkiewicz opowiadał mi, że był wówczas przekonany, że Staszka zamordowano i że za chwilę mogą być kolejne ofiary. Z czasem doszedł do wniosku, że to mógł być nieszczęśliwy wypadek. Ale to nie zmieniło jego stosunku ani do Staszka, ani do tego, że komuna była opresyjna. Czy to śledztwo mogło się wówczas inaczej potoczyć? W PRL chyba nie. Bo trzeba by było publicznie przesłuchać esbeków, którzy inwigilowali Staszka i jego środowisko; przyznać, że to robili, bo chłopaki czytali nie te książki, co trzeba. To było niemożliwe.

Pół roku po zakończeniu śledztwa IPN minister Piotr Gliński mówił, że Pyjas – którego ty opisujesz jako anarchistrę i antyklerykała – czerpał siłę z duszpasterstwa akademickiego, gdzie „czuło się rękę przyszłego Jana Pawła II” i że nie ma zgody na Polskę, która nie potrafi rozliczyć zbrodni, a sprawcy pozostają bezkarni. Czy postać Pyjasa jest skazana na zakłamywanie?

To są jakieś fantasmagorie. Władza uznała, że prawda jest nieciekawa, więc lansuje własną wersję. Im nie zależy na prawdzie. Lepiej ją zatupać niż upublicznić dokumenty znajdujące się w zasobach IPN.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA



© HANNA MUSIAŁOWNA

Cezary Łazarewicz

– dziennikarz, reporter, publicysta, działacz opozycji demokratycznej w PRL, laureat Nagrody Nike w 2017 r. za książkę o śmierci Grzegorza Przemyka „Żeby nie było śladów”. Pracował w „Gazecie Wyborczej”, „Newsweeku”, „Wprost”

i portalu Wirtualna Polska. W latach 2007–12 był dziennikarzem działu krajowego „Polityki”.

Kanał łączący
Zalew Wiślany
z Bałtykiem.



Wykopki po przekopie

Branży turystycznej
portowy paraliż

MARCIN PIĄTEK, FOTOGRAFIE LESZEK ZYCH

Przedsmak turystycznego koszmaru kierowcy mieli w majówkę. Spragnieni wiosennego słońca w nadbałtyckich okolicznościach przyrody na Mierzei Wiślanej zamiast upragnionego resetu dostali nerwy i stres. Przebudowa biegnącej wzdłuż Mierzei wojewódzkiej drogi 501 spowodowała gigantyczne korki. Nitka zatkała się w obu kierunkach, a sunące w żółtym tempie samochody liczone w setkach. Zaskoczeni kierowcy nerwowo zerkali na wskaźnik paliwa, uwięzione na tylnych siedzeniach dzieci dostawały bzika, bzik udzielał się dorosłym, atmosfera gęstniała. – *Już trochę przysypiałem w tym korku, gdy nagle słyszę pukanie w szybę. Obca kobieta pyta, czy nie mam butelki wody, bo dzieci jej płaczą w aucie. I wyjmuję 20 zł. Dałem, co miałem, pieniądze kazalem schować* – opowiada Jarek z Warszawy, który

niemal 20-kilometrowy odcinek Sztutowo–Krynica Morska przejechał w dwie i pół godziny.

Ci z końca korka nie mieli pojęcia, z jakiego powodu utknęli, bowiem przy drodze nie umieszczono żadnych tablic informacyjnych, o przeprosinach i prośbach o wyrozumiałość nie wspominając. Ci z początku klęli na ruch organizowany przez sygnalizację świetlną. Telefony mieszkańców i lokalnych władz o przysłanie pracowników sterujących ruchem spotkały się z umiarkowanym odzewem: zaczynali zmianę mniej więcej od południa, podczas gdy droga zatykała się od rana. W końcu na miejsce oddelegowano drogówkę. Turysty odgrażali się jednak, że póki remont się nie skończy, ich noga na Mierzei nie postanie. Zwłaszcza że ci zjeżdżający z trasy S7 wcześniej odstali swoje w związku z przebudową ronda w Nowym Dworze Gdańskim.



na Mierzei Wiślanej zagłęda w oczy widmo martwego sezonu. Wszystko przez transprowodowany remontem drogi. Jej ruinę przyspieszył słynny, także martwy, przekop.

Rozkopana droga w Sztutowie.



W Polskę poszedł przekaz: nie chcesz sobie zszargać nerwów, odpuść tego lata urlop na Mierzei. Sylwia Szczurek, przewodnicząca Rady Miasta w Krynicy Morskiej i lokalna przedsiębiorczyni, ma w związku z tym ambiwalentne odczucia. – *Bo z jednej strony antyreklama, ale z drugiej być może ten alarmistyczny ton obudzi siedzących za biurkami urzędników. I turysta jednak do nas dojedzie bez stania w korkach – mówi z nadzieją.*

Stan drogi 501 już od dawna pozostawiał wiele do życzenia, ale do reszty zrujnowały ją wyładowane po brzegi ciężarówki, przez ponad trzy lata kursujące w tę i z powrotem w związku z przekopem Mierzei Wiślanej, sztandarowej inwestycji PiS. – *Na początku mówiono, że z uwagi na kiepski stan szosy preferowany będzie transport materiałów drogą wodną. Ale to nie wypaliło, trudno powiedzieć dlaczego – zastanawia się Paweł Wondziński, właściciel krynickiego baru Koga.*

► Inwestycja łącząca Zalew Wiślany z otwartym morzem pochłonęła 2 mld zł, ale jej podstawowy cel, czyli uczynienie z Elbląga portu na miarę Gdyni, ledwo majaczy na horyzoncie. Z myślą o regularnym ruchu przez zalew większych jednostek morskich najpierw trzeba pogłębić tor, a potem prowadzić kosztowne odmulanie. No i wreszcie ustalić, kto – samorząd Elbląga czy budżet państwa – weźmie na siebie niebagatelne koszty przystosowania prowadzącej do portu drogi wodnej dla ruchu jednostek mających przyczynić się do osiągnięcia zakładanej zdolności przeładunkowej 3,5 mln ton (w 2021 r. było to 125 tys. ton).

Na razie przepok służy więc głównie żaglówkom i kajakom, które na płyciźnie zalewu nie utkną. Sporadycznie rybackim kutrom. Stanowi również nową atrakcję turystyczną. Miejscowi najpierw odnosili się do projektu z niechęcią, głównie z obawy o dewastację przyrodniczą, ale okazało się, że spragnieni obejrzenia na własne oczy łącznika Bałtyku z Zalewem turysta wpada przy okazji do Krynicy, Kątów Rybackich albo Sztutowa na rybkę i lody.

Tymczasem nowa lokalna atrakcja nie sprzyja płynności ruchu. – *Kierowcy zwalniają, chcąc obejrzeć sławną na cały kraj inwestycję, niektórzy zatrzymują się w niedozwolonych miejscach* – zauważa Anna Mątewska, zastępca dyrektora do spraw inwestycji Zarządu Dróg Wojewódzkich w Gdańsku. W samym środku majowego weekendu na śluzie przepokupu odbyło się uroczyste otwarcie zlokalizowanego tam nowego morskiego przejścia granicznego. Licznie zjechali przedstawiciele służb mundurowych oraz notable różnego szczebla, głównie z opcji rządzącej, na czele z europosłanką Anną Fotygą. Przejście otrzymało nawet niepozostawiającą wątpliwości co do swej rangi nazwę: Nowy Świat.

W połowie maja w Krynicy Morskiej pustki. Chłodno, pada, otwarta już na majówkę gastronomia tli się, wyglądając weekendowego turysty z okolic: Elbląga, Malborka, Nowego Dworu Gdańskiego. Z Trójmiasta już niekoniecznie; Trójmiasto ma własne plaże w zasięgu spaceru, poza tym raczej ciągnie na Hel. W sezonie Krynica i inne miejscowości na Mierzei Wiślanej wyczekują wczasowiczów z głębi kraju. Warszawskich, bo to najbliższe stolicy nadbałtyckie miejscówki, ale również z dalej położonych regionów. – *Spora mamy gości ze Śląska, tradycja wczasów pracowniczych. Zresztą jedna z ulic Krynicy nazywa się Górnicza* – zwraca uwagę recepcjonistka z hotelu Neptun.

Rankingi zamożności wskazują, że Krynica Morska jest najbogatszą gminą w województwie pomorskim i 22. w Polsce (4922 zł dochodu na głowę mieszkańca według podsumowania z 2022 r.), ale to w dużej części zasługa małej populacji (ok. 1300 mieszkańców). Z turystyki żyją tu niemal wszyscy, miasteczko oferuje ok. 40 tys. miejsc noclegowych. W szczycie sezonu się zapełniają, ale podczas majówki goście dopisali umiarkowanie. To znaczy byli na ulicach, na moło i na plażach, ale w knajpach i restauracjach jakby mniej.

Paweł Wondziński się nie dziwi: drogie kredyty, inflacja trzyma się mocno i napędza rachunki grozy w spożywczych marketach. Turysty okazują się więc nieskorzy do wydawania pieniędzy. – *Jeśli rezerwują pobyty, to na krócej* – mówi. Sylwia Szczurek dodaje, że jak na razie z rezerwacjami nie jest najlepiej. – *Drożyna robi swoje, ale perspektywa stania w korkach może zniechęcać. W końcu nie wszyscy przyjezdni cały pobyt spędzają w Krynicy. Chcą wyskoczyć do Malborka, do Elbląga, do Trójmiasta.*

Przebudowa drogi i obawy przed martwym sezonem to w tej chwili w Krynicy temat numer jeden. W barze Koga burza



Koniec przebudowy biegnącej wzdłuż Mierzei wojewódzkiej drogi 501 Pusta i chłodna Krynica Morska po majówce.





zapowiadany jest na wrzesień 2024 r.



mózgów: poszukuje się osób lokalnie wpływowych, mających doświadczenia, siłę przebicia. Walka idzie o to, by przemówić do rozsądku ludziom odpowiedzialnym za organizację przebudowy i jako ją pogodzić z wakacyjną koniecznością dojazdu dla turystów. Padają propozycje: może ten, były samorządowiec? Może tamten, honorowy obywatel miasta? Albo ów, który ma ponoć doświadczenia nawet w Ministerstwie Infrastruktury? Omawiane są rozwiązania awaryjne: obowiązkowo ręczne sterowanie zamiast świateł, porzucenie ruchu wahadłowego, optymalne byłoby wyznaczenie równoległej drogi tymczasowej z betonowych płyt. Albo wytyczenie objazdów, ale pole manewru tu niewielkie – w końcu mowa o wąskim pasku łądy, przez który wiedzie jedna jedyna droga. Sylwia Szczurek mówi, że zapewnienie odpowiedniej przepustowości ruchu jest konieczne, choćby ze względów bezpieczeństwa: – *Nie ma u nas stacji pogotowia ratunkowego. W sezonie wprawdzie karetka dyżuruje całą dobę, ale najbliższy szpital jest w Elblągu. Czym to grozi w razie zatoru na drodze, nie trzeba chyba tłumaczyć.*

Majówka pokazała, że za sprawą paraliżu na Mierzei doszło do przetasowania w układzie sił miejscowości rywalizujących o turystów. Nienarzekająca nigdy na frekwencję Krynica nagle stała się, zwłaszcza z punktu widzenia gościa jednodniowego, nieatrakcyjna. Swoje pięć minut dostały położone bliżej, ale wciąż nad morzem – i mniej doświadczone remontowymi uciążliwościami – Kąty Rybackie i Sztutowo. – *Na początku maja mieli żniwa jak nigdy. W lodziarni w Sztutowie nie było czego sprzedawać już około 17, w pizzerii skończyła się mąka, w sklepach puste półki.*

Po Krynicy krążą plotki, że operatywny i dbający o interes własnych wyborców wójt Sztutowa zamierza na czas wakacji zamknąć ulice aktualnie wykorzystywane jako objazd pierwszej z mijanek. W ten sposób wyjdzie naprzeciw postulatowi mieszkańców przerażonych wakacyjną perspektywą niekończącego się sznura aut pod oknami, a przy okazji sprawi, że dojazd do Krynicy stanie się jeszcze większą mordęgą.

Obliczona na dwa lata (planowany koniec we wrześniu 2024 r.) przebudowa 17 km drogi, kosztem 94 mln zł idzie z wolna (63 mln dołożył rząd z Polskiego Ładu). Ruszyła późną jesienią, ale zimną pracę zamarzyły, wznowiono je w marcu. Kryterium jak najszybszego ukończenia inwestycji nie było w ogóle rozważane. – *O wyborze oferty zdecydowały cena i długość terminu gwarancji. Wygrał Budimex – informuje Anna Mątewska.*

Stan na dziś: roboty poszatowane, trzy mijanki, regulowane światłami. Z 17 km nie ukończono jeszcze nic, warstwa konstrukcyjna nawierzchni (na nią wylewa się jeszcze warstwę końcową, tzw. ścieralną) gotowa na odcinku ledwie 2 km. Pod marketem w Sztutowie dudni ciężki sprzęt, jeden pas rozkopany do gołej ziemi na odcinku dobrych kilkuset metrów. Obok koparki stoi grupa robotników. – *Panie, tu co chwila jakieś kwiatki wychodzą. Market zbudowali, osiedle, betonu nawalono w ziemi, instalacji jakichś. Nie wiadomo: wpinać się w to czy omijać. A na planach w ogóle tego nie było – narzeka.*

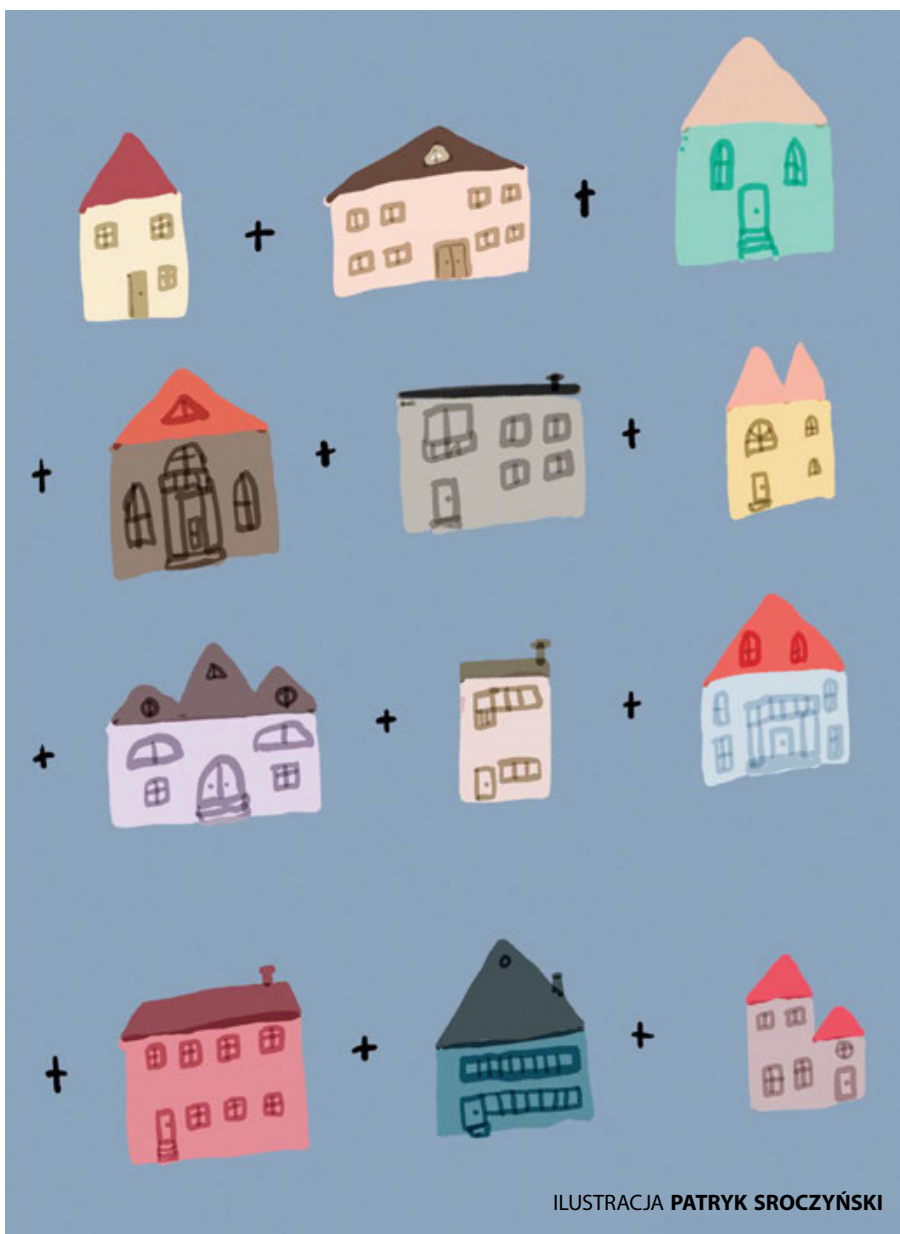
W długi czerwcowy weekend roboty mają zostać wstrzymane, tak aby kierowcy weekend mogli łatwiej przejechać. Ale potem taryfa ulgowa się skończy. Na wakacje zaplanowano cztery wahadła, ruch ma być sterowany ręcznie. – *Korki to będą, panie, pod Elblągiem. Jak tu jechać, to tylko nocami. Jak na zakopanie w sezonie – radzi mężczyzna. Bo przekop jest, a przejazdu nie ma.*

MARCIN PIĄTEK

Ceny rosną wyżej niż mury

Atrakcyjnego kredytu z dopłatą „pod wybory” jeszcze nie ma, ale nieruchomości już drożeją. Najwięcej na tym zyskają deweloperzy, którym rząd, walcząc desperacko o głosy, chcąc nie chcąc, napędza klientów.

CEZARY KOWANDA



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Wiosna na rynku nieruchomości zaczęła się w tym roku szybciej niż w poprzedzie. Jej pierwsze oznaki nadeszły w lutym, a marzec okazał się wręcz gorący. Niestety, na razie rośnie nie tyle liczba nowych mieszkań, a ich ceny. Ocieplenie spowodował przede wszystkim flagowy projekt PiS na wybory, czyli słynny już Bezpieczny Kredyt 2 proc. Myląca nazwa sugeruje, jakoby inne kredyty hipoteczne były niebezpieczne. Tymczasem wszystkich będą udzielać te same banki komercyjne. Państwo, czyli podatnicy, ma dopłacać wybranym kredytobiorcom przez 10 lat do kolejnych rat. Dzięki temu taka pożyczka będzie znacznie tańsza, a jej odsetki mają odpowiadać kredytowi z dwuprocentowym oprocentowaniem. Tymczasem w tej chwili banki żądają średnio 8–9 proc. rocznie w przypadku standardowych kredytów udzielanych na komercyjnych zasadach.

Na pierwsze preferencyjne pożyczki trzeba poczekać przynajmniej do lipca. Jednak po wielu miesiącach słabej sprzedaży deweloperzy od lutego mogą się wreszcie cieszyć z napływem klientów. – *Zapowiedź kredytu 2 proc. zmobilizowała dwie grupy potencjalnych klientów. Pierwsza to ci, którzy mogą ubiegać się o rządowe wsparcie, a na razie rezerwują u deweloperów upatrzone mieszkania. Druga to osoby, które nie spełniają warunków uzyskania tańszego kredytu, ale nie chcą już dłużej czekać z zakupem, bo ceny zaczynają rosnąć* – wyjaśnia Marcin Krasoń, ekspert rynku mieszkaniowego w Otodom Analytics. Z symulacji rzeczywiście wynika, że nowy program pozwoli kupującym na znaczne oszczędności, nawet jeśli w rzeczywistości do tych mitycznych 2 proc. trzeba doliczyć bankowe prowizje i opłaty.

Firma doradcza Expander przeanalizowała scenariusz zakupu mieszkania o przeciętnej dla danego miasta cenie i powierzchni 50 m kw. Założono wkład własny na poziomie 10 proc. wartości i kredyt spłacany przez 30 lat. W Warszawie miesięczna rata zwykłej pożyczki wynosi dziś w przypadku takiego lokum ok. 4,5 tys. zł, a przy kredycie z dopłatą spadnie do 3 tys. zł. W Krakowie będzie można zaoszczędzić 1,3 tys. zł, niewiele mniej w Poznaniu, Gdańsku czy Wrocławiu. Nawet w miastach o nieco tańszych mieszkaniach, jak Białystok, Rzeszów albo Szczecin, beneficjenci nowego programu wydadzą na spłatę kredytu co miesiąc tysiąc złotych mniej.

Grzech nie skorzystać, jeśli tylko spełnia się kryteria, a te okazują się niewygodne. Wysokość zarobków czy kwota zgromadzonych dotąd oszczędności nie ma żadnego znaczenia. Wystarczy mieć maksymalnie 45 lat, a w przypadku kredytu branżowego we dwójkę jedna osoba może przekroczyć tę granicę wieku. Najważniejszy warunek to brak prawa własności jakiegokolwiek mieszkania czy domu – zarówno teraz, jak i w przeszłości. Pożyczyczyć będzie można 500 tys. zł w przypadku singli bez dzieci i 600 tys. zł, gdy o kredyt stara się małżeństwo (także bez dzieci) lub osoba wychowująca dziecko. Do tego dołożyć można maksymalnie 200 tys. zł wkładu własnego, a to oznacza, że w zasięgu cenowym nawet w dużych miastach znajdzie się wiele mieszkań trzypokojowych.

Co ważne, nie ma żadnej górnej granicy ceny za metr kwadratowy. Mieszkań można szukać zarówno na rynku pierwotnym, jak i wtórnym. Dopłaty do rat będą udzielane przez dziesięć lat, potem wsparcie wygaśnie. Wówczas koszty obsługi takiego kredytu wzrosną, ale nie powinny być szczególnie dotkliwe. Cała konstrukcja tej pożyczki opiera się bowiem na ratach malejących. Dzięki temu od początku spłacana jest spora część kapitału, więc po dekadzie kredyt będzie dużo mniej wrażliwy na zmiany stóp procentowych.

A to właśnie one są odpowiedzialne za kryzys na polskim rynku nieruchomości. Gdy wzrastały w szybkim tempie między jesienią 2021 r. a wiosną 2022 r., razem z nimi drożały też kredyty hipoteczne. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Dwa lata temu banki udzieliły ponad 250 tys. pożyczek na zakup mieszkań

czy budowę domów. W ubiegłym roku było to zaledwie 125 tys. W ostatnich miesiącach liczba wniosków o kredyt znowu zaczęła powoli rosnąć. Co wpływa na stopniową reanimację kredytowego rynku?

Bezrobocie utrzymuje się na niskim poziomie, spadł też nieco wskaźnik WIBOR, używany do wyliczania wysokości rat (banki przewidują bowiem, że kolejnych podwyżek stóp już nie będzie), a do tego łaskawsza okazała się Komisja Nadzoru Finansowego. Pozwoliła w lutym bankom, aby przy wyliczaniu zdolności kredytowej klientów stosowały bufor, symulujący dalszy wzrost stóp, na poziomie 2,5 proc., zamiast 5 proc. Jednak bez taniego kredytu wyborczego zmiany byłyby bardzo powolne.

Pozostaje zatem tylko się cieszyć? Niestety, niekoniecznie. Mocne schłodzenie rynku nieruchomości w ubiegłym roku przyniosło dwa efekty – stabilizację cen mieszkań po kilku latach szybkich wzrostów oraz stan wyjątkowy u deweloperów. Szybko doszli oni do wniosku, że jeśli nie ograniczą liczby inwestycji, będą musieli obniżyć ceny, aby sprzedawać nowe lokale. Na szczęście dla siebie mieli spore rezerwy gotówki z ubiegłych lat. Postanowili zatem nie rozpoczynać części budów i poczekać na lepsze czasy. Przez ostatnie trzy lata deweloperzy oddawali do użytku ponad 140 tys. mieszkań rocznie. To świetny wynik, ale już wiadomo, że w tym roku będzie gorzej. Optymistyczne szacunki mówią o 120–125 tys. nowych lokali. Perspektywy na kolejne lata są jeszcze gorsze, bo o ile w 2021 r. deweloperzy zaczęli budowę aż 166 tys. mieszkań, o tyle w ubiegłym roku było

to zaledwie 115 tys. lokali, a w tym roku ta liczba spadnie do ok. 100 tys.

Co to oznacza? Im mniej nowych inwestycji dzisiaj, tym mniej gotowych mieszkań za dwa–trzy lata, bo tyle trwa średnio budowa bloku. Tymczasem rząd swoim wyborczym kredytem napędza popyt na nieruchomości, ale nie robi nic, aby zwiększyć ich podaż. Miał na to szanse w okresie załamania koniunktury. Mógł chociażby zamówić na rynku budowę kilkudziesięciu tysięcy lokali, na przykład w formule partnerstwa prywatno-publicznego. Państwo dałoby grunty, deweloperzy zaś część gotowych lokali przekazaliby potem samorządom na tani wynajem. W ten sposób udałoby się uniknąć spadku liczby rozpoczynanych inwestycji w czasie gospodarczego spowolnienia.

Niestety, nic takiego się nie wydarzyło. Trudno zatem dziwić się, że ceny znowu rosną. – *Staramy się zwiększać liczbę nowych inwestycji, ale w dużych miastach nie mamy dużego zapasu pozwoleń na budowę. Za to możemy mieć inny problem, bo dziś także naszej branży ciężko o kredyty w bankach* – opowiada Konrad Płochocki, dyrektor generalny Polskiego Związku Firm Deweloperskich.

Relacje między rządem a deweloperami są dość napięte i pogmatwane. Widać to zwłaszcza teraz, gdy politycy nie mogą się zdecydować, czy prywatny biznes jest ich wrogiem, czy też sprzymierzeńcem. W 2022 r. Jarosław Kaczyński krytykował rzekomą dyktaturę deweloperów i obiecywał ją przełamać. Tymczasem przed wyborami rząd robi branży prezent, bo przecież tańszy kredyt wzmacnia popyt, który prywatne firmy już wykorzystują do podnoszenia cen. Mogą sobie na to pozwolić, ►

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 25.05 - 27.08.2023r.

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



Dużo kończą, mniej zaczynają

Rok	Mieszkania oddane przez deweloperów do użytkowania [tys.]	Mieszkania, których budowę deweloperzy rozpoczęli [tys.]
2019	130,9	142,0
2020	143,8	130,2
2021	141,7	166,3
2022	143,8	115,3
I kwartał 2023	30,1	23,4

Źródło: GUS

Coraz mniej, więc coraz drożej

Miasto	Zmiana liczby dostępnych mieszkań w ofercie deweloperów (marzec 2023 do grudnia 2022)	Zmiana średniej ceny mieszkania za metr kwadratowy w ofercie deweloperów; marzec 2023 do marca 2022 (w nawiasie obecna cena za metr)
Warszawa	- 16 proc.	+ 10 proc. (14,5 tys. zł)
Kraków	- 17 proc.	+ 11 proc. (12,8 tys. zł)
Wrocław	- 14 proc.	+ 14 proc. (12,1 tys. zł)
Gdańsk	- 9 proc.	+ 9 proc. (12,2 tys. zł)
Łódź	- 14 proc.	+ 10 proc. (9,6 tys. zł)
Poznań	- 3 proc.	+ 5 proc. (10,6 tys. zł)

Źródło: rynekpiewrotny.pl

Który kredyt?

Porównanie rat zwykłego kredytu i „Bezpiecznego kredytu 2 proc.” (mieszkanie 50 m kw., wkład własny 10 proc., okres spłaty 30 lat)

Miasto	Średnia cena mieszkania 50 metrów kw. (tys. zł)	Rata zwykłego kredytu (tys. zł)	Rata „Bezpiecznego kredytu 2 proc.” (tys. zł)
Warszawa	649,9	4,5	3,0
Kraków	563,8	3,9	2,6
Wrocław	520,0	3,6	2,4
Gdańsk	534,9	3,7	2,5
Łódź	363,2	2,5	1,7
Poznań	476,6	3,3	2,2

Źródło: expander.pl

► gdyż w ostatnich miesiącach regularnie sprzedają więcej mieszkań niż wprowadzają ich na rynek. Zapas gotowych lokali nieustannie się kurczy, rośnie zatem desperacja klientów poszukujących najlepszych dla siebie ofert, a w efekcie w górę idą zamrożone przez kredytowy kryzys ceny. Deweloperzy zaś rozkładają ręce i twierdzą, że nawet jeśli teraz zwiększą liczbę inwestycji, efekty odczujemy dopiero za kilka lat.

Rząd doszedł do wniosku, że skoro program Mieszkanie Plus zakończył się spektakularną klęską, trzeba wesprzeć prywatną branżę, skoro tylko ona jest w stanie dostarczać na polski rynek nowe mieszkania. Nie można jednak się do tego zbyt

głośno przyznać. PiS zatem nadal stosuje ostrą retorykę, zgodnie z którą winni drastycznych podwyżek cen mieszkań w poprzednich latach są różni spekulanci, tacy jak fliperzy podpisujący umowy z deweloperami po to, by odsprzedać je z zyskiem zwykłym klientom w czasie budowy bloku. Albo pazerne zagraniczne fundusze, działające ramię w ramię z deweloperami i wykupujące od nich hurtowo nowe mieszkania, by przeznaczyć je na wynajem.

Razem z wyborczym kredytem nadchodzą zatem inne zmiany. Niektóre wydają się słuszne, jak ograniczenie możliwości cesji umów deweloperskich, ale zdaniem ekspertów ich wpływ na rynek będzie minimalny. Transparentności ma służyć

oficjalny rządowy rejestr cen sprzedaży wszystkich nieruchomości. Takie dane już są, ale teraz będą ponoć prezentowane w bardziej przejrzysty sposób. Oto informatyczny sukces na miarę naszych możliwości. Inne kroki okazują się już bardziej kontrowersyjne, jak odrębne, dodatkowe opodatkowanie funduszy i innych właścicieli zbyt dużej liczby mieszkań na wynajem. Dodatkowe obciążenia łatwo mogą zostać przerzucone na najemców, którzy w zeszłym roku doświadczyli podwyżek czynszów, sięgających nawet 30–40 proc.

Nie brakuje też innych pozorowanych działań mających przekonać wyborców o aktywnej polityce mieszkaniowej rządu. Dzięki nim Polacy mają chyba zapomnieć o niespełnionych obietnicach PiS wybudowania 3 mln mieszkań. Minister rozwoju i technologii Waldemar Buda swoim znakiem rozpoznawczym chce uczynić walkę z tzw. patodeweloperką. Ma na myśli wynaturzenia będące efektem braku spójnej i sensownej strategii mieszkaniowej w Polsce. Minister planuje na przykład większe przestrzenie między budynkami, lepsze przegrody między balkonami i obowiązkową budowę placów zabaw przy nowych blokach. W Warszawie skrytykował niedawno jednego z deweloperów za postawienie budynku z balkonami, które od sąsiedniej nieruchomości dzieli mniej niż dwa metry. Szybko okazało się, że na tę inwestycję nie chcieli się zgodzić miasto, lecz pozwolenie wydał wojewoda z PiS.

Szkoda tylko, że wszystkie te inicjatywy nie rozwiązują podstawowego problemu, czyli zbyt małej liczby powstających mieszkań. Zwłaszcza tych na wynajem. Rządowe dopłaty przy jednoczesnej zbyt małej liczbie inwestycji mogą skończyć się tylko w jeden sposób: podwyżkami cen, być może bardzo gwałtownymi.

Najwyraźniej nie nauczyliśmy się niczego z dawnych projektów jak Rodzina na Swoim czy Mieszkanie dla Młodych. Przeciwnie, w wyborczym szale zwolnione zostały wszystkie hamulce. W tym roku nie będzie nawet limitu liczby tych dwuprocentowych kredytów. Jak zapewniają politycy, każdy, kto spełni warunki, dostanie wsparcie. W kolejnych latach rząd szacuje liczbę preferencyjnych pożyczek na 40 tys. rocznie. W najgorszej sytuacji znajdują się ci, którzy na dopłaty z różnych powodów nie mogą liczyć. Oni muszą przygotować się na jeszcze większe wydatki z powodu rosnących cen. Z ich punktu widzenia określenie „bezpieczny kredyt” brzmi jak ponury żart.

CEZARY KOWANDA

REWOLUCYJNY KONSERWATYSTA



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projektimpulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Bunt sióstr

Czy konserwatywne Turczynki, które kiedyś wyniosły
Recepa Tayyipa Erdoğan do władzy, już w niedzielę go obalą?



S

iostra” to w wielu krajach muzułmańskich termin dość pojemny. Przed wszystkim arcy polityczny, bo dotyczący relacji władzy. Poza swoim podstawowym znaczeniem biologicznym czy przypomnieniem o braterstwie w islamie jest też dla wielu mężczyzn wytrychem do narzucania kobietom swojej werbalnej i symbolicznej dominacji. Zwrot „siostrzo” to najczęściej wstęp do pouczenia czy wręcz zbesztania obcej kobiety na ulicy za nieodpowiedni strój bądź zachowanie. Prosty sposób na pokazanie, kto tu rządzi.

Recep Tayyip Erdoğan i jego ludzie z Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) w zasadzie każdą publiczną wypowiedź skierowaną do kobiet rozpoczynają od siostrzanego pozdrowienia. To że lewicujące Turczynki już od dawna ich nie słuchają, a na uliczne siostrzane pozdrowienia obcych mężczyzn reagują agresją – nie zawsze tylko werbalną – to nic nowego. Przewrotem politycznym ostatnich lat w Turcji jest fakt, że owo narzucone przez władzę braterstwo zaczyna coraz częściej odrzucać konserwatywne kobiety, które jak żadna inna grupa skorzystała na rządach AKP i przez ostatnie dwie dekady stanowiły betonowy elektorat Erdoğana.

Tę odmianę było widać wyraźnie podczas wyborów parlamentarnych i pierwszej tury wyborów prezydenckich 14 maja. Jak szacuje turecka ekspertka od sondaży Şeyda Taluk, autorka książki „How to Win Elections” (Jak wygrać wybory), co trzecia Turczynka, która w 2018 r. głosowała na Erdoğana i jego ludzi, tym razem ich nie poparła. Ale ostatecznie konserwatywne kobiety raczej zostały w domu, niż zagłosowały na opozycję. Ten „bunt sióstr”, jak nazywa go już turecka prasa, wciąż się wzmacnia.

– *Nawet jeśli jeszcze w tę niedzielę* [druga tura wyborów prezydenckich – przyp. red.] *konserwatywne Turczynki nie odbiorą zwycięstwa Erdoğanowi, to ich bunt stanowi dla niego największe zagrożenie w politycznej karierze* – uważa Taluk.

1 „Zanim AKP przejęła władzę, kobiety w tym kraju nie miały imion” – przypomniała niedawno w parlamencie Özlem Zengin, posłanka partii Erdoğan, która na obrady przychodzi w chustce.

Poprzedni arcyświecki reżim promował feminizm traktowany, znany z wielu systemów komunistycznych. Co prawda, od 1930 r. Turczynki mogły głosować w wyborach lokalnych, a cztery lata później miały już pełnię czynnych i biernych praw wyborczych na poziomie krajowym. Ale chodziło raczej o stworzenie obrazu nowoczesnego kraju przy pomocy kilku wyjątkowych kobiet, w dużej mierze sztucznie wykreowanych – pilotek (jak Sabiha Gökçen, adoptowana córka Atatürka i patronka stambulskiego lotniska), hutniczek czy traktorzystek właśnie – a nie o nowocześniejsze relacje społecznych.

Patriarchat pozostał fundamentem tych relacji, co w praktyce oznaczało, że nowoczesni panowie chcieli mieć obok siebie nowoczesne panie, modnie ubrane i światowe, ale w domu wypełniające dokładnie takie same role jak ich matki i babcie. W ten sposób oficjalna ideologia, nazywana od założyciela nowoczesnej Turcji kemalizmem, wymuszała na obywatelach zachodni styl życia kosztem tradycji, co oczywiście stało w sprzeczności z poglądami dużej części społeczeństwa.

Przez kilka dekad konserwatywne Turczynki, które z powodów religijnych poza domem przykrywały włosy, były w zasadzie wykluczone z życia publicznego. Z początku było to wykluczenie nieformalne, egzekwowane wedle uznania przez kierowników urzędów, dyrektorów szkół czy rektorów uniwersytetów. W 1998 r. rządzący kemaliści – ci sami, którzy dziś są największą siłą opozycyjną i określają się jako socjaldemokraci – wprowadzili jednak oficjalny zakaz noszenia chust na uniwersytetach i w budynkach użyteczności publicznej. A w licznych przemowach podnieśli regulacje w sprawie chusty do rangi fundamentu reżimu – trochę tak jak dziś w Iranie, tylko w drugą stronę.

Gdy w 1999 r. Merve Kavakci, pierwsza parlamentarzystka nosząca chustę, pojawiła się na sali obrad i została wybuczana przez kemalistów, wybuchła już regularna wojna kulturowa, która ostatecznie wyniosła do władzy Erdoğan. Przy czym stary system walił się stopniowo. Na początku XXI w. chustowy zakaz egzekwowano już dużo słabiej, a religijne Turczynki obchodziły go, po prostu zakładając peruki w drodze na zajęcia czy do urzędów. Regularny demontaż rozpoczął po 2003 r., gdy Erdoğan został premierem.

2 Nowa władza doprowadziła m.in. do zakończenia dość powszechnej praktyki zasądzania zredukowanych wyroków dla sprawców przemocy w rodzinie, w tym do niższych wyroków za zabójstwo żony lub córki. Wprowadziła kary za niemoralne zachowania wobec obcych kobiet, które dziś nazwalibyśmy stalkingiem. Państwo Erdoğan stworzyło m.in. fundusz dla wdów, schroniska dla kobiet z dziećmi, które musiały uciekać przed mężami, wprowadziło comiesięczne zapomogi dla rozwiedzionych kobiet, które w Turcji najczęściej startują od zawodowego zera, jako były gospodynie domowe.

Upodmiotowienie Turczynek w pierwszej dekadzie rządów Erdoğan miało oczywiście związek z oczekiwaniami Unii Europejskiej, do której Turcja jeszcze wtedy aspirowała. Przyjmowane wówczas ustawy m.in. zrównały w prawach małżonków, kryminalizowały gwałt małżeński i podniosły minimalny wiek zawierania związków do 18 lat (wcześniej było 16). Pracodawcom zakazano zwalniania kobiet w ciąży. W końcu zupełnie zniesiono zakaz chust na uczelniach i w urzędach. Religijne Turczynki trafiły do policji, sądów, na uniwersytety. Erdoğan przywrócił im imiona.

Tę emancypację Turczynek dobrze pokazują liczby. Gdy w 2002 r. AKP przejmowała władzę, studiowało zaledwie 13 proc. kobiet w wieku „uniwersyteckim” (19–25 lat), dziś to ponad 50 proc. 20 lat temu Turczynki stanowiły 13 proc. siły roboczej w kraju, obecnie ich udział przekracza 36 proc., a w sektorze publicznym – nawet 40 proc.

Dowodem na to, jak bardzo Turcja się zmieniła, jest fakt, że kandydat opozycji na prezydenta Kemal Kılıçdaroğlu i jego partia CHP, czyli w dużym jeszcze stopniu współtwórcy chustianych zakazów z lat 90., przed wyborami kilkakrotnie zapewniali o swoim poparciu dla tego symbolu muzułmańskiej pobożności. Zgłosili nawet projekt odrębnej ustawy gwarantującej wolność chusty. Mało tego, kobiety w chustach widziano na wiecach CHP, pojawiły się też na wyborczych billboardach tej partii, a nawet w jej lokalnych władzach. ▶

3 Wyniki wyborów z 14 maja pokazują, jak bardzo środek politycznej grawitacji przesunął się w Turcji na prawo i bardzo prawo. Największe nacjonalistyczne ugrupowanie MHP, pozostające w sojuszu z Erdoğanem, według sondaży miało dostać 6–7 proc., a zgarnęło ponad 10. Co prawda sama AKP nieznacznie osłabła, ale Erdoğan zrekompensował to sobie, zawierając współpracę z ultrasłamskimi ugrupowaniami, Nową Partią Dobrobytu, która w trakcie kampanii „reklamowała” swoje kandydatki, nie pokazując ich wizerunków, oraz Hüda Par, islamistyczną organizacją związaną z Kurdyjskim Hezbollahem, odpowiedzialnym za kilka zabójstw politycznych w latach 90.

Cała ta Erdoğanowska koalicja nie kryje się ze swoją islamistyczną agendą. Nowi sojusznicy prezydenta mówią o konieczności ograniczenia alimentów i ochrony prawnej kobiet przed przemocą domową, bo według nich oba rozwiązania skłaniają Turczynki do porzucania mężów i tym samym zagrażają „tradycyjnej, tureckiej rodzinie”. Domagają się też m.in. kryminalizacji cudzołóstwa i obniżenia minimalnego wieku kobiet zdolnych do małżeństwa.

Sam Erdoğan już dwa lata temu wycofał Turcję z tzw. konwencji sambulskiej przeciwko przemocie domowej, bo znów – według jego nowych koalicjantów – promuje ona rozwody i prawa LGBTQ+. Przedstawiciele tych mniejszości seksualnych Erdoğan i jego sojusznicy już regularnie nazywają „dewiantami”. Zaproponowali też zmianę warunków aborcji, tak aby możliwa była ona nie jak dotychczas do 10. tygodnia ciąży, ale do szóstego. Przy czym na ok. 300 szpitali, które w Turcji mogą legalnie dokonywać aborcji, co najmniej 100 i tak tego nie robi ze względu na sprzeciw lekarzy.

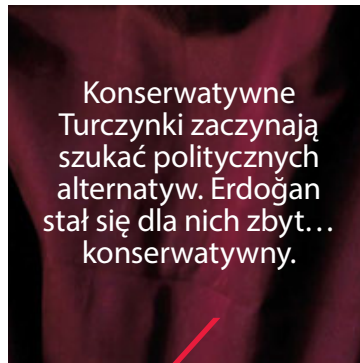
Erdoğan i jego ludzie już nawet nie próbują ukrywać swoich seksistowskich poglądów. Prezydent wielokrotnie przekonywał, że równość kobiety i mężczyzny jest „sprzeczna z naturą”. A jeden z jego ministrów całkiem niedawno stwierdził, że kobiety nie powinny śmiać się zbyt głośno w miejscach publicznych. Z przemówień prezydenta wyłania się tradycyjne spojrzenie na rolę Turczynki – przede wszystkim powinna być matką przynajmniej trójki dzieci, a najlepiej piątki. I jednocześnie opiekować się starszymi rodzicami lub/i teściami, bo wszyscy mieszkają razem.

4 Trudno więc się dziwić, że nawet konserwatywne Turczynki zaczynają szukać politycznych alternatyw. Erdoğan stał się dla nich zbyt... konserwatywny. Badanie sondażowni ALF ze stycznia pokazało, że AKP pierwszy raz od ponad 20 lat nie jest już najpopularniejszym ugrupowaniem wśród kobiet. Chciało na nie zagłosować 26 proc. pytanym, podczas gdy na CHP – 29 proc. A było to jeszcze przed ogłoszeniem sojuszu Erdoğan z skrajną prawicą.

Konserwatywne Turczynki nigdy nie stanowiły jednolitego bloku, ale przez ostatnie dwie dekady AKP była w zasadzie jedyną partią, która dbała o ich interesy i podzielała ich wartości. – *To polityczne sprzężenie zaczęło się rozluźniać w 2018 r., a sypać po 2020, gdy kobiety najmocniej zaczęły odczuwać rosnący kryzys gospodarczy* – mówi Şeyda Taluk. – *Ostatni zwrot władzy w kierunku skrajnej prawicy i radyklanego ograniczenia praw kobiet grozi już ostatecznym rozwodem.*

Erdoğan i jego formacja mają niewątpliwe zasługi w emancypacji społecznej i politycznej konserwatywnych Turczynek. Zanim nastała AKP, po prostu nikt się tymi kobietami nie interesował. A Erdoğan je upodmiotowił: kazał swoim zwolennikom chodzić po domach, zakładać lokalne koła gospodyń, czyli w praktyce budować sieci znajomości i socjalizować te kobiety, wcześniej zamknięte w czterech ścianach przez swoich mężów i samo państwo. W końcu angażować je najpierw w sprawy im bliskie, stopniowo je upolityczniać, pokazywać im ich własną sprawczość. I obiecać, że dzięki temu zaangażowaniu ich córkom będzie lepiej.

To jednak przeszłość. – *Na córkach tamtych kobiet, dziś już dorosłych, taka mobilizacja polityczna nie robi większego wrażenia* – mówi politolożka Esra Özcan, autorka głośnej książki „Mainstreaming the Headscarf” o chuście w tureckiej przestrzeni publicznej. – *Nie da się ich zastraszyć groźbą powrotu zakazu noszenia chust (które same w większości noszą), jeśli AKP straci władzę na rzecz Kılıçdaroğlu. Dużo bardziej przejmują się nepotyzmem i korupcją, a przede wszystkim radykalnym zwrotem Erdoğan w prawo i traktowaniem kobiet wyłącznie jako elementu rodziny. Ale jak zagłosują w niedzielę, tego nie umiem powiedzieć.*



5 „Jak zagłosowałyby Nursema?” – przed wyborami to pytanie zrobiło niesamowitą karierę w tureckich mediach społecznościowych i przy rodzinnych stołach. Nursema to bohaterka nałogowo oglądanego w Turcji

serialu „Kizilcik Serbeti” (Sorbet żurawinowy) – uosobienie nowoczesnej, niezależnej i zasobnej muzułmanki, z nieskazitelną chustą na głowie, rozległą wiedzą o islamie, naturalnym sarkazmem w słowach i pewnością siebie w ruchach. Jej marzenia o międzynarodowej karierze jako artystki kaligrafki rozsypują się jednak, gdy rodzina postanawia wydać ją za „syna pobożnej rodziny”, który próbuje ją zgwałcić zaraz po ślubie, a potem wyrzuca przez okno, co Nursema przeżywa tylko przypadkiem.

Konserwatywne media zaraz po premierze zaatakowały twórców serialu za „wypaczony obraz muzułmańskiej rodziny” i jednoczesne gloryfikowanie „liberałów”, którzy po wspomnianym wypadku wspierali serialową Nursemę. „Sorbet żurawinowy” stał się tematem kilku konferencji prasowych prominentnych polityków obozu rządowego. Na początku roku turecki urząd kontroli mediów RTUK ukarał twórców serialu i tymczasowo zawiesił jego emisję za... „propagowanie przemocy wobec kobiet”.

Gdy znana akademiczka i komentatorka Ipek Maya Saygin jeden z odcinków swojego popularnego talk-show zatytułowała „Jak zagłosowałyby Nursema?”, sprawa nabrała wagi państwowej. W internecie zakotłowało się od minisondaży, w których dominowało przeświadczenie, że bohaterka „Sorbetu żurawinowego” na AKP już raczej nie zagłosuje.

Odpowiedzi zaczęły szukać politycy. Jeden z liderów opozycji Gursel Tekin napisał na Twitterze, że jeśli Erdoğan znów wygra, to mąż Nursemy może spać spokojnie. A jeśli zwycięży jego przełożony, Kılıçdaroğlu, Nursema pozwie męża, rozwiedzie się i zacznie nowe życie. „Więc wybierajcie, siostry” – podsunął Tekin. Czy to jednak nie było o jedno słowo za wiele?

ŁUKASZ WÓJCİK



Bicz na ryż

Mu Cang Chai
– plantacje ryżu
w północnym
Wietnamie.

Gwałtowne zmiany pogody sprawiły, że uprawy ryżu – najpopularniejszego zboża świata – znalazły się w kryzysie. Dla zamożnych krajów to kłopot, dla biednych katastrofa.

JĘDRZEJ WINIECKI

Są gatunki ryżu dzikie i udomowione. Liczba jego odmian idzie w dziesiątki tysięcy, dają się uprawiać w szerokim spektrum klimatów i krajobrazów. Z różnorodnością faktur, barw i smaków przeniknęły do kulinarnych tradycji wszystkich kontynentów. Dlatego musi niepokoić fakt, że z ryżem dzieje się coś złego. Globalnie rzecz biorąc, plony spadają lub w najlepszym wypadku nie rosną, a w związku z antropogenicznymi zmianami klimatu będzie tylko gorzej. Tymczasem w miarę wzrostu ludzkiej populacji – w połowie wieku ma nas być 10 mld – zwiększa się zapotrzebowanie

na żywność, w tym na wszystkie podstawowe zboża.

Źródła ryżowych kłopotów są nieźle rozpoznane. Doraźnie swoje robi agresja Rosji na Ukrainę, która upośledziła globalny obrót płodami rolnymi. Bardziej stałą przyczyną są zawirowania pogodowo-klimatyczne. Ryżowi nie służą kapryśne przejścia od suszy do nawalnych, powodujących podtopienia i powodzie deszczy. Takie zjawiska nazywane są smagnięciem klimatycznego bicia. I ryżowi dostaje się najbardziej.

Klimatyczny bicz uderzył m.in. w kalifornijskim „pasie ryżowym”, który obejmuje ponad 200 tys. ha przede wszystkim w okolicach Sacramento i znany jest z produkcji ryżu wykorzystywanego

do przygotowywania sushi. Trwającą tam od 2012 r. suszę przerwały wielkie deszcze 2017 r., który okazał się drugim najbardziej mokrym w dziejach kalifornijskich pomiarów meteorologicznych. W 2019 r. w górach tego stanu spadło bardzo dużo śniegu, ale susza wróciła po 2020 r.

Fatalny był zeszły rok, niektóre z ponad tysiąca farm nie wyprodukowały nawet ziarenka, co zdarzyło się pierwszy raz od XIX w., gdy ryż pojawił się na polach Kalifornii. Tymczasem obecny sezon zapowiada się świetnie, a powodem są rekordowe opady śniegu. Zeszłej zimy w górach Sierra Nevada spadło go trzykrotnie więcej od wieloletniej normy.

Chwilowy optymizm nie przysłania jednak kalifornijskim plantatorom ▶

► dłuższej perspektywy. Lata umiarkowane są coraz rzadsze. W okresie suszy w zbiornikach zaporowych brakuje wody do nawadniania pól i wtedy odcinane są jej przydziały dla farm. A w porze deszczu maszyny grzęzną w gliniastym błocie rozmiękczonych pól.

Mechanizm ten na jeszcze większą skalę występuje na wschodzie i południu Azji, odpowiedzialnej za 90 proc. światowej produkcji ryżu. Letni monsun jest coraz silniejszy, zmiany klimatu jeszcze go wzmocnią. A czym to grozi, było widać choćby w 2020 r., gdy powódzie zalały ponad jedną trzecią powierzchni Bangladeszu. Zeszłej wiosny Pakistan mierzył się z suszą, a latem z powodzią, rekordowymi w historii kraju. W tym samym czasie pod wysoką wodą marniały uprawy w Chinach, w rolniczych prowincjach Guangxi i Guangdong.

Badacze z Uniwersytetu Pekinńskiego twierdzą, że do końca wieku ulewne deszcze będą co roku niszczyły 8 proc. chińskich pól. A Chiny są pierwszym producentem ryżu, zbierają blisko jedną trzecią globalnych pól. Duże krople niszczą rośliny, ulewy wypłukują substancje odżywcze z gleby, a gdy mocno pada w okresie kwitnienia, kłopoty z dostępem do kwiatów i z lataniem mają m.in. owady zapylające.

Ryż lubi ciepłe dni i chłodniejsze noce, dlatego wysokie temperatury utrzymujące się przez całą dobę hamują rozwój jego ziaren. Sprzyjają też rozprzestrzenianiu się chorób, choćby śmiertelnej dla rośliny zarazy wywołanej przez pochodzące z Japonii bakterie. Dodatkowo ryżowi zagrażają zalewy przez słone wody podnoszących się mórz i oceanów, jak w wybitnie płaskim i bardzo nisko położonym Bangladeszu.

Uprawy ryżu cierpią w związku ze zmianami klimatu, ale też same się do nich przyczyniają. W raporcie z 2019 r. Światowe Forum Ekonomiczne, organizator słynnych konferencji w Davos, porównało emisje gazów cieplarnianych pochodzących z uprawy ryżu do tych wyrzucanych przez kominy 1,2 tys. dużych elektrowni węglowych. W innej wersji ślad węglowy ryżu odnosi się do łącznych emisji całych gospodarek Hiszpanii, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Włoch. Z tych porównań ma wynikać, że produkcja ryżu jest dużym obciążeniem dla atmosfery. Tylko czy można z niej zrezygnować?

Emisje są spore, bo ryżu uprawia się dużo. Według ONZ ok. 518 mln ton obecnej rocznej produkcji zapewnia jedną



Zanim ziarna ryżu trafią do obróbki, trzeba je wysuszyć. Region Santipur w Indiach.

piątą kalorii niezbędnych ludzkości. Jednak ryż potrzebuje wilgoci, najlepiej rośnie na zalanych polach, co sprzyja wydzielaniu gazów cieplarnianych. W wodzie dobrze czują się bakterie produkujące metan, podgrzewający atmosferę znacznie skuteczniej niż dwutlenek węgla. M.in. dlatego kalorie pochodzące z ryżu mają dwukrotnie większy ślad węglowy niż pszenica czy kukurydza, choć nadal mniejszy niż owoce, warzywa i właściwie cała żywność pochodzenia zwierzęcego.

Uwalniający się metan można eliminować, obniżając poziom wody tak, by ziemia była porządnie wilgotna, ale nie zalana. Taka technika sprzyja jednak wydzielaniu się toksycznego dwutlenku azotu, bo do odsłoniętej gleby dostaje się więcej tlenu, który wchodzi w reakcję z pozostałościami nawozów. A z nawozów nie sposób zrezygnować przy stale rosnącym popycie na ryż.

Następna porcja emisji wiąże się ze słomą ryżową – generalnie jest jej za dużo, nie są jej w stanie przejeść zwierzęta gospodarskie. W Indiach przerwa między zbiorami i kolejną rundą obsadzania to zaledwie dwa tygodnie. Rolnicy, chcąc szybko i tanio usunąć słomę z pól, sięgają po ogień. Przyczyniają się tak do smogu spowijającego indyjskie miasta. Można słomę zostawioną na polach traktować bakteriami, które przyspieszają jej rozkład i użyźniają glebę, ale to trwa dłużej niż dwa tygodnie. Da się słomę przerobić na biowęgiel – ma wtedy cechy podobne do węgla drzewnego. Ale słoma bywa różnej jakości, trudno tu o równy standard potrzebny np. w elektrowniach.

Jakimś pomysłem jest rezygnacja z ryżu na rzecz mniej emisyjnych zamienników. Od 2015 r. władze Chin przekonują obywateli do ziemniaków. Są ministerialne programy, dopłaty dla rolników i akcje promocyjne. Idzie opornie, bo kartofel kojarzy się z biedą i głodowaniem. Niemniej w krajach ryżowych regułą stała się ewolucyjna zmiana diety. Wietnam czy Indonezja urozmaicają jadłospisy, obecne pokolenia jedzą mniej ryżu niż poprzednie generacje. Odwrotnie dzieje się w Afryce, gdzie wcześniej jedzono ryż od święta, a teraz ten uprawiany na miejscu i sprowadzany z Azji jest powszechny, także ze względu na łatwość przygotowania opartych na nim posiłków.

W Chinach pomysł ze zmianą diety tłumaczony jest potrzebą dywersyfikacji źródeł kalorii i podreperowania bezpieczeństwa żywnościowego kraju, który zdany jest na import produktów rolnych. Zaniepokojenie wywołały zwłaszcza niedobory związane z napaścią Rosji na Ukrainę. Czerwone lampki zapaliły się też w Japonii – tamtejszy rząd zapowiada, że do połowy wieku obszary upraw ekologicznych, czyli m.in. nienawożonych, powiększą się czterdziestokrotnie. Szczególnie że ceny nawozów – tak jak pasz – poszły mocno do góry, bo sprzedawały je m.in. Białoruś i Rosja, teraz obłożone sankcjami.

Japonia obawia się też żywieniowych skutków potencjalnej konfrontacji z Chinami. Wystarczy bowiem blokada wokół Tajwanu, zamieszanie na okolicznych morzach i przerwy w transporcie oceanicznym, by odciąć Japonię od szlaków



SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

www.sosafryka.org

REKLAMA

importowych i doprowadzić do kryzysu, który część niedożywionych czy wręcz głodujących obywateli przyplaci życiem. Japonię przed konsekwencjami blokady ryżu, ale są one ograniczone. Japonia potrzebuje rocznie 16 mln ton, a sama produkuje zaledwie 7 mln. To skutek polityki państwa.

Od lat 60. konsumpcja ryżu spadła w Japonii o połowę, zamiast niego je się więcej pszenicznych makaronów i chleba. Dopiero w 2018 r. rząd zmienił kilkudziesięcioletnią strategię obliczoną na zmniejszanie powierzchni upraw ryżu i trzymania jego wysokich, stabilnych cen, by zadowolić uprawiających go rolników. Jednocześnie system wysokich dopłat promował inne zboża i produkty pochodzenia zwierzęcego.

Ryż już bardzo dawno przystosowano do uprawy na trzech kontynentach.

W Azji kluczowy był ryż siewny (*Oryza sativa*), uprawiany przynajmniej od 8–9 tys. lat. W Afryce podobny ryż afrykański (*Oryza glaberrima*) udomowiono najpewniej nad rzeką Niger na terenie obecnego Mali jakieś 3–4 tys. lat temu. Mniej więcej w tym samym czasie dzikie gatunki z rodzaju *Oryza* nauczone się uprawiać w południowo-zachodnim dorzeczu Amazonki w dzisiejszej Brazylii.

Bez rolniczego wykorzystania ryżu nie powstałyby wyrafinowane azjatyckie cywilizacje i imperia. Bez łatwiejszych w uprawie i bardziej odpornych odmian komunistyczne Chiny nie dźwignęłyby setek milionów obywateli z biedy i głodu.

Ryż jest częścią azjatyckiej tożsamości, przedmiotem dumy i sporów o pierwszeństwo jego udomowienia. Badacze dziejów ryżu podpowiadają, że praktycznie każda część Azji zgłosiła swoją kandydaturę do pierwszeństwa. Główny nurt dyskusji sprowadza się do chińsko-indyjskich prób udowodnienia, że wszystko zaczęło się – odpowiednio – nad Jangcy bądź Rzeką Perłową, od odmiany krótkoziarnistej, kleistej, pochodzącej z wyżyn i klimatu umiarkowanego, znanej generalnie jako *japonica*, lub nad Gangesem, od nizinnej odmiany *indica* z tropików, długoziarnistej i nieklejącej. Rozstrzygające zdają się badania genetyczne, które przechylają szalę na chińską stronę.

Dla reszty świata ważniejsze były późniejsze losy ryżu. Łatwo się rozprzestrzenił, azjatyckie gatunki i odmiany trafiły do Afryki już na początku naszej ery. Starożytni Europejczycy z basenu Morza Śródziemnego jedli ryże afrykańskie, głównie z Egiptu, znali też

azjatyckie. Jego ziarenka znajdowano w rzymskich obozach wojskowych m.in. w Niemczech, sporo ryżowych doświadczeń z kampanii Aleksandra Wielkiego wynieśli jego żołnierze.

W średniowieczu na podbitym przez siebie południu Europy ryż wprowadzali Arabowie, przez nich trafił do Włoch (stąd risotto, choć ma znacznie późniejszy, dopiero XIX-wieczny rodowód). W swoich lombardzkich pokazowych gospodarstwach w XV w. kazał uprawiać go książę Mediolanu (i brat dziadka naszej królowej Bony) Ludwik Sforza.

Z Włoch ryż pojechał do Francji, a w erze odkryć geograficznych na cały świat, jako ważny element diety lub – w sprzyjających warunkach – roślina uprawna. Do Ameryki umiejętność uprawy i ziarno jechały na statkach niewolniczych, to m.in. siłą przesiedleni afrykańscy rolnicy wprowadzali ryż w Stanach Zjednoczonych i przede wszystkim w Brazylii.


Dokładne poznanie losów ryżu ma pomóc w jego udoskonaleniu na przyszłość.

Ryżowa standaryzacja sprawia, że w sprzyjających okolicznościach współcześnie stosowane odmiany dają wysoki plon, ale mając mniejszą różnorodność genetyczną niż odmiany dawne, stają się bardziej podatne na choroby. Są też słabiej przystosowane do wymagań lokalnego środowiska i zmieniających się warunków, w tym różnych niedoborów, choćby wody.

Różne kombinacje z ryżem, zwłaszcza wprowadzanie niskoemisyjnych sposobów uprawy, mają być o tyle łatwiejsze, że nie ma jakiegoś dobrze zorganizowanego globalnego ryżowego lobby, które opiera się transformacji w tę czy inną stronę. Jak to jest w przypadku hodowców bydła, trzody czy drobiu, którzy bronią się wspólnym, ponadnarodowym frontem przed oskarżeniami o zapaskudzenie atmosfery, starają się opóźniać mody dietetyczne spod znaku wegetarianizmu.

Zresztą narzekania na szkodliwość produkcji ryżu podszyte są hipokryzją bogatszych. Marudzą głównie Amerykanie i Europejczycy, zamożna część świata, która swój dobrobyt zbudowała wiekami intensywnego wykorzystania zasobów i wydalania do atmosfery wielkiej dawki gazów cieplarnianych. W Europie i w Ameryce Płn. ryż jest kulinarnym dodatkiem, bez którego można by się pewnie obyć. Co innego w Azji i w Afryce, gdzie decyduje o przetrwaniu miliardów mieszkańców.

JĘDRZEJ WINIECKI



Chcę pójść do szkoły. Pomóż mi.

Tysiące dzieci w Zimbabwie nie chodzą do szkoły z powodu biedy.

Wpłać darowiznę i pomóż nam wysłać 1000 dzieci do szkoły, żeby przerwać błędne koło ubóstwa.

Liczy się każda wpłata.

Zeskanuj kod QR lub przekaż darowiznę przelewem.

Nasz numer konta:

63 1240 6292 1111 0010 6775 1991

Tytuł przelewu: Zimbabwe



www.sosafryka.org



Pogrzeb
proputinowskiego
blogera Władlena
Tatarskiego,
Moskwa, 2023 r.

Wojenkorzy

Krytykują ministra i generałów. Piszą o porażkach rosyjskiej armii w Ukrainie. Inni za takie słowa trafiają za kratki, ale rosyjscy tzw. korespondenci wojenni dostają medale.

PAWEŁ RESZKA

W audycjach pożegnalnych nadawanych przez państwowe media o Władlenie Tatarskim mówiono z wielką atencją. To prawda, że przed laty napadł na bank. Ale przecież nigdy tego nie ukrywał. Poza tym to był porządny chłop. Wielki patriota. Wojenkor z krwi i kości.

„Wojenkor” to zbitka słowna, która pochodzi od korespondenta wojennego,

czyli teoretycznie dziennikarza, który – w odróżnieniu od analityków wojskowości czy publicystów – bywa na linii frontu. Jednak współcześni rosyjscy wojenkorzy to inna kategoria. Często bywają na froncie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Zamieszczają zdjęcia i filmy z pierwszej linii. Analizują ruchy wojsk. Przeprowadzają wywiady z żołnierzami i oficerami. Jednak reporterami na pewno nie są.

To blogerzy, aktywiści i propagandyści wojny. Ubrani w mundury nie różnią się wyglądem, a często i zachowaniem, od rosyjskich żołnierzy. Na przykład ich „wywiady” z ukraińskimi jeńcami przypominają przesłuchania. Publikują w mediach społecznościowych, szczególnie w Telegramie. Ich przekaz dociera do setek tysięcy odbiorców.

Z więzienia na front

Życiorys Tatarskiego, rocznik 1981, jest tu dość charakterystyczny. Urodził się jako Maksim Fomin w Makiejewce, górniczym mieście sąsiadującym z Donieckiem. Zaczął pracę w kopalni, ale górniczy trud porzucił dla biznesu – zajął się sprzedażą mebli. Interes kręcił się słabo, a Władlen potrzebował gotówki. By ją zdobyć, w 2011 r. z dwoma kompanami ograł makiejewski bank. Działali trochę jak gang Olsena. Zrabowali równowartość kilku tysięcy euro, ale przeoczyli sejf, w którym była naprawdę duża gotówka. Na dodatek dopiero w domu zauważyli, że w banknotach ukryty jest lokalizator GPS. Policja zgarnęła rabusiów jeszcze tego samego dnia. Wyrok: osiem lat więzienia w Zakładzie Karnym nr 57 w Gorłowce, na północ od Doniecka.

Tatarski siedział do 2014 r., gdy do Gorłówki zawitała „Ruska wiosna”. Ośmieleni zdobyciem Krymu prorosyjscy dywersanci zaatakowali na Donbasie. Nad Donieckiem, Słowiańskiem, Makiejewką załopotały rosyjskie flagi, a Zakład Karny nr 57 znalazł się niemal na linii frontu. Władlen skorzystał więc z zamieszania, uciekł z więzienia i zapisał się do prorosyjskich partyzantów. Walczył pod pseudonimem „Profesor”.

W 2019 r. wyjechał do Moskwy, przyjął rosyjskie obywatelstwo i zaczął pisać pamiętniki – wtedy już jako Władlen Tatarski. Ten pseudonim kojarzy się z Wawilieniem Tatarskim, bohaterem powieści Wiktora Pielewina. Imię Władlen było zaś popularne w Kraju Rad przed stu laty, wymyślone ku czci Włodzimierza Lenina.

W lutym 2022 r., tuż po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, Tatarski wrócił do Donbasu. Znowy służył w oddziałach separatystów, ale bardziej interesowała go działalność publicystyczna. Jego kanał w sieci społecznej Telegram rósł błyskawicznie, pod koniec ubiegłego roku miał pół miliona subskrybentów.

Władlen był zdecydowanym zwolennikiem wojny. Często powtarzał, że „Ukraina jako państwo w obecnym kształcie powinna zostać unicestwiona”.

To cecha wspólna wojenkorów. Na przykład Borys Rożyn, vel ColonelCassad

(890 tys. subskrybentów), mawia, że inwazję trzeba było zacząć dużo wcześniej. Rożyn jest z wykształcenia nauczycielem, z zamiłowania – historykiem, a pracował w Sewastopolu jako informatyk. Naturę blogera odkrył w sobie w 2014 r., kiedy rosyjski specnaz (tzw. zielone ludziki) załapał Krym. Od tej pory Rożyn zajmuje się publicystyką wojskową, opisywał m.in. działania najemników z grupy Wagnera w Syrii. Jest też stałym gościem w rosyjskich państwowych telewizjach.

Regularnych wojenkorów jest kilkudziesięciu. Niektórzy dopiero pną się na szczyt, jak Aleksander Simonow (181 tys. widzów). Inni na szczycie już są, dajmy na to taki Aleksander Sładkow, który ma ponad milion subskrybentów, choć przed inwazją na Ukrainę jego kanał zbierał ledwie 30-tysięczną publiczność. Takie „wojenne” wzrosty popularności wojenkorów to norma.

Ciekawym przypadkiem jest sam Sładkow, rocznik 1966. Formalnie to bowiem korespondent państwowej telewizji. Wcześniej relacjonował wiele konfliktów, od Naddniestrza po Bliski Wschód. Dziś jednak pochłania go prowadzenie własnego kanału na Telegramie. Zamieszcza po kilka wpisów, analiz, zdjęć czy filmów dziennie. Podobne podwójne życie prowadzi Aleksandr Koc, wysłannik „Komсомolskiej Prawdy”, który na Telegramie ma 656 tys. abonentów. Zasłynął tym, że informacje o masowych mordach w Buczy nazywał fejkami.

Inna propaganda

Na pewno jednym z powodów popularności wojenkorów jest to, że dostarczają wiadomości wprost z pola walki. Publiczność chętnie ogląda wybuchające czołgi i ciała „zlikwidowanych faszystów”.

Innym powodem są kłamstwa oficjalnych mediów na temat przebiegu wojny. Zakłęcia oficjalnych propagandystów („Za chwilę weźmiemy Kijów”, „Lada moment wojsko przeciwnika zostanie zamknięte w kotle w Donbasie”) już dawno rozjechały się z rzeczywistością. A opowieści wojenkorów są dużo bliższe prawdy. Rozmawiają z żołnierzami wściekłymi na wojskowych urzędników, z oficerami przeklinającymi braki w wyposażeniu. Oskarżają generałów o kłamstwa i błędy.

Tak było np., gdy w styczniu pod gruzami budynku w Makiejewce zginęło kilkudziesięciu rosyjskich żołnierzy. Generałowie ogłosili, że zabici sami są sobie winni – wbrew rozkazom korzystali z telefonów komórkowych, co pozwoliło przeciwnikowi ich namierzyć. Blogerzy zauważali jednak, że poborowi nie powinni być

rozlokowani w zasięgu działania ukraińskiej artylerii. Zaś dowódcy powinni być z nimi, a nie świętować Nowy Rok przy wódce w swoim gronie.

Na kanałach blogerów można usłyszeć, jak Jewgienij Prigożyn nazywa rosyjskiego ministra obrony Siergieja Szojgu „suką”. I reklamuje grupę Wagnera, swoją prywatną armię najemniczą. Nawet ci wojenkorzy, którzy mają państwowe etaty, na własnych kanałach są dużo śmielsi. „Wszyscy żołnierze, szczególnie te setki tysięcy w okopach, wierzą w zwycięstwo. Tak jak prawie wszyscy dowódcy i wojskowi naczelnicy. Ale są politycy, urzędnicy, którym nie zależy. Dzieci mają w Miami, pieniądze też tam. Po co mieliby się upierać [przy kontynuowaniu wojny – przyp. red.]?” – pisze Sładkow.

W Rosji za to, co opowiadają w Telegramie wojenni blogerzy, można pójść do więzienia. Zgodnie z drakońskim prawem, uchwalonym po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę, za dyskredytację sił zbrojnych lub rozpowszechnianie fałszywych informacji na temat armii grozi do 15 lat odsiadki.

Przepis jest gumowy i często stosowany. Sądy zajmują się tysiącami pozwów przeciw niezależnym dziennikarzom (którzy piszą z zagranicy), blogerom czy zwykłym obywatelom, którzy sprzeciwiają się wojnie. Każde nieostrożne słowo może zaprowadzić na ławę oskarżonych. Najczęściej kończy się na mandacie, ale zapadają też wyroki więzienia. Za dyskredytację armii opozycjonista Ilia Jaszin dostał osiem i pół roku odsiadki.

Pod sąd omal nie trafił lekarz Jurij Ewicz, weteran separatystycznej rebelii w Donbasie. Podczas publicznego wystąpienia skrytykował pomoc medyczną, jaką dostają ranni żołnierze. To oburzyło czujnego słuchacza, który zadencjonował doktora. „Lekarza-patrioty” bronili sam gubernator obwodu kałużskiego i znany wojenkor Jurij Kotionok (ponad milion subskrybentów).

Historia dr. Ewicza w jakimś sensie tłumaczy, dlaczego wojenkorzy nie są ścigani przez prawo. Nie chodzi bowiem o samą krytykę, ale o pozycję, z jakiej się krytykuje. Oni wszak nie podważają sensu prowadzenia wojny. Wręcz przeciwnie, uważają, że sprawę trzeba prowadzić do końca. Zgadają się z oficjalną linią, że przeciwnikiem nie jest Ukraina, ale cały Zachód. Jeśli coś krytykują, to słabość i nieudolność urzędników oraz dowódców. Poza

dyskusją jest męstwo zwykłego żołnierza i mądrość głównodowodzącego, tj. Władimira Putina.

Niezależny politolog Dmitrij Orieszkin mówi, że kanały wojenkorów „to głos z okopów”. Można dodać, że to głos z okopów skierowany do okopów. Bo publiczność wojenkorów stanowią w dużym stopniu sami wojskowi, ich rodziny i zwykli pasjonaci wojny. Oni – w odróżnieniu od reszty społeczeństwa – i tak nieźle orientują się w prawdziwej sytuacji na froncie i nie kupują telewizyjnej propagandy.

Medal Władlena

Abbas Galliamow, były współpracownik Putina, autor jego przemówień – obecnie na emigracji – mówi Deutsche Welle, że rosyjski prezydent ma powody, by blogerom kibicować. Przecież wielka rosyjska armia zawiodła także i jego. Wojenkorom uchodzi więc na sucho nie tylko krytyka, ale i jawne wpadki na dużą skalę.

Ostatnio kilku z nich zamieściło niemal jednocześnie informacje o tym, że właśnie ruszyła wielka ukraińska ofensywa. Jewgienij Poddubnyj (890 tys. subskrybentów) pisał np. o przerwaniu linii pod Sołedarem, a także o kolumnach pancernych prących w stronę rosyjskiej granicy. Wskutek takich i podobnych wpisów

na froncie zapanowały paniczne nastroje, na które musiało reagować ministerstwo obrony, które – wyjątkowo zgodnie z prawdą – zdementowało informacje o masowym ukraińskim ataku.

Ta wpadka raczej nie zaszkodzi pozycji wojenkorów. Szczególnie że Duma przyjęła ustawę nadającą im uprawnienia weteranów, na równi z walczącymi żołnierzami. Telewizja wciąż prosi ich o komentarze. Prezydent zaprasza na oficjalne uroczystości.

Jednym z jego gości we wrześniu 2022 r. był Władlen Tatarski. Ubrany w garnitur, uradowany zaproszeniem, na kremłowskich korytarzach wygłosił dewizę, manifest swych poglądów na wojnę: „Wszystkich pokonamy, wszystkich zabijemy, kogo trzeba ograbimy, wszystko będzie tak, jak lubimy”.

Tatarski nie doczekał się jednak zwycięstwa połączonego z zabijaniem i grabieniem. Zginął 2 kwietnia 2023 r. Nie na froncie, lecz w zamachu bombowym w Petersburgu, w kafejce, gdzie miał spotkanie z czytelnikami. Putin odznaczył go pośmiertnie medalem „za męstwo”. ■



ALEKSANDER SŁADKOW

Zbijanie z tropu

Rozmowa z byłym ambasadorem Niemiec w Warszawie Arndtem Freytagiem von Loringhovenem.

Nowo wybrany kanclerz Olaf Scholz podczas swojej pierwszej zagranicznej wizyty. Na fot. z Mateuszem Morawieckim, Warszawa, 2021 r.

ADAM KRZEMIŃSKI: – Mamy ze sobą wspólny kłopot. U nas zaczyna się kampania wyborcza. Premier Morawiecki grzmi na Niemcy, że się ociągają z pomocą dla Ukrainy. Jarosław Kaczyński kładzie na stole kartę antyniemiecką. A opozycja, aby nie wzbudzać kolejnych emocji, raczej unika otwartej konfrontacji w sprawach polsko-niemieckich.

ARNDT FREYTAG VON LORINGHOVEN:
– To najwyraźniej nic nowego. Niepełna 20 lat temu PiS w kampanii prezydenckiej sfaulował Donalda Tuska „dziadkiem z Wehrmachtu”,

a po 2015 r. oskarżał opozycję, że jest „partią niemiecką”.

Teraz prezes partii rządzącej oświadcza, że Niemcy chcą przetrwać Unię Europejską w IV Rzeszę.

I z tej Unii, jak powiedział w jednym z wywiadów, jeśli dojdzie co do czego, to on Polskę wyprowadzi.

Dokąd? W końcu EWG powstała między innymi właśnie dlatego, by „związać” Niemcy złotymi nićmi powiązań i współzależności z Zachodem, uniemożliwiając im dawną huśtawkę i „odrębną drogę” między Wschodem a Zachodem. Podobna też intencja towarzyszyła wprowa-

dzeniu euro po zjednoczeniu Niemiec. Eurowaluta zastąpiła dominującą niemiecką markę.

Niemcy nadal są rozgrywanymi w strefie euro.

Mają z pewnością swoją wagę w Europie, ale ten rozgrywający, jak pan mówi, jest jednak pod kontrolą Europejskiego Banku Centralnego i wszystkich krajów strefy euro. Pokazał to w 2009 r. kryzys grecki i kryzys zadłużenia. Ówczesna kanclerz Angela Merkel musiała zaakceptować pakiet stabilizacyjny, a po pandemii nawet pewne „uwspólnotowanie” długów oraz poprzez unijny pakiet postcovidowy...

...do którego Polska wciąż nie ma dostępu, bo według PiS Niemcy – w osobie Ursuli von der Leyen – depczą polską suwerenność, kwestionując naszą praworządność.

Jeszcze raz. UE to nie Niemcy. W sporze o praworządność w Polsce chodzi o dotrzymanie traktatów europejskich. Nad tym czuwa Komisja oraz Trybunał Europejski. W tym sporze Berlin starał się być powściągliwy i pojednawczy.

Sądząc po reakcjach rządzącej w Polsce koalicji, wszystko, co robi Berlin, robi nie tak. Uznanie Odry-Nysy – zapomniane. Kultura „przewycięzania przeszłości” i finansowe wsparcie polskiego reform, a potem naszego „cudu gospodarczego” – to nie, bo należą się reparacje. Rura bałtycka – wiadomo. Obecna pomoc dla Ukrainy – za mała i z ociąganiem. A jeśli się rozkręca, to ponoć tylko po to, by przyćmić polskie zasługi.

Są rzeczywiste powody do krytyki niemieckiej polityki. Prezydent Frank-Walter Steinmeier otwarcie wyznał błędy w polityce wobec Rosji. Kanclerz Scholz po rosyjskim najeździe na Ukrainę otwarcie zapowiedział *Zeitenwende* – zmianę. Czas potwierdził polskie stanowisko w sprawie Ukrainy. To Polska naciskała, aby nałożyć twarde sankcje na Rosję po aneksji Krymu, i na zmasowaną pomoc polityczną, gospodarczą i wojskową dla Kijowa. A teraz jest głównym kanałem dostaw wojskowych na Ukrainę, przekazując 300 czołgów z własnych zasobów. To polscy politycy jako jedni z pierwszych udali się do Kijowa, kiedy stolica jeszcze była pod ostrzałem. Polska także popiera szybkie przystąpienie Ukrainy do UE.

To są rzeczywiste zasługi, które wzmocniły pozycję Polski nie tylko w Europie, ale i w USA. W 2020 r. Joe Biden, jako kandydat na prezydenta USA, wymienił Polskę jednym tchem obok Białorusi jako kraj, gdzie zagrożona jest demokracja. Wtedy stosunki amerykańsko-polskie sięgnęły dna.

Prezydent Duda nie spieszył się nawet z gratulacjami dla elekta.

Wtedy Polska wraz Węgrami u niejednego polityka po obu stronach Atlantyku powodowała ból głowy. Dziś jest nowym państwem frontowym. I dzięki swojemu zaangażowaniu na rzecz Ukrainy wykazała duże zdolności przywódcze. Prezydent Biden już dwukrotnie był w Warszawie, omijając Berlin i Paryż. Na europejskiej wadze odważniki przesunęły się na wschód. Jednak nacjonalistyczna i nieliberalna polityka polskiego rządu nadal podkopuje jedność Europy. A przecież nie ulega wątpliwości,

że od tej jedności zależy stawienie czoła rosyjskiej agresji.

Polska mogłaby teraz odgrywać czołową rolę w Europie. W przeciwieństwie do Niemiec i innych krajów zachodnich, od dawna ostrzegała przed niebezpieczeństwami imperialnego rewizjonizmu Rosji Putina. Aby uniezależnić się od rosyjskich dostaw, zbudowała rurociąg do Norwegii. Już przed rosyjskim najazdem na Ukrainę zaczęła wzmocniać swoją armię, ze 114 do 300 tys. żołnierzy. Warszawa jest w trakcie zwiększania swych wydatków na obronę do 4 proc. PKB – dwa razy więcej, niż wynosi wymóg NATO.

Polska stała się nawet „potęgą humanitarną”, by zacytować ambasadora USA Marka Brzezinskiego. W 2022 r. zupełnie inaczej zareagowała niż w 2015 r., kiedy to zdecydowanie odmówiła przyjmowania uchodźców z Syrii, a także w 2021 r., kiedy zamknęła granice dla uchodźców szmuglowanych przez Białoruś. Dzisiaj jest w Polsce ponad 1,5 mln ukraińskich uchodźców, co jest wspaniałym przykładem sympatii i empatii.

To jedno, na co niedawno zwrócił uwagę „Neue Zürcher Zeitung”: „wokół Polski, Finlandii oraz Wielkiej Brytanii poza Unią” grupują się kraje podobnie oceniające politykę Moskwy: Szwecja, Norwegia, Czechy bałtyckie, Dania, Holandia, Czechy i Słowacja. A druga strona tego medalu?

Warszawa przedkłada narodową suwerenność nad europejską solidarność. I mimo zrozumiałych powodów historycznych jest to postawa, która przeszkadza w budowaniu silnej UE, która teraz będzie jeszcze bardziej potrzebna do zagwarantowania bezpieczeństwa i dobrobytu na kontynencie.

Obecny rząd podważył podstawowy filar Unii – rządy prawa. Usunął niezależność sędziów i bezstronność sądów, faktyczny „prawniczy polexit” odrzuca prymat prawa europejskiego. Jeśli gdzieś ewentualnych naśladowców, to UE zostanie poważnie osłabiona.



Arndt Freytag von Loringhoven

– niemiecki dyplomata i urzędnik, od 2020 do 2022 r. ambasador Niemiec w Warszawie. Wcześniej pracował w Federalnym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, był niemieckim ambasadorem

w Pradze oraz zastępcą sekretarza generalnego NATO ds. wywiadu i bezpieczeństwa.

Kolejnym zagrożeniem są pogarszające się relacje polsko-niemieckie. Pomstowanie na Niemcy wciąż jest znakiem rozpoznawczym rządzącej partii PiS. W 2021 r. polski rząd subwencjonował nawet serię plakatów kampanijnych przedstawiających przedstawicieli Niemiec na tle swastyk i nazistowskich morderców. W całej historii UE nie ma drugiego przykładu, by rząd kraju członkowskiego tak jawnie wspierał wybuchy nienawiści wobec innego członka UE, bliskiego sąsiada...

... może to odwet za słynną „wojnę kartoflaną” z 2005 r. po niemieckiej karykaturze braci Kaczyńskich.

Nie bądźmy dziećmi. Wtedy to była karykatura w jednej z gazet. Coś podobnego znajduje pan w mediach całej Unii na kopy. Oburzające w tych polskich plakatach było to, że one miały wsparcie rządu. A jeśli to wynikało z niedopatrzania czy niechlujstwa urzędników, to żadna agenda rządowa nie poczuła się zobowiązana nawet do tego, żeby się zdystansować albo, jak to się mówi w dyplomacji, „wyrazić ubolewanie”. Wynika więc z tego, że to się dzieje za zgodą...

Mogę pana pocieszyć, że taki savoir-vivre naszej prawicy u władzy odnosi się także do opozycji w kraju. Jest zapatrzona w pruską zasadę immer feste druff, zawsze twardo dował. Nie ma zmiłuj.

No to gratuluję, Prusy na tym nie wygrały. Zdecydowanie i świadomość własnych interesów wymaga także taktu, elegancji i wczucia się w potrzeby partnera, z którym może chwilowo jest się na bakier, ale niebawem być może będzie się go potrzebować. Mimo wszystko nie należy lekceważyć *soft power*. W tych dawnych, złych czasach nazywano to dobrym wychowaniem, które nie polega tylko na demonstracyjnym całowaniu pań w rękę na powitanie.

Rozmawiając w Berlinie ze znajomymi o naszych polsko-niemieckich kłopotach, często słyszę, że ten i ów w znaczących urządach ma już serdecznie dosyć tego handryczenia się. Na zewnątrz jednak tego nie widać, żaden minister nie odpowiada na zaczepki. Nikomu – jak to mówicie – nie trzaska kołnierz.

Nie powinno się lekceważyć rozdrażnienia. Co odpowiadać na ciągle zarzuty i obraźliwości? Kiedy kanclerz Olaf Scholz ogłosił zwiększenie budżetu obronnego Niemiec o 100 mld euro – co z zadowoleniem zostało przyjęte w całym NATO – to z Warszawy docierały jadowne słowa, że ciekawe przeciwko komu są te wydatki – przeciwko Rosji czy Polsce... Takie słowa naprawdę zbijają z tropu. ■

Wynalazki z piekła rodem

Sto lat temu 26 maja odbył się pierwszy wyścig Le Mans – ekstremalna rywalizacja non stop przez całą dobę. Ten test na wytrzymałość okazał się poligonem doświadczalnym dla rozwiązań technicznych, z których dziś korzystamy wszyscy.

D

MARCIN PIĄTEK

dzisiaj wygrywasz, jutro sprzedajesz – głosi motto, pod którym z pewnością podpisałiby się producenci aspirujący do wyścigowej rywalizacji. Udział w Le Mans to prestiż i oczywiste marketingowe korzyści, ale również pieczętka na know-how. W końcu przez dobę pokonuje się tam na wysokich obrotach dobrze ponad 5 tys. km. Kierowcy każdego teamu mogą się zmieniać (od 1983 r. jest ich trzech, wcześniej było dwóch), ale jeśli sprzęt się posypie, to koniec pieśni.

Historię Le Mans piszą nie tylko zwycięzcy – również innowatorzy i ich wynalazki.

Napęd na przednie koła (1927)

Było ich dwóch: Jean Albert Gregoire i Pierre Fenaille. W podparyskim Wersalu prowadzili punkt sprzedaży automobili, a w wolnych chwilach projektowali własny prototyp wyścigowy. Czerpali z doświadczeń zdobytych podczas startów rajdowych (choćby w Monte Carlo, gdzie ścigano się od 1911 r.) oraz z bijącego stulecia i obficie źródła z pieniędzmi. Zapewniał je ojciec Pierre'a, Maurice, potentat branży naftowej. Szczodrze wspomagał artystów (m.in. Rodine'a), nie oczekując w zamian niczego specjalnego. No, może poza aurą mecenasa oraz członkostwem w Akademii Sztuk Pięknych. Ale jeśli chodzi o finansowanie motoryzacyjnej pasji syna, już taki bezinteresowny nie był. Objął większość udziałów w firmie i domagał się nieszablonowego działania. Najlepiej: opatentowania wynalazku, na który branża ochoczo się rzuci.

W wyścigowych realiach kierowcy często uskarżali się na prowadzone pojazdy, jak jeden wyposażone w napęd na tylną oś. Mechanizm był zawodny, zbyt czuły na intensywną eksploatację i jednocześnie nie dość czuły na polecenia kierowcy. Przyprawiał auto o uciążliwe wibracje, a w ciasnych zakrętach pokonywanych

z dużą prędkością również o niebezpieczną tendencję uciekania tyłu pojazdu do osi jezdni i utratę panowania przez kierującego. Dziś określa się to mianem nadsterowności, charakterystycznej właśnie dla samochodów tylnonapędowych. Duet Francuzów wyszedł więc ze słusznego założenia, że trzeba spróbować przenieść napęd na przednią oś. Stworzony prototyp nazwali Tracta Gephi (akronim francuskiego sformułowania „traction-avant”, czyli „napęd na przód” oraz nazwisk konstruktorów). Papa Maurice był bardzo zadowolony, ale czekał jeszcze na próbę ognia, czyli udział w Le Mans.

O mały włos by do niego nie doszło. W drodze do hotelu załoga złożona z konstruktorów oraz dwóch mechaników miała wypadek. Fenaille – z poważnym urazem głowy – trafił do szpitala. Stosunkowo najmniej poturbowany został Gregoire, ale lekarze i tak zaordynowali mu 48-godzinną obserwację. On sam uznał jednak, że brak złamań należy traktować jak zwolnienie od nakazu. Uciekł ze szpitala przez okno i dotarł na tor dwie godziny przed rozpoczęciem wyścigu. Tracta już tam czekała, ale zmiennik za kółkiem tkwił w stanie śpiączki na szpitalnym łóżku. Gregoire nakłonił więc szefa zawodów do ogłoszenia przez megafon apelu o kogokolwiek z licencją pozwalającą na udział w zawodach. Zgłosił się mechanik, Lucien Lemesle. Obawiał się jednak prowadzić nieznaną i wyposażoną w prototypowy napęd samochód według wyścigowych reguł, jechał zachowawczo, a ścigania się podczas opadów deszczu w ogóle odmówił. Chcąc, nie chcąc, Gregoire jechał przez większą część doby. Linię mety przeciął na siódmym miejscu, półprzytomny, z wysoką gorączką.

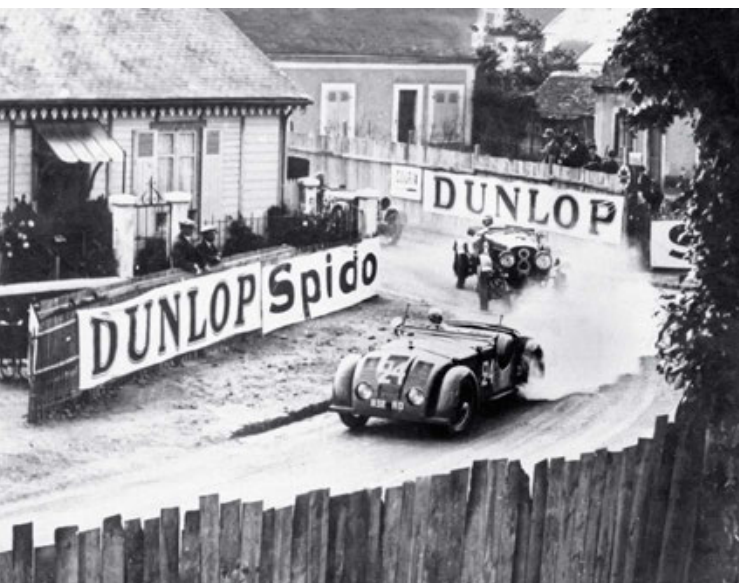
Samochody Tracty nie trafiły w gusta masowego odbiorcy i w 1934 r. produkcja została wstrzymana. Ale branża motoryzacyjna szybko dostrzegła zalety przednionapędowych aut. Dziś to patent rozpowszechniony – głównie z uwagi na względy bezpieczeństwa, bo tego rodzaju auta łatwiej trzymać pod kontrolą. Ale są producenci, jak choćby BMW, którzy konsekwentnie stawiają na tylny napęd. Pokładają tym samym wiarę w umiejętności kierowcy. Niekiedy, niestety, na wyrrost.



Le Mans na torze Circuit de la Sarthe 11 czerwca 2022 r.
Poniżej: Tracta – pierwsze auto z napędem na przednie koła – w wyścigu w 1929 r.

Hamulce tarczowe (1953)

Używanie pedału przeciwnego do gazu może się wydawać czynnością nieliczącą z godnością kierowcy wyścigowego, zwłaszcza na takim torze jak Le Mans, gdzie są długie proste, stworzone do bicia rekordów prędkości. Hamulce to zło konieczne, ale jednocześnie poduszka bezpieczeństwa. Marzeniem każdego uczestnika (i jednym z największych wyzwań dla konstruktorów) jest pokonywać zakręty i łuki, balansując na granicy praw fizyki, czyli w praktyce hamować jak najpóźniej i jak najbardziej efektywnie, w poczuciu względnego komfortu, że ta jazda nie skończy się lada moment, bo coś się urwie, pęknie, przegrzeje albo wręcz zapali. Ze wszystkimi zgubnymi tego konsekwencjami.



Ku rozpaczy konstruktorów i załóg uczestniczących w Le Mans, źle się działo nie raz. Jeśli chodzi o hamulce, na początku lat 50. wydawało się, że szczytem innowacyjności jest mechanizm bębnowy. Istota jego działania sprowadzała się do tego, że obracający się wraz z kołem metalowy bęben był zatrzymywany dzięki zaciskaniu się na nim pokrytych okładziną szczęk. System, nie dość jednak że dużo ważył, to jeszcze w ekstremalnych wyścigowych warunkach często się przegrzewał (a wytworzone pod wpływem wysokiej temperatury gazy utrudniały dociskanie kluczowych elementów; zachodził tzw. *fading*, czyli zanik siły hamowania). Poza tym notorycznym problemem była nierównomierna praca zacisków. W efekcie kierowcy mu nie ufali i na legendarnej prostej Mulsanne (liczącej 6 km długości, przynajmniej zanim w latach 90. ustawiono na niej szykany, bo żyłowane tam do niemożliwości silniki za często odmawiały w końcu posłuszeństwa) obawiali się pójść na całość. A nie tego publika oczekiwała. O sponsorach i fundatorach projektów nie wspominając.

Za zmianę tego stanu rzeczy wzięli się konstruktorzy brytyjscy. W branży motoryzacyjnej pracowało wówczas sporo osób z doświadczeniem w armii. Ktoś w teamie Jaguara przypomniał sobie o tarczach hamulcowych, z powodzeniem stosowanych choćby w niemieckich czołgach Tygrys. Przeszczep na motoryzacyjny grunt poszedł nadspodziewanie gładko. Mechanizm działania zmienił się nieznacznie – wciąż koła zatrzymywały się dzięki sile tarcia klocków. Gejmczendżerem okazało się umieszczenie stalowej tarczy na zewnątrz mechanizmu. Chłodzona powietrzem, pracowała dużo efektywniej.

W 1953 r. wyposażone w hamulce tarczowe auta Jaguar C zajęły pierwsze, drugie, czwarte i dziesiąte miejsce, a zwycięska załoga (Tony Rolt i Duncan Hamilton) ustanowiła przy okazji trzy – kosmiczne, jak na ówczesne czasy – rekordy: średnia prędkość powyżej 100 mil na godzinę, ponad 300 przejechanych okrążeń, pokonana bariera 4 tys. km. Skuteczność nowego systemu zrobiła wrażenie w branży, a do powszechnego użytku w swoich samochodach adresowanych do sprzedaży detalicznej już dwa lata ►



Końcowe kontrole Forda
w Le Mans 17 czerwca 1966 r.

► później jako pierwszy wprowadził to rozwiązanie Citroën. Tarczowe hamulce, tak chwalone za zwiększenie bezpieczeństwa użytkowników pojazdów stały się też, paradoksalnie, powodem największej tragedii w historii Le Mans. W 1955 r. pędzący po prostej startowej Jaguar zahamował tak nagle, że znajdującemu się za nim kierowcy Mercedesa zabrakło czasu na reakcję. Uderzył on w tył angielskiego rywala, wbił się w powietrze, a po lądowaniu rozpadł na kawałki, które uderzyły w trybuny, zabijając na miejscu 84 osoby. Szefowie Mercedesa przeżyli tę tragedię tak bardzo, że wycofali się z motosportu. Aż do 1988 r.

Reflektory halogenowe (1962)

Na sukces w Le Mans składa się kunszt kierowcy (od nadzwyczajnych zdolności psychomotorycznych do braku instynktu samozachowawczego), jak również zmuszany do siódmych potów pancerny silnik, aerodynamiczna konstrukcja oraz masa innych mechanicznych detali. Na nie jednak teraz nie pora, bo oto na scenę wchodzi całe na białą (a raczej na żółto) reflektory halogenowe.

Był rok 1962, w Le Mans trwała passa sukcesów Ferrari, gdy ojciec założyciel firmy – Enzo Anselmo – za punkt honoru stawiał sobie rozstawianie wyścigowych uzurpatorów po kątach. Nawet kosztem wpędzania firmy w długie – o czym zresztą wspomina wcale udana hollywoodzka produkcja „Le Mans '66” znana u nas również jako „Ford vs Ferrari”, bo urażona godność wielkich motoryzacyjnych szych stojących na czele obu koncernów sprowadziła ówczesny wyścig do takiej właśnie rywalizacji. Ale cztery lata wcześniej z toru wiało nudą: wszystkie miejsca na podium przypadły Ferrari. Również za sprawą tego, że wzrok kierowców stajni z Modeny sięgał – za sprawą nowatorskich reflektorów halogenowych – mniej więcej dwa razy dalej niż rywali.

A nocą i nad ranem, kiedy nad torem wiała się mgła, ścigali się właściwie sami ze sobą.

Z pomocą odkryciu przyszła tablica Mendelejewa, a ściślej rzecz biorąc, właściwości jodu i bromu należących do grupy tzw. halogenów. Podczas testów okazało się bowiem, że znajdujący się we wnętrzu żarówki gazowy związek bromu i jodu zapobiega osadzaniu się na ściankach cząsteczek wolframu, z którego zbudowany jest żarnik. Tym samym nie dochodzi do zjawiska czernienia szkła, co oczywiście negatywnie wpływało na efektywność lamp. Wcześniej wolframowy drucik otaczały gazy obojętne, bezradne wobec procesu osadzania. Najwidoczniej wolfram potrzebował towarzystwa innych kolegów pierwiastków, by pokazać, co potrafi.

Reflektory halogenowe wkrótce weszły do powszechnego użytku w motoryzacji. Stosuje się je do dziś, choć są już nieco w cieniu lamp ksenonowych, pozbawionych żarnika. A Ferrari w najbliższej edycji wraca na Le Mans po pół wieku nieobecności i przesunięciu wyścigowych priorytetów na Formułę 1. I jeśli chodzi o motoryzacyjne usprawnienia przygotowane z myślą o francuskim wyścigu, niezmiennie kojarzy się głównie z lampami.

Turbosprężarka (1976)

Spuścizna inżynierów zatrudnionych na potrzeby triumfów w Le Mans w zakresie poprawy bezpieczeństwa motoryzacji jest chwalebna – dzięki tym nowinkom z pewnością udało się ocalić życie wielu tysięcy użytkowników zwykłych samochodów. W rankingach najbardziej przełomowych wynalazków związanych z tym legendarnym wyścigiem wygrywa jednak niekiedy turbosprężarka. Zwłaszcza jeśli rankingi sporządzają ci, którzy w żyłach mają benzynę zamiast krwi.

Pierwsze sprężarki tłoczące do cylindrów silnika dodatkowe powietrze (co pozwalało również na pompowanie dodatkowego

Sekundy i metry

U zarania Le Mans legła koncepcja, by w przeciwieństwie do tradycyjnych wyścigów nie rywalizować o najlepszy czas na ustalonym dystansie, a w ciągu doby pokonać jak najwięcej kilometrów. Szybkość, owszem, wciąż była na wagę złota, ale tylko jeśli szła w parze z niezawodnością. Większa część liczącej ponad 13 km pętli (a początkowo do 17 km) wiedzie publicznymi drogami, gdzie nie jedzie się jak po stole, więc próbe ognia musiały przejść nie tylko silnik, lecz także np. zawieszenie. Ukończenie wyścigu stało się gwarancją motoryzacyjnej jakości. W edycjach przedwojennych wygrywały samochody produkowane seryjnie (m.in. przez Bentleya, Alfę Romeo i Bugatti), jednak przeznaczone dla skromnego grona odbiorców, z uwagi na cenę. Aż do końca lat 60. w Le Mans ścigały się podrasowane wersje modeli, które – określane jako obdarzone sportowym charakterem – widywano niekiedy i na publicznych drogach. Szybko stały się przedmiotami pożądania kolekcjonerów i zabawkami dla bogaczy. Najdroższy Jaguar, jaki został kiedykolwiek sprzedany to model D z 1955 r. (święcił triumfy w Le Mans w latach 1955–57). Anonimowy nabywca zapłacił za niego kilka lat temu 21,7 mln dol. Ale np. Ford GT40 (zwycięski czterokrotnie pod koniec lat 60.) nie przebił się na rynku. Jego uroda była kwestionowana, a okiełznanie ponad umiejętności zwykłych kierowców. Wraz z odkryciem znaczenia, jakie ma dla sukcesów w Le Mans aerodynamika oraz docisk do podłoża gwarantowany przez tylne spojler, płetwy i lotki, konstrukcje

odpłynęły w kierunku futuryzmu. Działające bolidy uczestniczące w Le Mans z członkami swej motoryzacyjnej rodziny przeznaczonymi dla masowego odbiorcy mają wspólną tylko nazwę. Ostatnie pięć edycji to pasmo sukcesów Toyoty. Najbardziej utytułowanym producentem pozostaje jednak Porsche (19 zwycięstw), a kierowcą Tom Kristensen, który wygrywał 9-krotnie w latach 1997–2013, w większości w barwach zespołu Audi. Licytacja na rekordy trwa w konkurencji na najdłuższy dystans. Prowadzi Audi; model R15 pokonał w 2010 r. 5410 km z ogonkiem, co oznacza średnią prędkość ponad 225 km/h! Rekord prędkości osiągnął w 1988 r. Peugeot P88 (407 km/h). Ten wynik

raczej już nie zostanie pobity, gdyż ze względów bezpieczeństwa oraz troski o trwałość silników legendarną prostą Mulsanne wyposażono w dwie szykany. Swego czasu jednym z elementów wyścigu był sprint kierowców do swoich aut. Sygnał do zerwania z tradycją dał Belg Jacky Ickx, który w 1969 r. skierował się do swego Forda wolnym krokiem. Uważał, że na kierowców nakłada się zbyt duża presja walki o każdą sekundę (a więc i o każdy metr). Potwierdzenie swoich obaw dostał kilka chwil później, gdy Brytyjczyk John Woolfe, który z pośpiechu nie zapiął pasów, rozbił swoje Porsche na pierwszym okrążeniu i zginął. **Od 1970 r. startowego sprintu zakazano.**



paliwa, a w efekcie zwiększanie osiągnięć) stworzono już na początku XX w. Przez długi czas były one stosowane przede wszystkim w lotnictwie i ciężarówkach, ale zalety – zmniejszenie rozmiaru silników, przy jednoczesnym wyciśnięciu z nich większej mocy – kusily również producentów aut dla masowego odbiorcy. Turborewolucja sprowadzała się do zintegrowania ze sprężarką turbiny napędzanej przez spaliny. Wygenerowany w ten sposób zastrzyk mocy przydawał się zwłaszcza podczas wyprzedzania.

Wyposażony w turbosprężarkę model Porsche 936 okazał się bezkonkurencyjny w edycji Le Mans 1976 r. (11 okrążeń przewagi nad drugą w klasyfikacji załogą zespołu Grand Touring Cars). Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że niemiecki koncern nie ma w temacie turbosprężarki zasług patentowych, a raczej racjonalizatorskie. Ale osiągnięcia uzyskane przez model 936 zrobiły na konkurentach w branży takie wrażenie, że turbosprężarki uznano za nieodzowne i to nie tylko w modelach o zacięciu sportowym. Mercedes stworzył z myślą przede wszystkim o rynku amerykańskim pierwszy model turbodiesla (300 SD), a koncern BMW (nawet dwa lata przed wygraną Porsche 936 w Le Mans) rozpoczął wręcz seryjną produkcję benzynowego modelu 2002 turbo,

ale szybko ją zarzucił. Kolejne udoskonalenia, które miały służyć m.in. eliminacji efektu uroczu zwanego turbodziurą (gdzie energia wytwarzana przez gazy spalinowe jest za mała do wprawienia w ruch sprężarki, głównie z powodu pracy silnika na zbyt niskich obrotach), to też zasługa Porsche. Inżynierowie ze Stuttgartu najpierw opatentowali dwusprzęgłową skrzynię biegów (redukowała czas między zmianą przełożeń), a później system twinturbo, czyli synchroniczny układ dwóch turbosprężarek.

Turbo stało się motoryzacyjnym synonimem słowa „sexy”. Weszło też do powszechnego użycia jako hiperboliczny przedrostek na każdą okazję – dodatek jednoznacznie kojarzący się z wejściem i robotów kuchennych. W Porsche uznano, że „turbo” zasługuje na nobilitację i zintegrowano to miano z jednym z najlepszych modeli w historii koncernu – 911 Carrera. To znów miało symbolizować prężenie motoryzacyjnych bicepsów. Wyścig o udoskonalanie pracy turbosprężarek w masowej motoryzacji trwa do dziś, głównie pod pretekstem tzw. *downsizingu*, czyli zmniejszania pojemności i rozmiaru silników. Cóż, jakie czasy, taka motywacja.

MARCIN PIĄTEK



Męskie słowa

Człowiek tworzy opowieści o świecie, żeby go oswoić,
dodać sobie siły, wzmocnić tożsamość i pamięć.
Kiedy pojawiły się pierwsze? Kogo w nich brakuje?

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W pierwszej scenie stojący przed szarżującym bykiem mężczyzna unosi ręce, trzymając w jednej węża lub grzechotkę.

W kolejnej – drugi mężczyzna atakowany jest przez dwa samce lampartów. Przedstawiony jest bardzo plastycznie, en face. Widać, że ma okrągłą twarz, duże uszy, wyłupiaste oczy, grube wargi, a na szyi trójkątny naszyjnik lub opaskę. Dłonią obejmuje swojego penisa.

Takie wykute w skale obrazy odkryła prof. Eylem Özdoğan z İstanbul Üniversitesi latem 2021 r. Badala Sayburç, osada sprzed 9 tys. p.n.e. leżącą niedaleko

miasta Şanlıurfa, 35 km od granicy z Syrią. Znajdowały się w ławie znajdującej się pod ścianą okrągłej sali odkrytej pod jednym ze współczesnych domów.

„Fallusy są jedynymi elementami identyfikującymi płęć zwierząt i ludzi, a nacisk położony jest na drapieżne i agresywne aspekty świata zwierząt, jak zęby i rogi, co zaobserwowano na innych stanowiskach z tego regionu i okresu” – pisze w grudniowym „Antiquity” odkrywczyni. Sceny faktycznie mają ikonografię typową dla okolic Şanlıurfa sprzed 11 tys. lat. Rzeźby mężczyzn o podobnych rysach i z wyeksponowanymi penisami znaleziono też w Yeni Mahalle, NevalıÇori czy Karahan Tepe. Płaskorzeźby dzikich zwierząt – na stelach w Göbekli Tepe. Identyczny jest też motyw człowieka, który ma

w przyrodzie pozycję dominującą i potrafi nad nią zapanować.

Z tym że w Sayburç dwie następujące po sobie sceny tworzą rodzaj narracji, która uwieczniona w budowlach służących do zgromadzeń, musiała pełnić ważną funkcję społeczną: utrzymywała zbiorową pamięć i stanowiła spoiwo społeczne, podstawę religii i ideologii.

Z lampartem na plecach

Prof. Özdoğan twierdzi, że jej znalezisko w Sayburç to najstarsze na świecie przedstawienie narracyjne. Powstało, bo w tym właśnie miejscu 11 tys. lat temu nieznaną jeszcze ceramiki łowcy-zbieracze zaczęli budować monumentalne budowle z kamienia i zamieszkiwać w znajdujących się koło nich osadach. W niedłгим Göbekli Tepe niemiecki archeolog Klaus Schmidt odkrył w końcu XX w. pięć kamiennych kręgów z imponującymi 6-metrowymi stelami w kształcie litery „T” bogato dekorowanymi przedstawieniami zwierząt. Z czasem w okolicy stanowisk z różnymi konstrukcjami mieszkalno-kulturowymi i podobną ikonografią znaleziono kilkanaście.

Co to oznacza? Po pierwsze, że ludzie nie zaczęli mieszkać w większych skupiskach i organizować się, by wznosić monumenty dopiero po neolityzacji, czyli udomowieniu zbóż i zwierząt, tylko znacznie wcześniej. Po drugie, że proces przechodzenia z gospodarki łowiecko-zbierackiej na wytwórczą trwał 4 tys. lat. I co najważniejsze, że wcale nie był ograniczony do Lewantu oraz północnej Mezopotamii i tamtejszej kultury natufijskiej (od stanowiska Wadi-an-Natuf), jak wcześniej sądzili badacze. A to zdecydowanie zaburza nasze dotychczasowe widzenie początków neolitu.

Tureccy naukowcy planowali oficjalnie wprowadzić nową jednostkę kulturową dla całego regionu na wielkiej światowej konferencji neolitycznej w Şanlıurfa, która miała się odbyć we wrześniu tego roku. Z powodu lutowego trzęsienia ziemi, wydarzenie zostało jednak przesunięte na 2024 r. Co się odwlecze, to nie uciecze, bo Turcy mają mocne argumenty – przekonuje prof. Arkadiusz Marciniak z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu: *Stanowiska wokół Şanlıurfa są niezwykle spójne pod względem kultury materialnej i mają się nijak do świata kultury natufijskiej. Oznacza to, że między IX a VIII tys. p.n.e. na Bliskim Wschodzie miały miejsce dwa zupełnie inaczej przebiegające procesy, które doprowadziły do udomowienia roślin i zwierząt oraz powstania centrów urbanistycznych.*

Z tym że nawet wtedy, gdy ludzie już udomowili w południowo-wschodniej Anatolii owce, a bardziej na południe, w Mezopotamii, również innych ufnych roślinożerców, nadal otaczała ich groźna natura. Relacje z nią zdominowały świat wyobrażeń żyjących w okolicach Şanlıurfy myśliwych-zbieraczy. Ich właśnie dotyczyły najstarsze narracje.

Kości zabitych zwierząt znajdowane przez archeologów w centrach kulturowych dowodzą, że ludzie polowali głównie na dorodne osobniki męskie, co dodatkowo tłumaczy tamtejszą ikonografię pełną przedstawień mężczyzn i samców dzikich zwierząt, których witalność i siła skoncentrowana jest w penisie. Mężczyźni nie boją się stawać twarzą w twarz z drapieżnikami, noszą lamparty na plecach i zasiadają na tronie w ich obecności, pokazując swoją dominację i brak lęku. Badacze w interpretacji takich przedstawień odwołują się m.in. do psychologicznej teorii projekcji. – *Według antropologa Marca Verhoevena ludzie w obrazie materializowali przemyslenia dotyczące relacji między człowiekiem a przyrodą, przekształcając wiedzę ukrytą w jawną i dostępną* – mówi prof. Marciniak. – *Dawało im to siłę, by zarządzać światem. Być może schematyczność twarzy mężczyzn, które trochę przypominają maski, miała im nadać uniwersalność, bo chodziło o byty ponadnaturalne. Zadziwiająca jest niezwykła trwałość tych wierzeń przez cały neolit, zarówno w Anatolii, jak i w północnej Mezopotamii czy południowym Lewancie.*

Bez miejsca

Paradoksalnie w ikonografii tego okresu nie pojawiają się żadne elementy neolitizacji, pomimo że sam proces już trwał. Nie ma żadnych łagodnych roślinożerców, tylko groźne drapieżne ssaki, ptaki i jadowite węże. Nie ma też kobiet. Ich brak jest o tyle zastanawiający, że w Eurazji między 38 a 12 tys. lat temu powszechne były właśnie figurki pań z szerokimi biodrami i zaznaczonym łonem. Na tej podstawie badacze wysnuwali wnioski, że kobiety cieszyły się wysoką pozycją, że są to figurki bogiń i matek rodów. Dopatrywano się w nich też symboli seksu. Niestety, trudno powiedzieć, czemu służyły, bo nie ma żadnego kontekstu, żadnej narracji, w którą można by je wpisać.

Z drugiej strony nauka coraz wyraźniej podkreśla rolę kobiet w początkach rolnictwa. Nie tylko symboliczną, jako bogiń płodności czy cyklu narodzin, życia i śmierci, ale i tę rzeczywistą – eksperymentatorek w udomawianiu roślin, a później rolniczek. Faktem jednak jest,

że południowo-wschodnia Anatolia to był region raczej pasterski niż rolniczy, w końcu to tam łowcy-zbieracze udomowili dziką owcę. Prof. Necmi Karul, archeolog z İstanbul Üniversitesi, zauważył też, że w okolicach osady Karahan Tepe ludzie już 11 tys. lat temu budowali zagrody, by izolować zwierzęta i tym samym wpływać na ich rozród. Być może brak kobiecej symboliki w okolicach Şanlıurfy należy wiązać właśnie z tym, bo pasterstwo było zawsze bardziej „męskim” rodzajem gospodarki niż uprawa roli. W końcu pasterzami byli Praindoeuropejczycy, którym przypisuje się narzucenie patriarchy w Europie.

W Anatolii figurki kobiet zaczęły wypierać przedstawienia mężczyzn dopiero 9 tys. lat temu w bardziej wysuniętym na północ Çatalhöyük. – *Z tym że jednocześnie do końca istnienia tej wybitnie rolniczej osady protomiejskiej ceremonialnie polowano na samce dzikich turów, co należy łączyć ze starymi wierzeniami myśliwsko-łowieckimi, trwającymi pomimo zmiany gospodarki* – tłumaczy prof. Marciniak. – *Najwyraźniej pojawiające się elementy kobiece, niezbędne w wizji świata rolników, zostały zintegrowane ze starym uniwersum wyobrażeń.*

Z muzyką

We wcześniejszej sztuce paleolitycznej też można dopatrzeć się opowieści – ale pełniących nieco inną funkcję. Na namalowanych tysiące lat temu przedstawieniach, które czasami tworzyły imponujące murały, zwykle brakuje człowieka, są za to stada dzikich zwierząt. Można więc widzieć w nich próbę oddania rzeczywistości otaczającej paleolitycznych myśliwych. Jednak licząca ponad 40 tys. lat scena polowania ludzi na dzikie świnię i bawoły wodne, znaleziona w 2019 r. w jaskini Leang Bulu Sipong 4 na wyspie Sulawesi (Indonezja), świadczy o tym, że sztuka paleolityczna też miała charakter narracyjny.

Społeczności zbieracko-łowieckie mogły mieć bardzo rozbudowane opowieści, wyjaśniające ich miejsce w świecie. Aby je przekazywać kolejnym pokoleniom, pomagano sobie różnymi mnemotechnikami. Szamani, kapłani czy bardowie sięgali po rym, rytm i akompaniament muzyczny, bo tekst piosenki znacznie łatwiej się zapamiętuje. Dzięki temu, chociaż z czasem sam przekaz zanikował, dochodziły nowe epizody i wątki, sam przekaz pozostawał niezmienny. Australijscy Aborygeni utrwalali wiedzę także za pomocą specjalnych miejsc, takich jak masyw Uluru. Strażnicy pamięci kojarzą każdą szczelinę i wypukłość tej skały

ze szczegółami opowieści o przodkach sprzed tysięcy lat. Pomocą była też sztuka, która pełniła funkcje edukacyjne, nadawała kształt symbolom tradycji ustnej.

– *Zadaniem wszelkich narracji była budowa i wzmacnianie społeczności lub grupy* – podkreśla prof. Marciniak. – *Dlatego my w wyobrażeniach o świecie ponadnaturalnym wczesnego neolitu skupiamy się na szukaniu związanych z nimi kontekstów społecznych, a nie rekonstrukcji systemu wierzeń czy panteonu bóstw, bo wszelkie łączenia znanych już z piśmiennych cywilizacji bóstw i bogiń z tymi znanymi tylko z ikonografii bytami to czyste spekulacje.*

Bez równości

Archeolożka Lynn Kelly w książce „The Memory Code” („Kod pamięci”) pisze, że australijscy Aborygeni mieli tajemne miejsca inicjacji, w których przekazywali wiedzę. Sugeruje, że podobną funkcję mogły mieć monumentalne budowle neolityczne takie jak Stonehenge. Jeśli ma rację, to aż kusi, by tak samo zinterpretować 7 tys. lat starsze od megalitu w Anglii kamienne kręgi w Göbekli Tepe czy dziwną okrągłą budowlę Sayburç.

Prof. Necmi Karul sądzi, że w badanym przez niego kompleksie pomieszczeń w Karahan Tepe z 11 filarami w kształcie fallusów, ludzkimi głowami i wizerunkami węży oraz lisów odbywały się obrzędy inicjacyjne. Każdy element dekoracji miał mistyczo-magiczne znaczenie, a być może stanowił element jakiejś koniecznej do zapamiętania historii. Budynki i kręgi, w których odbywały się ceremonie, były z czasem – także ceremonialnie – zasypywane. Być może to samo dotyczyło liczącego 11 m średnicy budynku w Sayburç. Pomieszczenie zostało odkopane tylko częściowo (reszta znajduje się pod nadal zamieszkanym domem), ale prof. Özdoğan nie wyklucza, że ukryta jeszcze część ławy być może dekorowana jest kolejnymi scenami. Największym zaskoczeniem byłby wizerunek kobiety. Z tym że raczej nie można na to liczyć, bo 11 tys. lat temu w monumentalnych budowlach w okolicach Şanlıurfy ikonografia odzwierciedlała uniwersum, w którego centrum był mężczyzna.

Czy nieobecność kobiet podważa przypuszczenie o równości płci w neolicie? Być może kobiety też miały jakieś swoje opowieści, ale nie nadały im aż tak trwałej formy. A warunki dyktuje ten, kto ma władzę nad obrazem i słowem. Jej symbolem pozostaje więc dzierżący w dłoni penisa, odważnie patrzący przed siebie mężczyzna, jak chociażby ten z muralu Sayburç. ■

MARTA ALICJA TRZECIAK

Lecą wirusy

Rośnie liczba niepokojących doniesień na temat pozornie dobrze znanego patogenu ptasiej grypy. Co musiałoby się wydarzyć, by spowodował pandemię?

Pierwsze przypadki choroby wywołanej przez typ A wirusa grypy odnotowano pod koniec lat 90. ubiegłego wieku. Patogen w kilku wariantach zaczął wówczas zarażać wiele populacji ptaków – hodowlanych i dzikich – na całym świecie. W 1997 r. pierwszy raz zdiagnozowano ptasią grypę u człowieka. Był on zarażony szczepem określanym jako A (H5N1).

Od tego czasu liczba infekcji wśród ludzi utrzymuje się na niskim poziomie: na świecie zachorowało mniej niż tysiąc osób. Ale ponad połowa zakażonych zmarła, dlatego Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) uznaje A (H5N1) za patogen o wysokim wskaźniku śmiertelności, ale bardzo niskiej zakaźności. Dopóki ma taki status, nie stanowi globalnego zagrożenia.

Niestety, w materiałach publikowanych przez WHO można od niedawna zetknąć się z nieużywanym wcześniej oznaczeniem: 2.3.4.4b. Określa ono nowy szczep wirusa, który budzi niepokój ekspertów. Od 2020 r. powoduje on zgony ptaków o bezprecedensowej skali. W Afryce i Azji, a później w Europie zabił łącznie ponad 33 mln ptaków hodowlanych. Straty wśród dzikich populacji są trudne do oszacowania.

Wiadomo natomiast, że infekcje szybko rozprzestrzeniają się wzdłuż tras wędrówek sezonowych. Pod koniec 2021 r. patogen dotarł do Ameryki Północnej, a stamtąd jesienią 2022 r. – do Ameryki Południowej. W USA trwa największa epizootia (zwierzęca epidemia) w historii: padło lub zostało uśmierconych prawie 59 mln ptaków.

Wszystkie dotychczasowe odmiany wirusów ptasiej grypy (poza H5N1 to m.in. H5N6 oraz H7N9) bardzo rzadko infekowały ssaki, w tym ludzi. Zdarzały się jedynie zachorowania osób zatrudnionych w przemyśle drobiarskim lub hodowców. Zarażenie następowało jednak zwykle bezpośrednio od ptaka. Owszem, obserwowano przypadki transmisji wirusów H5N1 z jednej osoby na drugą, ale wynikały one z przedłużonego bliskiego kontaktu domowników lub dotyczyły pracowników medycznych udzielających pomocy chorującym pacjentom. Nie notowano jednak przy tym trwałego podtrzymania infekcji w większej populacji ludzi.

Schorzenie nie przenosiło się np. drogą kropelkową, lecz przez kontakt bezpośredni. Transmisja zachodziła przez przeniesienie wirusów do ustroju, np. przez

dotknięcie wnętrza nosa czy jamy ustnej palcem, na którym są patogeny. Świadczy to o tym, że wirus nadal nie ma mutacji umożliwiających sprawny przeskok z jednego gospodarza ludzkiego na drugiego. Czy istnieją przesłanki, że zyskał taką zdolność? Byłaby to zła wiadomość, bo infekcję przenoszącą się z człowieka na człowieka bardzo trudno jest kontrolować.

Odmiana 2.3.4.4b, poza skalą zakażeń, wykazuje kilka nietypowych „zachowań”. Po pierwsze – jak podaje amerykański Animal and Plant Health Inspection Service – infekuje znacznie więcej gatunków ptaków niż dotychczas i doprowadza do zgonów całych stad. Po drugie, wykazuje niespotykane dotąd powinowactwo do komórek ssących, czyli wnika do nich skuteczniej niż wszystkie dotychczasowe „ptasie” patogeny.

Wcześniej notowano sporadyczne zakażenia wirusem H5N1 u lisów, kotów, psów, tygrysów, panter, ostatnio też niedźwiedzi i skunksów, ale w żadnym z tych przypadków nie były to zachorowania masowe. W 2022 r. zaczęto jednak obserwować bardzo liczne zgony wśród morskich ssaków, zwłaszcza fok i uchatek. Jak napisano

w aktualnym „Emerging Infectious Diseases”, czasopiśmie wydawanym przez Centers for Disease Control and Prevention, odpowiedzialny za te przypadki jest właśnie 2.3.4.4b.

Autorzy publikacji podają, że uzyskane przez nich wyniki na razie nie wskazują, by główną drogą przenoszenia wirusa była u fokowatych transmisja z jednego osobnika na drugiego. Wydaje się raczej, że w populacjach tych dochodziło do infekcji środowiskowej (np. z odchodów ptaków morskich). Zakażenie przenoszące się ze ssaka na ssaka zostało jednak potwierdzone u innych zwierząt. Pod koniec 2022 r. wyizolowano wirusa H5N1 od hiszpańskich norek hodowlanych. Jak podano w artykule opublikowanym w lutym 2023 r. w „JAMA Medical News”, w tym wypadku wirus najpewniej przenosił się skutecznie z jednej norki na drugą.

Jeśli chodzi o transmisję międzyludzką, sprawa jest złożona. Każdy wirus wykazuje tzw. specyficzny tropizm tkankowy. To oznacza, że wyspecjalizował się nie tylko, by infekować określony gatunek czy takson, ale też – konkretną tkankę lub układ. Grypa ptasia infekuje w organizmie docelowym przede wszystkim przewód pokarmowy, a grypa ludzka – układ oddechowy.

Transmisja wśród ptaków może zachodzić na różne sposoby. W największym stopniu – poprzez odchody, ale te mogą trafiać też do środowiska, a stąd – na inne osobniki. Wirusy są również obecne w początkowych odcinkach układu pokarmowego, więc mogą być nakładane na pióra, gdy ptak je pielęgnuje dziobem, a potem – wraz z piórami – trafiać na podatne osobniki. Jeden może przenieść chorobę na drugiego, nawet potrząsając głową i rozsiewając w ten sposób patogeny wraz z wydzieliną błon śluzowych wnętrza dzioba. Jednak niezależnie od tego, jaką drogą wirus wniknie do ustroju, jego celem zawsze są specyficzne dla niego receptory (patrz ramka).

Aby stać się „ludzkim” patogenem, czyli skutecznie przenosić się z człowieka na człowieka (np. drogą kropelkową), wirus musiałby dokonać mutacji w obszarze wiązania z receptorem gospodarza. Wprawdzie trudno przewidzieć, w jakim tempie i kierunku będą zmierzały modyfikacje w materiale genetycznym patogenu, ale wiadomo, że są możliwe. Już w 2010 r. na łamach „Journal of Virology” dowiedziono, że zmiana receptora wymagałaby tylko dwóch, a może nawet jednej mutacji. To niedużo dla wirusa. A w lutym tego roku w „European Surveillance” podano, że szczep, który zakażał norki, wykazywał



Dlaczego grypa ptasia

Powodem, dla którego pierwotnym gospodarzem wirusa grypy typu A są ptaki, jest specyficzna, odmienna od ssacej, budowa receptorów, czyli cząsteczek znajdujących się na powierzchni komórek w drogach oddechowych. Patogen używa ich do rozpoznawania i dokonywania do swojego celu. W przypadku ptasiej grypy receptorem jest tzw. kwas sialowy. Związek ten znajduje się w błonie komórkowej wielu kręgowców, ale może występować w różnych podtypach. U ptaków dominuje kwas z wiązaniem typu alfa2, 3-, natomiast u ssaków: typu alfa2, 6-. To właśnie ta pierwsza odmiana jest preferowana przez wirusa ptasiej grypy.

pewne nietypowe cechy budowy cząsteczki wiążącej receptor, choć jeszcze nie takie, które predysponowałyby go do skutecznej i masowej infekcji ludzi.

Infekcja u norek przebiega odmiennie niż u człowieka. Zwierzęta te mają nieco inaczej zbudowane nabłonki, dlatego choroba może u nich oblać zarówno górne, jak i dolne drogi oddechowe. W pierwszym przypadku jej przebieg jest łagodniejszy, ale zakaźność znacznie większa z powodu kichania i kaszlu. W drugim jest bardziej niebezpieczna dla gospodarza, bo grozi zapaleniem płuc, ale przenosi się z trudem. A właśnie płuca wirus atakuje u ludzi. I doprowadza do śmierci u około połowy zakażonych osób (w przypadku dzieci poniżej 15 roku życia to nawet 90 proc.). Gdyby te cechy utrzymały się przy jednoczesnej wysokiej zakaźności, czekałaby nas pandemia znacznie gorsza od tej koronawirusowej.

Skoro wiadomo, że nowy wirus H5N1 jest taki groźny, może należałoby już teraz opracować szczepienia, które uchroniłyby ludzi przed infekcją? Niestety – jak wyjaśniają Sara Sawyer, Emma Worden-Sapper i Sharon Wu z University of Colorado Boulder w czasopiśmie „The Conversation” – nie sposób

przygotować odpowiednich preparatów z wyprzedzeniem. Nawet te przeciw ludzkiej grypie sezonowej muszą być wytwarzane co roku od nowa, ponieważ genetyka patogenów zmienia się co kilka miesięcy. Aby zaprojektować preparat profilaktyczny, który będzie wykazywał wysoką skuteczność w walce z wirusem ptasiej grypy, trzeba znać jego cechy charakterystyczne. A te nie są znane do chwili, gdy „przekwalifikuje się” on na człowieka.

Nie znaczy to, że jesteśmy całkiem bezbronni wobec ptasiej grypy. Dysponujemy swego rodzaju prototypami szczepień, które – jeśli zajdzie taka potrzeba – powinny umożliwić relatywnie szybką produkcję wyspecjalizowanych preparatów. Na łamach „npj Vaccines” – czasopisma z grupy „Nature” – opisano przykładowy preparat, który pozyskano ze zmodyfikowanego wirusa grypy infekującej nietoperze, który skutecznie chroni przed zakażeniem wirusem H5N1.

Ryzyko wybuchu pandemii ptasiej grypy można jednak minimalizować

na co najmniej parę sposobów. Po pierwsze, możliwie najskuteczniej ograniczając infekcje wśród ptaków. Dla ptaków hodowlanych oznacza to niestety eliminację całych stad, które są zagrożone zakażeniem. Z każdą transmisją, z każdym kolejnym gospodarzem szansa na pojawienie się nowych mutacji wzrasta. Po drugie, ponieważ to samo dotyczy sytuacji, w której wirus przekracza barierę gatunkową, należy zapobiegać takim przeskokom (osoby, które pracują przy ptakach, powinny nosić odzież ochronną itd.). Po trzecie, trzeba skrupulatnie śledzić aktualną sytuację epidemiczną u ludzi – drogi zakażeń oraz częstość transmisji z człowieka na człowieka, a także rodzaje mutacji, do jakich doszło w szczepach infekujących ludzi.

Zdaniem dr. Grega Martina, dyrektora amerykańskiego Health Protection Surveillance Centre, wygląda na to, że trzecie zalecenie jest realizowane aktywnie przez większość krajów. Światowa Organizacja Zdrowia co tydzień publikuje w otwartym dostępie raport na temat aktualnej liczby zakażeń oraz ich okoliczności. Dane dotyczą zarówno sytuacji globalnej, jak i części świata, które są najbardziej zagrożone ptasią grypą (obecnie region zachodniego Pacyfiku). Czy te działania wystarczą, by ustrzec się przed kolejną pandemią? To zależy. Nie tylko od procedur realizowanych przez organizacje zajmujące się zdrowiem publicznym, ale – jeśli wirus pokona barierę gatunkową – również od tego, jak wiele każdy z nas nauczył się podczas poprzedniej pandemii. ■

Bagno w biurze melioracji

Bohaterami tej afery II RP byli pilot topograf oraz lubiący podróże były minister II RP. W tle rozciągał się bezkres poleskich mokradeł.



Regulacja rzeki Turii w Kowlu.

SŁAWOMIR ŁOTYSZ

Zaczął się zwyczajnie. W październiku 1929 r. wywiadowcy Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, słynnej przedwojennej „dwójki”, obserwowali sowieckiego posła Dmitrija Bogomolowa podczas jego pobytu w Poznaniu. Pewnego wieczoru zauważyli, jak z pokoju hotelowego zajmowanego przez dyplomatę wychodzi mężczyzna, którego zidentyfikowano jako byłego pilota wojskowego, majora w stanie spoczynku Jana Rödera. Gdy okazało się, że był on w tym czasie zatrudniony przez Biuro Projektu Melioracji Polesia, obserwacja objęła także tę instytucję. Raporty, które napływały do Samodzielnego Referatu Informacyjnego Dowództwa Okręgu nr IX w Brześciu nad Bugiem, sugerowały, że Biuro mogło zostać zinfiltrowane przez Sowietów.

Wielkie plany

Strategiczne znaczenie prac prowadzonych przez Biuro Projektu Melioracji Polesia nie budziło wątpliwości. Zostało powołane na początku 1928 r. z zadaniem przygotowania zamiany 1,5 mln ha poleskich bagien w żyzne pola i łąki. Na wykonanie pomiarów, badania wstępne i sporządzenie projektu Biuro miało cztery lata i budżet 6 mln zł – sama inwestycja mogła potrwać 30 lat i pochłonąć nawet miliard złotych.

Dom i pracę na odwodnionych terenach miało znaleźć milion osób, głównie etnicznych Polaków z przeludnionych ziem zachodniej i centralnej Polski. Zakładano, że pod ich wpływem zamieszkujący te tereny Poleszycy ulegną polonizacji, a powstały w ten sposób klin, wznając się pomiędzy Białorusinów i Ukraińców, wzmocni i utrwali polską państwowość na ziemiach wschodnich. Polesie miało się stać „drugą po Gdyni pasją nowej Polski”, krajem bogatym i ludnym – „drugą Holandią”.

Biuro podlegało Ministerstwu Robót Publicznych i było oczkiem w głowie jego szefa Jędrzeja Moraczewskiego. Chcąc zapewnić sobie kontrolę nad tą prestiżową inwestycją, Moraczewski powierzył jej kierownictwo zaufanemu człowiekowi Józefowi Próchnikowi. Znał go z czasów, gdy sam był premierem, a Próchnik – jego ministrem robót publicznych.

Afera

Przypuszczalna sowiecka infiltracja Biura mogła szkodzić długofalowym polskim interesom na wschodzie i niosła zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Chcąc przyspieszyć prace projektowe, zrezygnowano z tradycyjnej metody wykonywania pomiarów w terenie na rzecz fotogrametrii opartej na zdjęciach lotniczych. Do tego zadania został zatrudniony Röder, topograf i pilot w jednym.

Nic zatem dziwnego, że kontrwywiad zaczął obserwować człowieka znajdującego połozenie dosłownie wszystkich instalacji



Od lewej: budynek Biura Projektu Melioracji Polesia. Kanał odwadniający koło wsi Horodyszczce.

wojskowych wzdłuż granicy ze Związkiem Sowieckim. Budził podejrzenia. Trudno go było uznać za Polaka (urodził się w Wenecji jako syn Niemca i Włoszki), prowadził wystawny tryb życia – często podróżował za granicę, miał duże mieszkanie w Poznaniu oraz willę we Włoszech. Co prawda za udział w wojnie rosyjsko-polskiej jako jeden z pierwszych lotników został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, ale jak można było ufać komuś, kto podczas zamachu majowego odmówił sztabowi Piłsudskiego powielenia planów Warszawy?

Wątpliwości „dwójki” budził także stan zabezpieczenia fotosów w siedzibie Biura. Z doniesień wywiadowczych wynikało, że nie przechowywano ich w szafie pancerniej, ale w zwykłych szufladach. Mało tego, pracownicy niejednokrotnie zabierali odbitki do domu, gdy przyszło im kończyć prace prowadzone na akord. Zdarzało się, że obdarowywano nimi wycieczki odwiedzające Biuro, również zagraniczne. Zwiadowcy zwracali także uwagę, że wśród pracowników mających dostęp do tych materiałów były osoby niezbyt godne zaufania. Chodziło przede wszystkim o rosyjskie lub żydowskie pochodzenie niektórych laborantów. Nie ufano osobom zbyt młodym, choć akurat w przypadku 18-letniego Polaka wskazywano dodatkowo na „nieszczęśliwą wartość moralną” jego ojca.

Bliższe przyjrzenie się stosunkom panującym w instytucji o strategicznym znaczeniu dla państwa jeszcze bardziej utwierdziło wywiadowców w przekonaniu, że są na tropie poważnej afery. Okazało się, że zatrudnienie w niej Rosjan, Żydów, a także Ukraińców nie było kwestią niedopatrzania, ale wynikało z polityki Próchnika, „z zapatrywań wyzwolénca, bardzo tolerancyjnego w stosunku do mniejszości narodowych”. Ich przedstawiciele stanowili blisko połowę personelu Biura. Dotyczyło to przede wszystkim inżynierów kierujących zespołami pomiarowymi. Większość z nich była absolwentami Ukraińskiej Akademii Gospodarczej w Podebradach koło Pragi. Wywiadowcy najgorzej wyrażali się o Michale Horaczuku, który utrzymywał kontakt z emigracją ukraińską w Pradze i był za pan brat z robotnikami zatrudnianymi przy pomiarach, głównie Poleszuckami.

Wojewoda donosi

Sytuacją w Biurze interesował się też wojewoda poleski Wacław Kostek-Biernacki. Słynął z podejrzliwości i bezkompromisowego tropienia wszelkich nadużyć. Miał zwyczaj prowadzenia niezapowiedzianych inspekcji, a do kontrolowanych instytucji zakradał się niekiedy w przebraniu. Do legendy przeszła historia, gdy w stroju poleskiego chłopca udał się na posterunek policji. Nie zdjął na powitanie czapki, czym sprowokował komendanta do brutalnej napaści na siebie. Aby się ratować, musiał zdradzić

swoją tożsamość. Wojewoda udzielił komendantowi nagany i pouczył o „prawach wolnego obywatela”, ale jednocześnie pochwalił za „sprężystość”.

Czy Kostek-Biernacki zakradał się również do Biura, nie wiadomo. Początkowo zwlekał z poinformowaniem władz centralnych o domniemanych nieprawidłowościach. Zaczął działać wiosną 1933 r., gdy sytuacją w Biurze zainteresował się resort komunikacji (do którego kompetencji je przesunięto po rozwiązaniu Ministerstwa Robót Publicznych). W listach, które rozesłał chyba do wszystkich instytucji kontrolnych w kraju, wojewoda donosił, że Próchnik to „zdecydowany komunista” i „bierny lub czynny szkodnik”. Potwierdzał doniesienia kontrwywiadu na temat słabego zabezpieczenia fotosów oraz informował o przypadkach korupcji i niegospodarności, a także o niskiej jakości prowadzonych prac pomiarowych i badawczych. Niepokojąco brzmiały też doniesienia o włamaniu do laboratorium i o kradzieży pieniędzy z kasy Biura. Ani jednego, ani drugiego nie zgłoszono organom ścigania.

Prosząc o interwencję, Kostek-Biernacki przestrzegał jednak ewentualnych kontrolerów, że dyrektor Biura cieszy się silnym poparciem w stolicy. Mimo wcześniejszej dymisji Moraczewskiego, Próchnik nadal miał w rządzie wpływowych przyjaciół, a przecież – jak na podstawie własnych wieloletnich obserwacji stwierdzał wojewoda – wszystkim wiadomo, że „najgroźniejszą instytucją dla interesów publicznych jest szwagier”.

Kontrola

Kilka dni później w asyście policji do Biura wkroczył prokurator Sądu Okręgowego w Brześciu nad Bugiem. Po kolejnych dwóch dniach w Biurze pojawiła się komisja, w której skład wchodził przedstawiciel Ministerstwa Komunikacji oraz wojskowego kontrwywiadu. Komisja dołączyła do przesłuchań, które na miejscu prowadził Kazimierz Kwiatkowski, sędzia śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia Sądu Apelacyjnego w Wilnie.

Zgodnie z przewidywaniami Kostek-Biernackiego, z powodu nacisków z Warszawy i niechęci pracowników do zeznawania przeciwko swojemu byłemu już dyrektorowi (Próchnika odwołano, ale zastąpił go jego bliski znajomy z ministerstwa), przesłuchania nie przyniosły rezultatów. Dopiero po kilku miesiącach, po zaangażowaniu się w przesłuchania śledczych Najwyższej Izby Kontroli, z analizy dokumentów oraz zeznań zaczął wyłaniać się nieciekawo obraz bardzo źle zarządzanej instytucji. Kostek-Biernacki mógł odczuwać gorzką satysfakcję.

Okazało się na przykład, że Próchnik miał zwyczaj rozliczać swoje prywatne podróże jako służbowe – nieprawnie pobrał z kasy Biura przeszło 6 tys. zł. Znacznie więcej, bo aż 650 tys. zł, kosztowało skarb państwa wzniesienie budynku na potrzeby ►

► instytucji, którą powołano na określony, dość krótki czas (wobec opóźnień w pracach pomiarowych i badawczych okres działalności biura wydłużono do sześciu lat). Śledczy uważali, że należało raczej wynająć budynek, co kosztowałoby ułamek tej kwoty. Za przejaw niegospodarności uznano również zakup dużej części sprzętu, zamawianego na ogół z pominięciem procedur przetargowych.

Podczas przesłuchań wypłynęła również sprawa złej organizacji prac badawczych. Wicedyrektor Roman Gryglaszewski winą za to obciążył Próchnika, który choć „chciał się stać naukowcem”, to nie mógł jednak „wyjść poza dyletantyzm”. Badania geologiczne, glebowe i klimatyczne zlecano zewnętrznym specjalistom, na ogół profesorom z różnych ośrodków akademickich w kraju. Zakres ich kompetencji tematycznych i terytorialnych nie zostały wyraźnie określone od początku, toteż wciąż dochodziło między nimi do sporów. Dyrektor Biura nie bardzo się tym interesował, zadanie godzenia obrażonych profesorów spadało na barki jego zastępcy.

Nie lepiej było w referacie pomiarowym. Według zeznań Gryglaszewskiego Próchnik regularnie lekceważył potrzebę dostosowania założeń projektowych do wyników badań terenowych. Zdarzało się, że polecał rozpoczęcie kreślenia kanałów, zanim zakończono pomiary geodezyjne. W rezultacie niektóre z projektów wykonanych w ciągu pierwszych dwóch lat działalności Biura trzeba było poprawiać. Choć może to brzmieć jak żart ze strony Gryglaszewskiego, dyrektor Biura niejednokrotnie stwierdzał, że to inżynierowie prowadzący badania hydrograficzne powinni dostosować swoje wyniki do gotowych projektów kanałów i regulacji rzek.

W toku śledztwa nie udało się natomiast zgromadzić dowodów potwierdzających celową współpracę pracowników Biura z obcym wywiadem. Jedyne trop prowadził do woźnego Michała K., który został zwolniony za wspomnianą kradzież pieniędzy; tę, której nie zgłoszono policji. Po zwolnieniu woźny usiłował zbiec za wschodnią granicę, został jednak pojmany. Z aresztu wyszedł dzięki poświadczeniu dwóch pracowników Biura, że zwolniono go w ramach redukcji. Ostatecznie uciekł za granicę.

Sąd

Do pierwszej rozprawy w sprawie nadużyć w Biurze doszło przed Sądem Apelacyjnym w Wilnie pod koniec listopada 1935 r. Próchnik i Gryglaszewski zostali oskarżeni o dopuszczenie do ujawnienia osobom postronnym zdjęć lotniczych stanowiących tajemnicę państwową, za co groziła kara więzienia do lat pięciu. Akt oskarżenia objął również Bronisława Piątkiewicza z Ministerstwa Robót Publicznych, który przekazał kilkadziesiąt odbitek fotograficznych obywatelowi Niemiec. Dla prokuratora nie miało znaczenia, że był to Otton Gruber, profesor fotogrametrii z uniwersytetu w Stuttgarcie, któremu przekazano zdjęcia z prośbą o kontrolę poprawności działania sprzętu zakupionego w firmie Zeiss, w której był on konsultantem. Sąd nie uznał jednak winy oskarżonych, stwierdzając, że nie byli świadomi, że ich działalność stanowi ujawnienie tajemnicy państwowej.

Wiosną następnego roku ruszył proces w sprawie ujawnionych w Biurze nadużyć finansowych. Próchnik usłyszał ponadto zarzut niedbalstwa służbowego polegającego na niedostatecznym nadzorze nad księgowością podległego mu urzędu i niezawiadomieniu organów ścigania o przywłaszczeniu



Osuszanie Polesia, karykatura Karola Ferstera.

pieniędzy przez podwładnego. Po trwającym dziewięć dni procesie sąd uwolnił Próchnika od zarzutu wyłudzenia, dając wiare wyjaśnieniem, że jako dyrektor „twórczej instytucji mając do wykonania niezwykle trudne zadanie”, musiał dużo podróżować, a „w powodzi rachunków” po prostu się pogubił. Ostatecznie został skazany na pół roku więzienia za nieświadome działanie na szkodę interesu publicznego, jednak na mocy amnestii został zwolniony z odbywania kary.

Po kilku apelacjach, a to prokuratury, a to obrońców Próchnika, w kwietniu 1939 r. został on ostatecznie niewinny od wszystkich zarzucanych mu czynów. Prasa na bieżąco relacjonowała przebieg procesu. Co charakterystyczne, choć sprawa dotyczyła działalności dyrektora Biura, większość tytułów odwoływała się do pozycji ministerialnej, którą oskarżony piastował kilkanaście lat wcześniej. W doniesieniach prasowych dominował ton satysfakcji z ukroczenia samowoli prominentów, a charakter kierowanej przez Próchnika instytucji inspirował dziennikarzy do humorystycznych porównań: jedną z relacji z procesu „Kurier Czerwony” zatytułował „Bagno w biurze melioracji”.

Po wojnie Próchnik utrzymywał, że jego odwołanie z funkcji dyrektora Biura oraz procesy miały podłoże polityczne. Jego lewicowe poglądy, przyjazny stosunek do Związku Sowieckiego i jakoby bezkompromisowe dążenie do „racjonalnego” zagospodarowania Polesia miały być nie w smak niektórym kręgom. O zarzutach za nieprawidłowo rozliczone podróże służbowe jego oficjalny biogram nie wspomina.

Koniec marzeń o Holandii

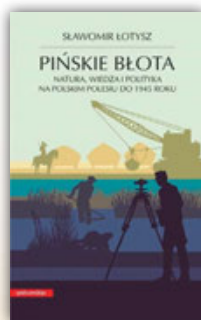
Skandal zamknął publiczną debatę, jaka nad kwestią osuszenia poleskich bagien toczyła się w Polsce od początku lat 20. Nieudolność Próchnika nie była przyczyną tego, że do wybuchu drugiej wojny światowej Polacy nie zmeliorowali Polesia. Przeciwni tym planom byli przede wszystkim wojskowi, którzy uważali poleskie błota za skuteczną ochronę przed atakiem ze wschodu. Poza tym w budżecie i tak brakowało pieniędzy, a do ich szukania zniechęciło to, że pojemność kolonizacyjna Polesia nie była aż tak wielka, jak się początkowo wydawało.

Afera obnażyła niedowład państwa, które mimo wielkich obietnic nie potrafiło udzielić rzeczowej odpowiedzi na pytanie o przyszłość Polesia. Nie bez racji zatem, obok zarzutu niegospodarności, komisja śledcza obarczyła Próchnika symboliczną odpowiedzialnością za „zdepopularyzowanie” idei melioracji Polesia. Przeciagający się spektakl sądowy pokazywał, że towarzyskie układy pozwalają uniknąć odpowiedzialności za czyny.

Z „najświetniejszego obrazu Polski dymiącej tysiącami kominów fabrycznych”, gdzie osuszone pińskie błota „płodzą po 20 cetnarów pszenicy z morga”, niewiele pozostało. Stan polskich marzeń o „drugiej Holandii” na ziemiach wschodnich najtrafniej zilustrował popularny wówczas karykaturzysta Karol Ferster: grupa mężczyzn osusza Polesie w obskurnym pińskim barze, opróżniając jedną butelkę za drugą.

A Röder? Przed śledczymi „dwójki” zeznał, że nigdy nie spotkał się z nikim z sowieckiego poselstwa.

SŁAWOMIR ŁOTYSZ



Autor, dr hab. z Instytutu Historii Nauki PAN, za książkę „Pińskie błota. Nauka, wiedza i polityka na polskim Polesiu do 1945 roku” został nominowany w tym roku do Nagrody Historycznej POLITYKI.

Mleczaki króla Karola

Relikwiarz w formie popiersia Karola Wielkiego (zawiera część jego czaszki), zamówiony przez cesarza Karola IV, 1349 r.



Ludzie średniowiecza mają w sobie element tajemnicy, ponieważ znajdują się w pół drogi między tym, co dla nas znajome, a tym, co niedostępne – uważa Dan Jones, autor książki „Świt królestw. Jasna historia wieków ciemnych”.

TOMASZ TARGAŃSKI: – Średniowiecze to era wybitnych władców i władczyń, ale czy istnieje sposób, by dziś poczuć z nimi jakkolwiek więź? Ich system wartości, wyobrażenia o świecie były przecież diametralnie różne od naszych.

DAN JONES: – W takiej sytuacji chyba najlepiej pomyśleć o mleczakach Karola Wielkiego.

Proszę?

W 754 r., gdy Karol miał około siedmiu lat, jego ojciec król Franków Pepin Krótki, wziął go na uroczystość przeniesienia ciała świętego Germana, biskupa Paryża, do klasztoru Saint-Germain-des-Prés. Nie wiadomo, jak do tego doszło, ale podczas ceremonii Karol wpadł do grobu przygotowanego na przyjęcie szczątków świętego. W efekcie stracił przedni mleczny ząb. Wiemy o tym, bo Karol zapamiętał swój wypadek i tak trafił on do źródła. Wyobrażam sobie, że dziś w dobie smartfonów filmik z takim wypadkiem następcy tronu zrobiłby furorę. Z perspektywy XXI w. średniowieczni władcy słusznie wydają się nam niedostępni. Ale na poziomie czysto osobistym zawsze znajdzie się coś, co nas łączy. Wiele osób straciło mleczaki w dziwny sposób. Tak jak oni jesteśmy ludźmi. Dzielimy te same namiętności i pragnienia. Jesteśmy próżni, chcemy pozostawić po sobie jakieś dziedzictwo, zapewnić bezpieczeństwo swoim dzieciom. Mimo to nie wydaje mi się, aby nawiązanie więzi z tymi wielkimi historycznymi postaciami miało tak duże znaczenie.

Dlaczego? Czy nie powinniśmy ich zrozumieć?

Powinniśmy się starać. Ale przecież tym, co nas do nich przyciąga, jest właśnie nieprzystępność, element tajemnicy. Średniowiecze fascynuje właśnie dlatego, że znajduje się w pół drogi między tym, co znajome, a tym, co obce. Jest trochę jak wpatrywanie się w krzywe zwierciadło: widzimy zarys znajomej sylwetki, ale wszystko jest zniekształcone, kontury się rozmywają i im głębiej sięgamy, tym mniej rozumiemy. Podczas pracy często zdarza mi się napotkać zdarzenie albo postać, które budzą moje zdumienie. To najbardziej porywająca część pisania o przeszłości. Moment zastanowienia, kiedy trzeba przyznać, że nawet dysponując całym aparatem naukowym, nie wszystko jesteśmy w stanie objąć swoim XXI-wiecznym rozumem.

Co było takim zdarzeniem?

Weźmy wyprawy krzyżowe. Najczęściej patrzymy na nie jako na wydarzenie o znaczeniu militarnym. Nie jest to błąd, ale przecież były one czymś znacznie więcej. To zjawisko kulturowe obejmujące całą Europę, przenikające wszystkie grupy społeczne. Ruch krucjatowy wybuchł nagle i wzięło w nim udział kilkaset tysięcy ludzi. Trudno dziś wyobrazić sobie sytuację, w której mieszkańcy naszej dzielnicy bądź ulicy, ludzie, których znamy, postanawiają opuścić dom i ruszyć w nieznaną z bronią w rękę, bez wielkiej nadziei, że wrócą. Aby coś z tego zrozumieć, musimy pamiętać, że wszystko, co wiemy o krucjatach, stanowiło wytwór średniowiecznej chrześcijańskiej wyobraźni, w której życie na ziemi było jedynie wstępem do życia wiecznego w niebie. ▶

► Fascynujący jest też fakt, że żywotność idei krucjatowej wykracza poza średniowiecze, jest czymś uniwersalnym. Krucjaty do dziś są fetyszem dla wszelkiej maści radykałów: od islamistycznych terrorystów, po neonazistów i skrajną prawicę. Niestety połączenie religijnego zapału i przemocy – wpisane w logikę starcia cywilizacji – okazało się mieszanką bardzo wytrzymałą na działanie czasu.

Czy w średniowieczu istniało coś, co można porównać do obecnej kultury celebryckiej?

Tylko do pewnego stopnia. Z uwagi na brak mass mediów popularność w dzisiejszym rozumieniu tego słowa miała bardziej ograniczony zasięg. Nie tylko geograficzny – sława rycerzy często nie wychodziła poza ich grupę społeczną. Istniały jednak wyjątki. Wojownicy, jak bohater hiszpańskiej rekonkwisty El Cid czy hrabia Bretanii Roland, osiągnęli status na poły mityczny, ponieważ ich uczynki posłużyły jako kanwa dla nowego rodzaju literatury – *chansons de geste* (pieśni o czynie). Utwory te pokazywały rycerzy jako kochanków i obrońców takich wartości, jak honor oraz wiara. *Chansons de geste* stanowiły odpowiednik dzisiejszych seriali o superbohaterach. Na ich podstawie powstawały kolejne prequely i sequele, a poeci oraz skrybowie wciąż odświeżali te historie, aby dostosować je do wymogów nowych czasów. W przypadku kultury rycerskiej rzeczywistość oraz literatura zlały się w jedno, odciskając się mocno na kulturze europejskiej. Jeśli przyjmiemy, że rycerze byli świeckimi celebrytami, to ich religijnym odpowiednikami byli święci. Popularność Franciszka z Asyżu, który w czasie swojej podróży na Bliski Wschód próbował osobiście skłonić do przyjęcia chrztu sułtana Egiptu, była kolejnym fenomenem wykraczającym poza ramy czasowe wieków średnich.

Teoria wielkiego człowieka mówi, że wybitna jednostka jest w stanie wpłynąć na bieg dziejów. Średniowiecze jest okresem obfitującym w charyzmatyczne postaci. Czy pana zdaniem miały one decydujący wpływ na historię?

Nie wydaje mi się, aby wieki średnie dowodziły prawdziwości teorii wybitnej jednostki. Ówczesni królowie wbrew utrwalonemu obrazowi nie byli dyktatorami. Przekonanie, że o wszystkim decydowali w pojedynkę to mit. Monarchowie znajdowali się w centrum systemu różnorakich zależności. Ograniczały ich przywileje stanowe, rosnąca pozycja możnowładców i parlamentów. Niewątpliwie były jednostki, które dokonały rzeczy niezwykłych, ale nie sądzę, aby ich najbardziej spektakularne przewagi zmieniły bieg dziejów. Weźmy Henryka V, który dzięki zwycięstwu pod Azincourt (1415 r.) nad wielokrotnie potężniejszą armią króla Francji zapewnił sobie miejsce wśród największych monarchów w dziejach Wysp Brytyjskich. W ostatecznym rozrachunku tamta bitwa nie zmieniła wyniku wojny stuletniej. Mniejsza i uboższa Anglia musiała uznać wyższość Francji. Henryk V nie zmienił zatem historii. Być może rację miał Tołstoj, pisząc w „Wojnie i pokoju”, że jeśli historia jest nieświadomym zbiorowym fenomenem, niezmiernym do żadnego określonego celu, to królowie są jej niewolnikami.

W średniowieczu jest kilku innych kandydatów na wielkich ludzi, którzy jednak zmienili świat. Czy wyprawy krzyżowe w ogóle doszłyby do skutku, gdyby papież Urban II nie wygłosił głośnej mowy, wzywającej do „podjęcia krzyża” w 1095 r. podczas synodu w Clermont? Albo czy Mongołowie rozpoczęliby swoje podboje, gdyby Czyngis-chan za młodu spadł z konia i umarł?



Dan Jones jest brytyjskim historykiem i pisarzem. Ukończył Uniwersytet w Cambridge. Jest współautorem programów telewizyjnych i autorem książek poświęconych średniowieczu. Najnowsza z nich „Świt królestw. Jasna historia wieków ciemnych” ukazała się nakładem Wydawnictwa Znak.

Zaczynając od wypraw krzyżowych, myślę, że doszłyby one do skutku bez względu na apel Urbana II. W XI w. w zachodniej Europie zreformowany w duchu gregoriańskim Kościół ostatecznie pozyskał dla swoich celów rycerstwo. Upraszczając, można powiedzieć, że zdołał on przekonać warstwę rycerską, aby swoje marzenia o sławie, bogactwie i przygodzie realizowała w służbie Bogu. Ów proces wyzwolił energię społeczną, która uczyniła krucjaty bardzo prawdopodobnymi. Jeśli zaś szukać punktu zwrotnego w ich historii, to dla mnie jest to wiosna 1097 r., kiedy wojska krzyżowców ruszyły z Konstantynopola na wschód przez Azję Mniejszą. Cesarz bizantyński musiał być pewien, że więcej o nich nie usłyszy. W drodze do Jerozolimy mieli do przebycia kilkaset kilometrów przez wrogi, w większości nieznaną teren, narażeni na upał, brak wody i ataki Turków. Szanse, że dotrą do celu, były małe. Mimo wszystko udało im się. Gdyby stało się inaczej, ruch krucjatowy mógł wyglądać zupełnie inaczej. Być może jego energia wypaliłaby się wcześniej i mit starcia cywilizacji chrześcijańskiej z muzułmańską nie nabrałby takiej siły.

A Czyngis-chan? Czy bez niego podbój mongolski doszedłby do skutku?

W tym przypadku skłaniam się w stronę teorii wielkiego człowieka. Wszystkie źródła zgodnie twierdzą, że Czyngis-chan był wyjątkową jednostką. Fakt, że stworzył jedno z największych imperiów w dziejach, mówi sam za siebie. Możliwe, że bez niego mongolskie plemiona nie zjednoczyłyby się i nie ruszyły na zachód. Z drugiej strony przeprowadzone niedawno badania dendrologiczne starych drzew ze środkowej Mongolii wskazały, że w okresie poprzedzającym dojście Czyngisgana do władzy, w tej części Azji po raz pierwszy od tysięcy lat panował bardzo korzystny klimat: temperatury były umiarkowane, a deszcze częste i obfite. Step rozkwitł, konie i inne zwierzęta hodowlane miały pod dostatkiem trawy. W świecie, w jakim żyli Mongołowie, klimat odgrywał istotną rolę: produktywność roślin przekładała się na siłę w liczbie koni. Można więc powiedzieć, że pojawiły się idealne warunki, by charyzmatyczna jednostka znalazła ujście dla nagromadzonej energii. Geniusz Czyngisgana polegał na tym, że potrafił wykorzystać sprzyjające okoliczności.

Kolejnym epokowym wydarzeniem była czarna śmierć, która w połowie XIV w. spustoszyła Europę. Podboje Mongołów z pewnością ułatwiły dżumie „podróż” do Europy. Jak dziś wygląda stan wiedzy na temat czarnej śmierci i ocena jej wpływu na dzieje tej części świata?

Według najnowszych szacunków pierwsza fala dżumy mogła zabić – w zależności od regionu – połowę populacji Europy. Był to prawdziwy wstrząs dla tych, którzy przeżyli. Dżuma spowodowała przewrót w dotychczasowym układzie sił między tymi, którzy świadczyli pracę, a klasami posiadającymi. Ze względu na ogromny niedostatek siły roboczej panowie musieli znacząco podwyższyć płace. Na tym tle w drugiej połowie XIV w. doszło do serii wielkich buntów i ludowych wystąpień, jak żakeria we Francji czy powstanie Wata Tylera w Anglii. Zapoczątkowane przez czarną śmierć wielkie społeczne przetasowanie bez wątpienia rozpoczęło zmiany, których dogłębną część jest dziś przedmiotem naukowej debaty. Niektórzy uważają, że pozytywne skutki uderzenia dżumy były krótkotrwałe. Inni są zdania, że była ona jednym z kluczowych czynników, które w długiej perspektywie umożliwiły Europie wkroczenie na drogę wielkich odkryć

geograficznych i kolonialnej ekspansji. W ubiegłym roku świetną książkę na ten temat „The World the Plague Made” napisał historyk James Belich.

Czy w kontekście średniowiecza można mówić o globalizacji, czy też raczej zgodnie z utrwalonym obrazem nie była to epoka wielkiej mobilności?

To zależy od punktu widzenia. Oczywiście nie sposób mówić o globalizacji w naszym rozumieniu tego słowa. Podróże były udziałem dosłownie garstki szczęśliwców. Większość ludzi rzadko kiedy opuszczała swoje małe ojczyzny. Nie ma natomiast wątpliwości, że rozwinęte w średniowieczu sieci handlowe oplatały większą część świata. To, co działo się w jednym zakątku globu, w istotny sposób wpływało na mieszkańców odległych krain. Wikingowie dotarli do Ameryki Północnej ok. XI w. Ludzie odbywali regularne podróże między Półwyspem Malajskim a Madagaskarem, a jest to odległość porównywalna z tą, jaką przebył Kolumb w drodze do Ameryki. Dziś mamy coraz więcej dowodów na to, że przedmioty podróżowały nie tylko między krajami, ale wręcz między kontynentami. Dowodem mogą być koraliki z minerałów karneolu znalezione niedawno w jednym z wikingów grobów w środkowej Anglii. Po zbadaniu okazało się, że karneol pochodził z Gudżaratu w Indiach. Można zatem – choćby w celu poćwiczenia wyobraźni – hipotetycznie założyć, że dany przedmiot, np. moneta, mógł przebyć trasę z Japonii do Ameryki. Oczywiście trwałoby to lata, ale jest to możliwe.

Innym fenomenem pod względem komunikacji i mobilności było imperium mongolskie. Dziś bardzo wiele mówi się o strefach wolnego handlu oraz swobodnej wymianie towarów. Ustanowiony przez następców Czyngis-chana *Pax Mongolica* był właśnie taką strefą, cechującą się względny bezpieczeństwem oraz porządkiem prawnym, łączącą tereny od Korei po Ukrainę.

Wyzwajazwo za koniec średniowiecza uznaje się wielkie wydarzenia polityczne, np. upadek Konstantynopola w 1453 r. albo podróż Kolumba do Ameryki w 1492 r., ale są to cezury umowne. Być może klamrą zamykającą całą epokę było jednak nie pojedyncze wydarzenie, a rozciągnięty w czasie proces, np. wynalezienie druku?

Pojawienie się nowych technologii bez wątpienia wpływa na bieg dziejów. Zazwyczaj adaptacja wynalazków zajmuje jednak dużo czasu, trudno więc przypisać takiemu procesowi datę roczną. Nie jest przy tym prawdą, że średniowiecze było epoką technologicznego zastoju. Wręcz przeciwnie, wśród uczonych trwa ożywiona debata, czy zapożyczenie strzemion od koczowników z Wielkiego Stepu i rozpowszechnienie ich w Europie ok. IX i X w. przyczyniło się do umocnienia pozycji ciężkozbrojnego rycerstwa i miało wpływ na powstanie feudalizmu. Co zaś tyczy się druku, nie ma wątpliwości, że wynalazek Gutenberga zmienił Europę w XV w. równie gruntownie, jak smartfon zmienił nasz świat w wieku XXI. Ściśle reglamentowany do tej pory przez Kościół „rynek idei” został uwolniony i zdemokratyzowany. Obieg informacji oraz radykalnych idei przyspieszył, obejmując o wiele szerszy krąg społeczeństwa.

Polityczną konsekwencją upowszechnienia druku była reformacja – wielka wojna kulturowa wymierzona w to, co reprezentowało średniowiecze. Ironia polega na tym, że to właśnie protestanci odpowiadają za nadanie całej epoki nazwy „wieki średnie”. Z ich perspektywy był to bowiem czas zabobonu i wstecznictwa, wstydlivy okres przejściowy między wielkością antyku a odrodzeniem chrześcijaństwa reprezentowanym przez reformację. Dopiero niedawno zaczęliśmy dostrzegać, ile średniowieczu wdzięczamy i jak wiele jest go w nas.

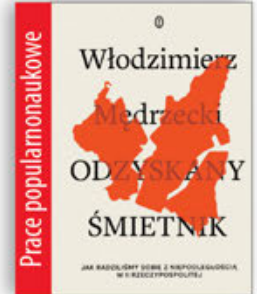
TOMASZ TARGAŃSKI



Laureaci Nagród Historycznych POLITYKI 2023 za rok 2022



ŁUKASZ BERTRAM
Bunt, podziemie, władza



WŁODZIMIERZ MĘDRZECKI
Odzyskany śmietnik



„Dzienniki” Stanisława Ossowskiego
pod redakcją RÓŻY SUŁEK



JAKUB GAŁĘZIOWSKI
Niedopowiedziane biografie



Kroniki wojenne Aurelii Wyleżyńskiej
w opracowaniu GRAŻYNY PAWŁAK i MARCINA URYNOWICZA

Nagrody Specjalne

<p>JAROSŁAW KURSKI Dziady i dybuki</p>	<p>ANDRZEJ FRISZKE Zawód: historyk</p>
---	---

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są:



w galerii

Pionierki w gorsecie 5/6

Bez gorsetu. Camille Claudel i polskie rzeźbiarki XIX wieku,
Muzeum Narodowe w Warszawie, do 10 września

Camille Claudel,
„Opuszczenie”,
1886 r.



O Ięgę Boznańską znacie? Znamy! A Tolę Certowicz, Natalię Andriolli lub Marię Gerson-Dąbrowską? Zapewne nie. A to one – wraz z kilkoma innymi, raczej niespecjalnie kojarzonymi artystkami – są bohaterkami tej wystawy. Wszystko w ramach trendu, który fachowcy nazywają „rozszerzaniem kanonu”. W skrócie mówiąc, chodzi o przyjęcie perspektywy feministycznej i docenienie kobiet, które w historii sztuki niesprawiedliwie dotychczas pomijano. Jakis czas temu w warszawskim Muzeum Narodowym postanowiono „odkryć” Annę Billińską-Bohdanowicz i tamta próba udała się doskonale. Tym razem snop światła skierowano na artystki dłużej, które w tym pełnym znoju artystycznym fachu przecierały szlaki w rodzimej sztuce XIX w. Dziś zapomniane, choć przecież to właśnie prace rzeźbiarek okazały się docelowo najlepszym „towarem eksportowym” polskiej sztuki, by przypomnieć uznanie towarzyszące z czasem dziełom Kobro, Szapocznikow i Abakanowicz. Osobliwe były te początki. Po dłużej sięgały przede wszystkim damy z wyższych sfer, w ramach tzw. oryginalnego hobby, bądź kobiety rodzinie powiązane z artystycznymi kręgami. Nie było ich wiele, działały bez społecznej aprobaty, a na domiar złego w sposób mocno ograniczony przez społeczne konwenanse. Tematyka religijna i portrety – to było praktycznie wszystko,



Iza Kwiatkowska de Albazzi,
„Ignacy Jan Paderewski”, 1897 r.



Tola Certowicz,
„Pokora”, 1918 r.

na co pozwalały kulturowe standardy. Żadnych emocji, goliżny, żadnych ekstrawaganckich motywów! Szkoda, bo warsztatowo wiele z tych artystek zdradzało nieprzeciętne talenty i gdyby tylko mogły popofolgować wyobraźni... Tak jak folgowała Camille Claudel, francuska rzeźbiarka, legenda i protoplastka kobiecej rzeźby. I to ona właśnie stanowi na warszawskiej wystawie silny kontrapunkt dla ambitnych Polek. Udało się z Francji ściągnąć sporą grupkę jej wybitnych prac, które z pewnością staną się największą atrakcją wystawy. Mam jednak nadzieję, że nie przysłonią opowieści o naszych pionierkach, którym lekko nie było, ale dały radę!

PIOTR SARZYŃSKI

na ekranie

Zaduma 5/6

Kawałek nieba (Drii Winter), reż. Michael Koch,
prod. Szwajcaria, Niemcy, 137 min

Nasycone religijną melancholią obrazy splecione z prozą i naturalizmem życia na wsi robią w tym filmie niesamowite wrażenie. Oszałamiające skalne urwiska, zmieniająca się w rytm pór roku natura, dojmująca cisza, panujący w domach bezruch oraz ciężka praca polegająca na koszeniu traw, pilnowaniu bydła, sprzątaniu i uwijaniu się przy gospodarstwie – wszystko to przewywane śpiewem wieloosobowego chóru



stojącego na tle majestatycznej przyrody, komentującego prozę dnia. Samotność, piękno, przecucie nieszczęścia i kontemplacja. Nieskomplikowana, wyciszona fabuła, wpisana jakby w odwieczny porządek

świata, urasta do rangi mitycznej przypowieści. W małej wiosce położonej na uboczu górskich szlaków małomówny, otyły farmer i hodowca krów zakochuje się w młodej barmance (**Michèle Brand**) wychowującej dorastającą córkę. Po ślubie męczyzna w typie łagodnego olbrzyma zaczyna przejawiać agresję. Lekarze diagnozują guza mózgu, rokowania nie są najlepsze. Zagrany przez naturszczyków dramat rodzinny o miłości opierającej się śmierci – albo na odwrót – osadzony w samym sercu słonecznych Alp (niemieckojęzycznym kantonie Szwajcarii) przypomina grecką tragedię. Niektórzy uznają, że to zbyt karkołomne porównanie. Kone-serzy docenią.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

w telewizji

Szpieg, jeszcze nie mistrz 4/6

Spy/Master, twórcy serii: Adina Sădeanu i Kirsten Peters, 6 odc., HBO Max

Rumuński serial szpiegowski produkcji HBO Max, z akcją osadzoną podczas jednego tygodnia w 1978 r., gdy decyduje się los Victora Godeanu (**Alec Secăreanu**), szefa rumuńskiego wywiadu, najbliższego doradcy Nicolae i Eleny Ceaușescu oraz tajnego agenta KGB. Kiedy groźba dezmaskowania staje się realna, Victor – zamiast skorzystać z oferty nie do odrzucenia wycofania do ZSRR – udaje się do zachodniemieckiego Bonn i zaczyna grę z tamtejszą placówką CIA, a stawką jest życie. Nie tylko jego, ale także jego pozostawionej w Bukareszcie córki. Rumuński kontrwywiad, KGB i Stasi rzecz jasna nie pozostają bierne. Twórcy serii, Adina Sădeanu i Kirsten Peters, przyznają, że wzorem dla nich były powieści Johna Le Carré: analityczne, z pozorów niezbyt efektywne, zwłaszcza w porównaniu z dziełami Iana Fleminga, za to bliższe rzeczywistej pracy wywiadu. Ten sznyt w „Spy/Master” widać, choć do maestrii autora „Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega” twórcom daleko. Irytuje zwłaszcza liczba pomyślnych zbiegów okoliczności, które pozwalają pchać akcję do przodu i wpisać wątek rumuńskiego podwójnego agenta – luźno wzorowanego na prawdziwej postaci, Ionie Mihaiu Pacepie – w międzynarodowy kontekst i rzeczywiste wydarzenia z końcówki lat 70. Za to wątek kobiecy jest ciekawie poprowadzony i zaskakujący. AK



Kontakt w głębinach 3/6

Odwet oceanu (The Swarm), 8 odc., Viaplay

Ósmiodcinkowa europejska (głównie megaprodukcja (40 mln euro), „Odwet oceanu”, zaczyna się jako thriller ekologiczny ostrzegający przed tym, co może się stać, gdy przyroda – w tym przypadku morska – wreszcie straci cierpliwość do naszej niszczycielskiej działalności, by z czasem nomen omen wyewoluować w stronę SF spod znaku „pierwszego kontaktu”. Rozmach widać też w pokazywanych na ekranie plenerach: tłem zmagania międzynarodowego zespołu naukowców finansowanego przez japońską korporację są norweskie fiordy, kanadyjskie i francuskie wybrzeża, surowy krajobraz Szetlandów czy topniejące lodowce Arktyki (do tego statki, helikoptery i podwodne pojazdy). Podobać się może także wielojęzyczność i wielokulturowość serialu, a nawet praca naukowców. Na tym jednak dobre strony „Odwetu oceanu” się kończą. Najbardziej szwankują scenariusz (stworzony na bazie powieści Niemca Franka Schätzinga) oraz dramaturgia: naiwność, kiczowatość, nic niewnoszące sceny i niepotrzebne dialogi wywołujące poczucie dłużyzny, narracja jak w telenowelach, z irytującymi zbliżeniami na twarze bohaterów, których emocje powinny się widzowi udzielić... Niestety, nie bardzo ma się co udzielać, bo scenariusz, mimo przeplatania scen w laboratoriach i na konferencjach z tymi z życia prywatnego bohaterów (co ma pokazywać stawkę ich pracy i poświęcenie) nie daje międzynarodowej obsadzie (m.in. Cécile de France, Alexander Karim, Leonie Benesch, Barbara Sukowa) szansy stworzenia poruszających kreacji. AK

na scenie

Terrorysta 5/6

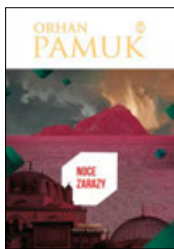
Thomas Bernhard, **Komediant**, reż. Andrzej Domalik, Teatr Narodowy w Warszawie

Aktorzy uwielbiają sztuki analizujące specyfikę uprawianego przez siebie zawodu, jego paradoksy, cienką linię oddzielającą geniusz od kabotyństwa, kata od ofiary itd., zaś widzowie kochają to oglądać, choć większość tego typu sztuk nie wychodzi poza banały i cała ich wartość zwykle zasada się na gwiazdorskiej obsadzie. W Teatrze Narodowym niedawno ogromną popularnością cieszył się „Garderobiany” Ronald Harwooda z Janem Englertem i Januszem Gajosem, a teraz swój benefisowy spektakl otrzymał tu **Jerzy Radziwiłowicz**. I ze sceny płyną frazy w stylu: „Będąc szczerym, trzeba powiedzieć,



że w ogóle teatr to absurd, ale będąc szczerym, w ogóle nie można nic zrobić, najwyżej się zabić. No więc ponieważ jak na razie się nie zabiliśmy, próbujemy nadal zajmować się teatrem, choćby to wszystko było czymś całkowicie absurdalnym i zakłamanym”. W tym sensie zbudowana (niemal) jak monolog opowieść Bernharda o przekonanym o swoim geniuszu aktorze, zderzonym z przykrą rzeczywistością, czyli występami w wiejskich gospodach Górnej Austrii, jest typowa. Radziwiłowicz zaś sprawnie balansuje między dramatem i komedią. Ciekawsze jest coś innego – duch czasu i reżyser wydobywają na plan pierwszy statystów tej historii, czyli towarzyszącą Busconowi w objeździe, terroryzowaną rodzinę (Aleksandra Justa, **Zuzanna Saporznikow** i Hubert Łapacz), ofiarę jego frustracji i życia w iluzji. Sceny rodzinne w tym spektaklu wywołują wręcz fizyczny ból, a finał – ulgę.

ANETA KYZIOŁ

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Nazywam się zaraza 5/6

Orhan Pamuk, **Noce zarazy**, przeł. Piotr Kawoluk, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 752

Najnowsza powieść Orhana Pamuka brzmi jak historyczna metafora ostatniej pandemii. Z niezbyt pozytywnymi wnioskami dla Zachodu. Pamuk znów nakłada na siebie co najmniej dwa gatunki literackie. I dlatego „Noce zarazy”, które właśnie ukazały się po polsku w płynnym tłumaczeniu Piotra Kawoluka, przypominają najlepsze książki tureckiego noblisty, choćby „Nazywam się Czerwień”. W obu przypadkach wielka opowieść historyczna miesza się z kryminałem i na koniec w sumie nie można być pewnym, co z tej mieszanki stanowiło tylko pretekst, a co substancją książki. Fabuła rozpędza się, gdy na początku XX w. na wymyślonej wyspie śródziemnomorskiej ginie epidemiolog, z pochodzenia Polak, wysłany tam przez niewymyślonego sułtana z zadaniem zbadania



ogniska zarazy. Przed śmiercią Bonkowski Pasa próbował przekonać wyspiarzy, że modlitwy i amulety nie obronią ich przed chorobą – że to może uczynić tylko nauka. Przyjęcie racjonalnych zasad walki z zarazą jest niemal równoznaczne z zaakceptowaniem zachodniej kultury, na co nie wszyscy się godzą. Czyta się to więc niemal proroczo, zważywszy że Pamuk zaczął pisać tę książkę jeszcze przed pandemią covidu. W reakcji na śmierć Bonkowskiego sułtan wysłał na wyspę detektywa, doktora Nuriego. I tu znów zachodnia kultura racjonalności, dedukcji ściera się ze wschodnimi metodami. Przy czym do końca nie wiadomo, po której stronie staje autor – w „Nocach zarazy” Pamuk zastawia pułapkę na zachodni racjonalizm, z której ten ostatni wcale nie wychodzi jednoznacznie zwycięski.

ŁUKASZ WÓJCIK



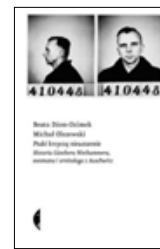
Złote myśli 3/6

Jakub Małecki, **Sąsiednie kolory**, Wydawnictwo SQN, Warszawa 2023, s. 252

Od czasu głośnego „Dygotu” Jakub Małecki często wprowadza do swoich opowieści postać obcego, wyrzutka. I tak jest w najnowszej powieści „Sąsiednie kolory”, która rozgrywa się w 1926 r. w miejscowości Koło. Pojawia się tam wielki mężczyzna, którego zważ Diabeł, a przy nim pies, który nazywa się Bóg. W małej społeczności tacy przybysze wywołują poczucie zagrożenia i na nich się poluje. I tak

jest tutaj. W krótkim czasie rozgrywa się wiele dramatów: stolarz Krystian robi trumnę dla kobiety, która podobno umarła z tęsknoty. Syn lekarza zamierza skoczyć z mostu, ale w końcu ginie ktoś inny. Ktoś gwałci dziewczynę na łące, ktoś to obserwuje. A jeszcze pożar i kolejne zabójstwa. Dużo tragedii naraz, a wszystkie są pokazane w migawkach. Nowa powieść Małeckiego przypomina bardziej szkic niż dopracowaną całość. Postaci narysowane są kilkoma kreskami, bez pogłębienia tła i psychologii. Każda z tych migawek ma działać na emocje, bo każdą z postaci widzimy w istotnych, chwytających za serce momentach jej życia. Najważniejsze tajemnice życia i śmierci gonią tu jedna za drugą, na każdej stronie. I to sprawia, że ten świat jest płaski i powierzchowny. Szkoda, bo są tu miejsca ciekawe – obraz lokalnej gazety i jej rola w społeczności czy postać ekscentrycznego lekarza, który zaleca taniec jako najlepsze lekarstwo na życie. Ale te fragmenty giną pod naporem tego, co ma wywoływać emocje. W rezultacie dostajemy coś, co przypomina bardziej zbiór złotych myśli niż powieść.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Nazizm i ornitologia 4/6

Beata Dżon-Ozimek, Michał Olszewski, **Ptaki krzyczą nieustannie. Historia Günthera Niethammera, esesmana i ornitologa z Auschwitz**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 504

Banalność zła w jego najprostszym wydaniu: historia badacza, który zostaje obozowym strażnikiem w Auschwitz, a potem nikt go z tego nie rozlicza. Dżon-Ozimek i Olszewski zarysowują olbrzymią perspektywę, by pokazać powolne narodziny nazizmu i stopniowy wzrost jego poparcia w społeczeństwie niemieckim lat 30. i 40. Ich reportaż historyczny jest w równym stopniu opowieścią o uwikłanej w historię jednostce – Güntherze Niethammerze, ornitologu, podróżniku, badaczu i tylko przez chwilę esesmanie – co o jego czasach, rodzinie, współpracownikach, ich marzeniach o koloniach i wielkiej Rzeszy. Niethammer nie wyróżniał się okrucieństwem, nie pragnął służby w Auschwitz, ale samą swoją obecnością sankcjonował ten system i pozwalał mu trwać. Jednocześnie jest to historia przemian ornitologii w XIX i XX w. Historia badania ptaków, pisana ze współczesnej perspektywy katastrofy klimatycznej, każe inaczej patrzeć na myśliwych-naukowców, kolekcjonerów ptasich zwłok. Ornitologia, jako nauka powiązana z biologią, w latach 30. staje się polem działań naukowców zajmujących się rasą, ideologów przewagi Aryjczyków. Autorzy prowadzą zatem swoją opowieść przez wyboje dziejowe, pokazując jednocześnie takie postaci, które doskonale potrafiły się odnaleźć w nowym porządku i połączyć karierę w NSDAP z karierą naukową, a także takie, które zwalniały z pracy nieprawomyślnych robotników i Żydów, i wysyłały ich do obozów, zanim dobrze wysechł druk na nowych ustawach. Nie ma w tym świecie właściwie nikogo niewinnego, sugerują Dżon-Ozimek i Olszewski. A wszystkie analogie do współczesności mówią tu same za siebie.

PAULINA MAŁOCHLEB

książki

Bejbis polskiej sztuki 5/6

Grupa, pod red. Agnieszki Szewczyk, Jerke Art Foundation, Recklinghausen 2023, s. 606



Aż trudno uwierzyć, że tytułowa Grupa nie doczekała się wcześniej żadnej porządnej monografii. Mamy bowiem od czynienia z prawdziwym fenomenem; formacją artystyczną, która od ponad 40 lat jest w polskiej sztuce współczesnej obecna tak trwale, jak słowo „bejbi” w amerykańskiej piosence. Bez „bejbi” możemy

jednak wyobrazić sobie światową estradę, a bez Grupy trudno myśleć o rodzimym malarstwie. Ów brak godnego wydawnictwa można zrozumieć. Prezentacja Grupy wymagała bowiem nie tylko rzetelnego przygotowania teoretyczno-historycznego, ale też rozmachu w prezentowaniu jej dorobku. I zawstydzając rodzi-

me instytucje państwowe, które trwonią pieniądze na nikomu niepotrzebne, ale słuszne ideowo publikacje, opasył tom sfinansował polsko-niemiecki kolekcjoner Werner Jerke. Oczywiście słowo pisane i ilustracje nie oddadzą ducha owych czasów i twórczo-intelektualnego fermentu, który towarzyszył działaniom sześciu artystów wchodzących w skład formacji.

Te już przeniknęły z poziomu wspomnień na poziom legend. Ale to wszystko, co udźwignie papier, zostało wykonane perfekcyjnie: interesujące i kompetentne eseje wybitnych historyków sztuki, uważne, szczegółowe kalendarium, a przede wszystkim wysmienity zbiór ilustracji, ukazujących ówczesny dorobek każdego z twórców, których wypada wymienić: Ryszarda Grzyba, Pawła Kowalewskiego, Jarosława Modzelewskiego, Włodzimierza Pawłaka, Marka Sobczyka i Ryszarda Woźniaka. Wszyscy jako twórcy aktywni są do dziś, choć ich wspólna droga, naznaczona brawurową kontestacją wszechkierową, zakończyła się w 1992 r. To obowiązkowa lektura dla każdego, kto chce zrozumieć fenomen polskiej sztuki ostatnich dekad.

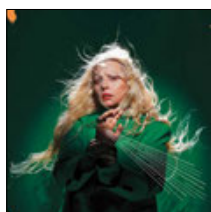
PIOTR SARZYŃSKI

na płycie

O dobrostan 4/6

Nosowska, **Degrengolada**, Kayax

Co ja mam w sobie, że znowu przyszliście? – pyta Katarzyna Nosowska w rozpoczynającym płytę (intro jak z Radiohead) utworze „Predatoprzywry”. Nie jest to wprawdzie zawołanie do wiernej widowni, ale da się wyczuć na „Dengrengoladzie” chęć odreagowania pewnych emocji związanych z odbiorem publicznym figury gwiazdy. I oczekiwań, jakie się z tą sławą łączą. „Zasadniczo nie śpię, boję się, że we śnie, strony mi zamienią, prawą stroną z lewą, w miejsce serca wetkną kołek z transparentem” – śpiewa Nosowska w singlowej „Przytomnej”. I przedkłada swój dobrostan, indywidualny punkt widzenia ponad zbiorowy – nie chce się opowiadać, sama szuka równowagi. W tym sensie cała płyta – od strony muzycznej współtworzona przez Michała „Foxy” Króla, bez zaskoczeń i bez nowości – najmocniej zbliża nas do Nosowskiej znanej jako autorka coachingowych (na swój oryginalny sposób) książek. Najwspanialszy moment to finałowy duet z Natalią Szroeder w „Majaku”. Na całej płycie jest trochę zmęczenia, szczypta podszytej zgorzknieniem nostalgii („Kiedy to się stało, że tak nas poturbował czas”), ale w sumie jest to spójne i skutecznie zintegruje słuchaczy/słuchaczki z gronem czytelników autorki.

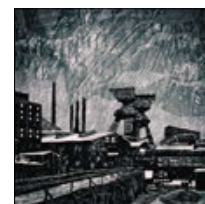


BARTEK CHACIŃSKI

Sanacja trwa 4/6

Hańba!, **Kryzys**, Antena Krzyku

Zespół Hańba! dalej po swojemu opowiada historię. To już nie lata 30., propagandowa tromtadacja i staczenie się Polski ku jakiejś możliwej albo trudniejszej do wyobrażenia formie faszyzmu. Na płycie „Kryzys” mamy wyobrażenie 1943 roku, ale w alternatywnej wersji dziejów Polska nie przegrała kampanii wrześniowej, więc trwa ciąg dalszy przedwojennej sanacji, wyzysku, biedy, a wielka historia ustępuje na rzecz tej małej, codziennej, prywatnej. Akustyczny punk z bandzolami, akordeonami, dęciakami daje podkład poetyckim obrazom robotniczej codzienności, codzienności kryzysu. Bo kryzys, jak można się domyślać, jest nieodłącznym atrybutem polskiego kapitalizmu. Na tej czwartej już w dorobku płyty Hańba! wykorzystała aż pięć wierszy rewolucyjnego, trochę dziś zapomnianego poety Edwarda Szymańskiego, fraszkę „Refleksja” satyryka Jerzego Paczkowskiego, słynne „Zagłębie Dąbrowskie” Broniewskiego, „Cjankali” Władysława Szlengla oraz ludowy utwór „Fabryka na cymencie stoi” brawurowo odśpiewany przez Maniuchę Bikont. No i znowu przekonujemy się, że bunt ma sens, lewicowa wrażliwość pozostaje niezmiennie ważnym elementem publicznej debaty, a zadufanej władzy zawsze trzeba się opierać.



MIROSLAW PĘCZAK

REKLAMA



Nowy numer FORUM już w sprzedaży!

- „Sukcesja” w rodzinie Murdochów
- Jak zagrać Brooke Shields
- FTD, czyli bomba neuronowa
- Krótki kurs kreatywnego życia
- Europa ucieka na Księżyc
- Wielki kryzys w Wielkiej Brytanii
- Byłem sąsiadem Erdoğan
- Seniorzy nie są odpadami!
- Teksańska masakra pomników
- Imperium zmienia płęć

Zamów prenumeratę drukowaną na: www.sklep.polityka.pl

Zamów dostęp cyfrowy na: www.dwutygodnikforum.pl



Hilma af Klint, „The SUW Series”, Nr 19, 1914–1915. Po prawej: Piet Mondrian, „Kompozycja z Czerwienią, Czernią, Żółcią, Błękitem i Szarością”, 1913 r.

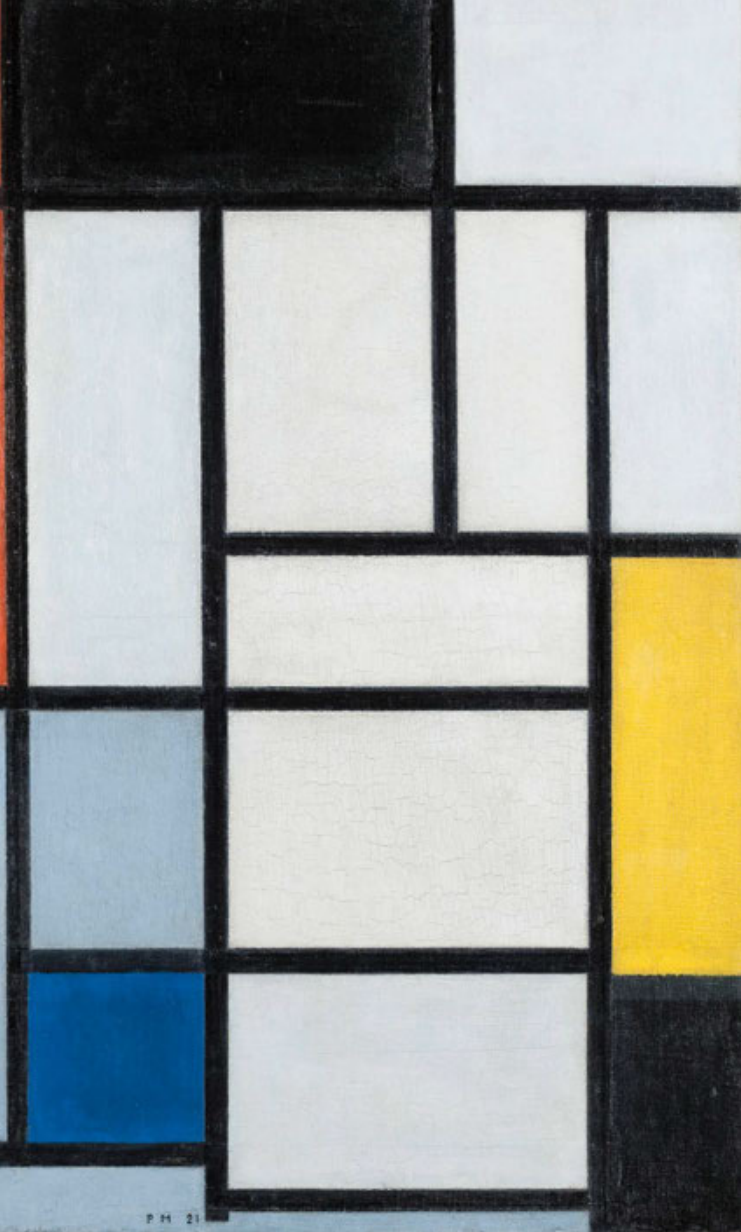
W londyńskiej Tate Modern otwarto wystawę Pieta Mondriana. Stoi za nią próba przepisania historii początków sztuki nowoczesnej:

P Kwadratura koła

PIOTR SARZYŃSKI

okusę, by poprawiać przeszłość, miewają nie tylko ideolodzy i politycy, którzy jednego pomnikowego bohatera zastępują innym. Bywa, że także historycy sztuki i kuratorzy grzebią w ustalonych od dawna hierarchiach, próbują coś odkryć, a przynajmniej pokazać w nowym świetle, podkładając bomby pod utrwalone osady i powszechnie obowiązujące interpretacje. Chętnie nazywa się to „poszerzaniem kanonu”.

Niekiedy cel jest szlachetny, intencje słuszne. Tak było na przykład z narracją feministyczną i przywracaniem (udanym) zasług kobiet w światowej sztuce. Także z rozliczeniem kolonializmu i neokolonializmu, poprzez docenianie (nie zawsze udane) zasług artystów spoza kręgu cywilizacji Europy i Ameryki Północnej. Lub uwzględnieniem powiązań sztuki z wątkami LGBT+. Bywa jednak, że nie o historyczną sprawiedliwość chodzi, ale o środowiskowy splendor i uznanie. Trzeba



i Hilmy af Klint „Formy życia”. ciekawa, ale i kontrowersyjna.

jednak uważać, bo nieprzemysłane wkładanie palca w dobrze naoliwioną i sprawnie pracującą maszynę interpretacyjną może skończyć się kontuzją.

Mariaż z rozsądku

Tym razem materiał do „otwarcia nowych horyzontów” wydawał się odpowiedni. Wprawdzie Piet Mondrian to abstrakcjonista opisany już i zinterpretowany na wszystkie możliwe sposoby. Za to Hilma af Klint – ciągle „świeżynka”, którą świat sztuki w pełni odkrył dopiero przy okazji wystawy jej prac w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku w 2018 r. Ekspozycja okazała się prawdziwym hitem, odwiedziło ją ponad 600 tys. osób, co było rekordem frekwencyjnym w tej placówce, mającej przecież na swym koncie niejedną wspaniałą wystawę. Mondriana świat kochał od dawna, Hilme af Klint pokochał

ostatnio; czyż to nie wspaniały pretekst, by spektakularnie ich pożenić? Tym bardziej że takiemu zaobrączkowaniu towarzyszył niezwykle silny argument: obydwójce wiązani są z początkami sztuki abstrakcyjnej.

W ten sposób odświeżono, przez całe dekady gorący, a ostatnio jakby nieco przygasły spór o to, komu należy się zaszczytny tytuł prekursora malarstwa niefiguratywnego. Nie ulega wątpliwości, że wyścig o miano pioniera abstrakcji należał do najbardziej idiotycznych, ale i najbardziej zaciętych w najnowszej historii sztuki. Co ciekawe, odbywał się już bez głównych bohaterów, którzy poumierali, zanim eksperci postanowili wynegocjować, komu należy się miejsce na podium i kto na której pozycji ma się znaleźć. Przypomnę, że do tej osobliwej rywalizacji zgłoszono przede wszystkim Kazimierza Malewicza i Wassily’ego Kandinsky’ego, ale erudycyjni szperacze dopisywali też Františka Kupkę, Mikolajusa Čiurlionisa, Francisca Picabię, a nawet XIX-wieczne prace Henry’ego van de Velde. Gdyby chodziło tylko o datę, to sprawa byłaby prosta. Ale kryteriów oceny było przecież więcej: intencje, konteksty, artystyczna świadomość, konsekwencja itd.

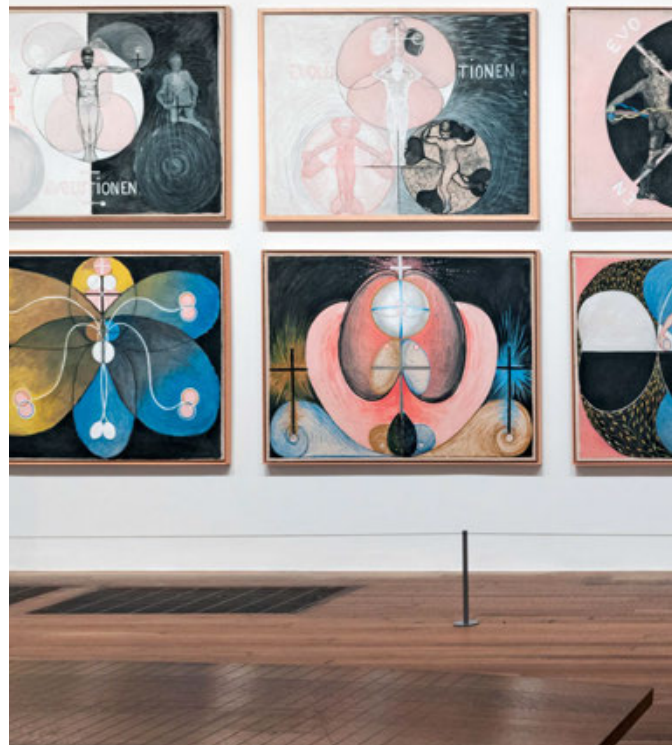
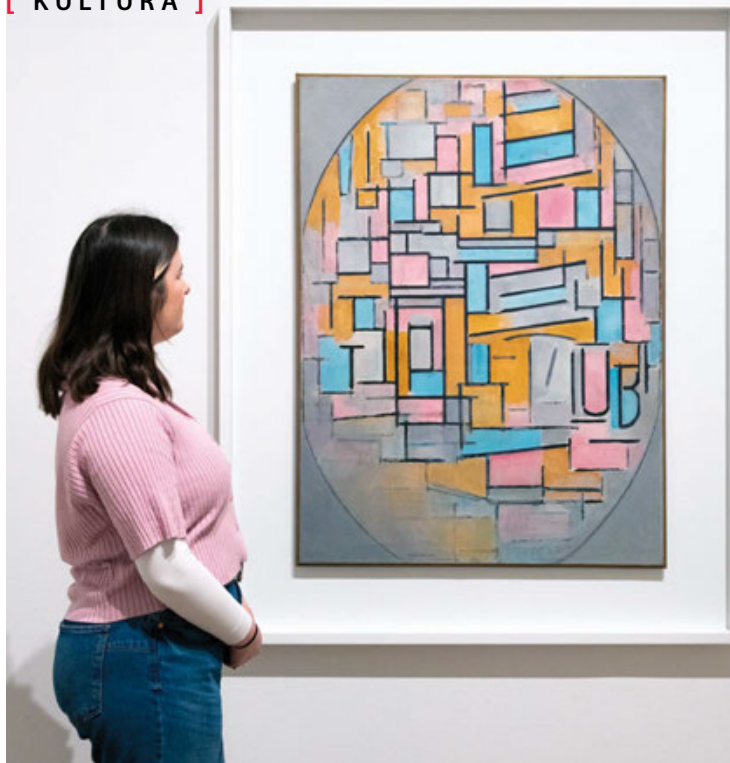
Szwedka Hilma af Klint niejako spadła z nieba w sam środek grona twórców, o których pozycję był spór i odświeżyła starą dyskusję. Kuratorzy wystawy, by wzmocnić przekaz, zestawili ją z Mondrianem. Wystawianie twórców w parach to stary i sprawdzony patent na elektryzowanie publiczności. Teoretycznie zawsze stoi za nim jakieś formalne uzasadnienie: artyści byli przyjaciółmi (lub wrogami), nawzajem się inspirowali albo w tym samym czasie trzęśli światową sztuką itd. Niewypowiedziana pozostaje jednak intencja: porównaj, oceń, kto lepszy, kto ważniejszy, bardziej nowatorski? Takie ulubione przez kuratorów pary to Rembrandt i Caravaggio (lub Rubens), Turner i Constable, van Gogh i Gauguin, Freud i Bacon, Warhol i Basquiat. W Polsce próbowano tak parować Nikifora z Dwurnikiem czy Stażewskiego ze Strzebińskim.

W Tate zachowano tyle przyzwoitości, że zestawionych artystów odseparowano w osobnych salach, a przynajmniej na osobnych ścianach, ale prowokowanie do porównań bynajmniej nie osłabło. Co ciekawe, tradycyjnie ulegli mu także krytycy, którzy jednak nie byli zgodni w ocenach. Krytyk „Guardiana” uważał, że Hilme af Klint nie posłużyło ustawienie obok jednego z największych modernistów. Ale już Sarah Kent na łamach „The Arts Desk” przekonuje, że prace Szwedki są wciąż świeże, podczas gdy schematyczne obrazy Mondriana opatrzyły się i „są równie ekscytujące co klocki Lego”.

Inspiracja nie z tego świata

W sumie naiwnością byłoby dać się wciągnąć w te oceniające porównania kół i spirali af Klint z symetrycznymi siatkami kolorów Mondriana. Dziwna i niepokojąca jest natomiast inna idea towarzysząca wystawie i w zamierzeniu mająca stać się ową interpretacyjną bombą: przykład tej dwójki artystów miałby mianowicie dowodzić, że u podstaw rodzącej się na początku XX w. sztuki abstrakcyjnej nie stały żadne artystyczne teorie i intelektualne przemyślenia, nie duch postępu cywilizacyjnego epoki, ale... spirytyzm i mistycyzm.

Jakieś kruche podstawy do postawienia takiej tezy istniały. W początkach XX w. idee teozoficzne faktycznie były niezwykle popularne w środowisku europejskich twórców. Spirytyzmem interesowali się także pionierzy abstrakcji, z Mondrianem i Kandinsky’em na czele. Ale co innego fascynacja, a co innego twórczość. Kompozytor zaciekawiony astronomią wcale nie musi tworzyć muzyki sfer niebieskich, a poeta będący amatorem ornitologii nie jest skazany na wiersze o kukułkach i skowronkach. ▶



Piet Mondrian, „Kompozycja w owalu z płaszczyznami kolorów”, 1914 r.

► Okultyzm rzeczywiście osadzony był mocno w twórczości af Klint. Artystka była medium i podczas seansów spirytystycznych ponoć miała nawiązać kontakt z – kimkolwiek by byli – „Wysokimi Mistrzami”. Jeden z nich, o imieniu Amaliel, zlecił jej wykonanie cyklu obrazów astralnych i stworzenie świątyni, w której miałyby się znaleźć. Ze świątynią nic nie wyszło, za to obrazy zaczęły powstawać chyżo; łącznie cykl świątynny liczy sobie blisko 200 prac ułożonych w kilka cykli. Najbardziej monumentalny i prezentowany w Tate niejako na deser „Dzieśięć największych” prezentuje wedle słów autorki „ścieżkę duszy od początku spektaklu życia do jego końca”. Wiodła więc af Klint podwójne artystyczne życie. Jako dr Jekyll malowała na sprzedaż i na wystawy kwiatki, pejzaże, portrety, a jako pan(i) Hyde, skrywane przed światem, a dziś uważane za prekursorsko abstrakcyjne, obrazy mistyczne.

Całkiem odmienna była droga Mondriana do abstrakcji. Świadoma, konsekwentna i logiczna, naznaczana kolejnymi wyborami artystycznymi, zdecydowana osadzona w modernistycznej narracji. Widać wpływy poprzedników i rówieśników, od Cézanne’a po Picassa. Żaden Amaliel nad nim nie czuwał. No, może z jednym wyjątkiem, pokazującym także na wystawie, podszytym ezoteryką obrazem „Ewolucja” z 1911 r. Zresztą dość słabym, nieprzystającym do reszty jego malarskich poszukiwań, ukąszonym pretensjonalną secesją. Co ciekawe, trzy lata wcześniej pod tym samym tytułem af Klint przygotowała cały cykl prac: naiwnych, a bywa, że egzaltowanych. Czy z tej koincydencji coś jednak wynika? Raczej nic.

Jakieś punkty styczne twórczości Mondriana i af Klint oczywiście można znaleźć. Żyli w tych samych czasach (zmarli nawet dokładnie w tym samym 1944 r.). Stworzyli własne artystyczne języki, interesowały ich podobne kwestie – choćby natura. Obydwoje próbowali także uchwycić w malarstwie to, co niewidoczne. Zajmowała ich antropozofia Rudolfa Steinera, którego próbowali zainteresować swoimi teoriami artystycznymi. Bezskutecznie, co dla Mondriana nie miało większego znaczenia, ale w przypadku przesiąkniętej mistycyzmem Hilmy

poważnie wpłynęło na jej samoocenę i gotowość do dzielenia się ze światem własnym „malarstwem duszy”.

Mamy zatem z jednej strony uduchowione malarstwo Szwedki. Pełne halucynacyjnych kompozycji w tęczowo-pastelowych barwach, kół, falujących serduszek, muszelek i symboli często zrozumiałych jedynie przez artystkę. Przesycone miłością do świata, mitami, czułością i afirmacją. Malarstwo tworzone w oderwaniu od światowych trendów, które pojawiło się nagle, znikąd, zesłane jako iluminacja przez Wysokich Mistrzów. A z drugiej – przemyślane, wpisane w siatkę poziomych i pionowych linii kompozycje złożone z kilku podstawowych kolorów, precyzyjnie zestawianych ze sobą. Obrazy, do których Mondrian dochodził zmusznie, studiując europejską scenę artystyczną i własne wcześniejsze dzieła, rozwijającą się precyzyjnie jak matematyczny wywód. Dwoje artystów, którzy nie tylko byli tak różni, nie tylko nigdy się nie spotkali, ale prawdopodobnie nigdy o sobie nawzajem nie słyszeli.

Efekciarska przynęta

Nic tu nie zmieni fakt, że zarówno af Klint, jak i Mondrian mieli ciągoty do malowania przyrody, a osobliwie roślin, kwiatów. Ten fakt na wystawie zaznaczony jest bardzo silnie, jakby to był jakiś niezwykle element łączący ich artystyczne dusze. Trudno przy tej okazji darować sobie drobną złośliwość i retoryczne pytanie: któż spośród tych sięgających po farby i pędzle nie ma w swoim dorobku jakichś botanicznych fascynacji?

Tylko nieliczne momenty na wystawie dają poczucie, że artystycznie coś między nimi iskrzy. Tak się dzieje, gdy oglądamy nie duże olejne obrazy af Klint z 1920 r., skoncentrowane na figurze koła i na relacjach dwóch głównie kolorów: czerni i bieli, będące próbą abstrakcyjnego przedstawienia istoty religii. Lub w cyklu „The Parsifal Series” mogącym nieco kojarzyć się z kolorowymi „układankami” kwadratów przez Mondriana. Ale to przypadkowe sploty skojarzeń. Po prostu meandrująca w świecie linii i barw af Klint czasami przecięła ścieżkę, po której wytrwale maszerował holenderski abstrakcjonista.



Fragment londyńskiej ekspozycji z pracami Hilmy af Klint z cyklu „Evolution” z 1908 r.

Czy zatem ma sens łączenie ich na jednej wystawie i zmuszenie widza, by podążał za wątlą kuratorską koncepcją? A koncepcja jest wątlą, bo przyjmuje punkt widzenia tylko jednej strony, czyli Hilmy af Klint. Tymczasem Piet Mondrian zostaje niejako wepchnięty na owo metafizyczne terytorium, zmuszony do konfrontacji w dyscyplinie obcej jego sztuce. Dzieje się to ze stratą dla obojga. Mondriana ubrano w duchowe fatalaszki, a spontaniczną af Klint zderzono z logiką holenderskiego mistrza. Wygląda to trochę jak zabawa sztuką pod hasłem „Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus”.

Kuratorem wystawy jest Frances Morris, odchodząca ze stanowiska po ośmiu latach szefowa Tate Modern. Być może chciała na „do widzenia” zafundować widzom i środowisku

wystawę, która zostanie zapamiętana jako odkrywcza, a może i rewolucyjna. Niestety, ekspozycja okazała się bardziej świadectwem kuratorskiej pychy i naciąganych teorii. Na jej efektowną (efekciarską) przynętę niektórzy dali się złapać, a w „London Evening Standard” można nawet przeczytać, że na wystawie „można poczuć przesuwające się płyty tektoniczne historii sztuki”. Ale to tylko bezpłatny tabloid i myślę, że nie na takim uznaniu kuratorce zależało. Na samą wystawę, mimo wszystko, warto zajrzeć – pod warunkiem że nie ulegniemy narracji, a zapagniemy jedynie poobcować z dziełami dwójki bez wątpienia oryginalnych i ważnych dla sztuki XX w., ale jednak osobnych twórców.

PIOTR SARZYŃSKI

© TATE/LUCY GREEN, TATE/JAIMONAGHAN

REKLAMA



DOJRZAŁY DEBIUT MŁODEJ PISARKI KSIĄŻKA, KTÓRĄ ZACHWYCIŁ SIĘ CAŁY ANGLOJĘZYCZNY ŚWIAT LITERACKI.

Napisana z epickim rozmachem saga rodzinna, opowiedziana z perspektywy porzuconej przez matkę dziewczynki.

Najbardziej poruszająca powieść o rewolucji politycznej i obyczajowej w Iranie od czasu „Chłopca z latawcem” Khaleda Hosseiniego.

IMPONUJĄCY ROZMACH.
IRAŃSKI
"DOKTOR ŻYWAGO".
MARGARET ATWOOD



WYDAWNICTWO ALBATROS



Konkretny łomot

Nie boję się robić czystej rozrywki. Ale chcę ją robić na najwyższym poziomie – mówi filmu „Dzień Matki”, w którym Agnieszka Grochowska rzuca wyzwanie gangsterom.

JAKUB DEMIANCZUK: „Dzień Matki”, opowieść o kobiecie, która nie cofnie się przed niczym, by ocalić syna, to film, jakiego chyba w Polsce jeszcze nie było?

MATEUSZ RAKOWICZ: – To jeden z punktów mojego nieformalnego dekalogu twórczego: próbować zrobić coś, czego jeszcze na naszym rynku nie było. Taki sam efekt staraliśmy się osiągnąć wcześniej przy „Najmro”. Jednocześnie korzystam ze znanych figur, kodów, czasami wręcz klisz, bo to gatunek kina, który opiera się na pewnych schematach. W „Dniu Matki” mamy bohaterkę walczącą o coś z jej punktu widzenia najważniejszego. Wiadomo, było wiele takich filmów. Ale cała zabawa w tym, jak to ująć – od scenariusza, poprzez realizację, po postprodukcję dźwiękowo-muzyczną – żeby to było coś jak najbardziej świeżego. Zwłaszcza gdy robi się coś dla serwisu streamingowego, jakim jest Netflix, i wiadomo, że to film, który będzie pokazywany w prawie dwustu krajach. Trzeba o tym myśleć.

Od początku wiedzieliście, że główną postacią będzie kobieta?

Zawsze chciałem zrobić film oparty na mocnej akcji i na walce, a to bierze się stąd, że sam ćwiczę i lubię sztuki walki. Kiedy zadzwoniłem z taką propozycją do Łukasza M. Maciejewskiego, który jest współscenarzystą filmu, myślałem, że główną postacią będzie mężczyzna. Ale gdy dołączył do nas producent Jan Kwieciński z Akson Studio, szybko uznaliśmy, że bohaterką powinna być kobieta. Niektórzy będą nas posądzać o koniunkturalizm, bo wszyscy teraz kręcą filmy

o silnych kobietach, ale z naszej strony to nie była jakaś wyrafinowana kalkulacja. Ja niemal od razu wiedziałem, że główną rolę musi zagrać Agnieszka Grochowska, choć wtedy mieliśmy dopiero jakieś wstępne założenia scenariuszowe.

Agnieszka Grochowska zgodziła się bez wahania?

Gdy do niej zadzwoniłem, najpierw się zaśmiała. Opisałem jej postać, podając kilka przykładów, takich jak „Kill Bill”, „Atomic Blonde” czy „Urowadzona”, i powiedziałem: „To jesteś ty. Czy chcesz taką rolę?”. Po chwili milczenia odpowiedziała: „Jak nie teraz, to kiedy? Próbujemy”. Produkcyjnie mieliśmy jeden istotny warunek: musiała mieć czas na przygotowania. Nie chciałem, żeby to wyglądało tak, że spotka się trzy razy z kaskaderami, wejdzie na plan i zobaczymy, co będzie, tylko rozpisaliśmy dokładnie, kiedy zaczynamy. Przygotowania od pierwszego września, na plan wchodzimy pod koniec kwietnia i ona cały ten czas, prawie osiem miesięcy, ostro się przygotowywała. Co w polskim kinie wcale nie jest często spotykane. Dużym wyzwaniem było znalezienie młodego aktora, który stworzy z nią wiarygodny duet. Syna Niny gra z powodzeniem Adrian Delikta, który jest naturalszczykiem, ale nie było wyboru: nie znaleźliśmy w Polsce czarnego, niepełnoletniego aktora zawodowego.

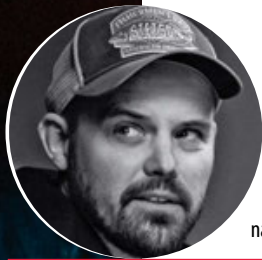
Takie kino zazwyczaj kojarzy się z testosteronem. To podobny przypadek jak Charlize Theron: świetna aktorka dramatyczna może przeskoczyć jedną nogą do kina akcji, nie tracąc wiarygodności.

Zastanawiamy się z Agnieszka, jak ta rola zostanie przyjęta. Czy coś się zmieni, kiedy widzowie zobaczą zupełnie nową twarz Agnieszki. Jej nie zależy tak bardzo na zmianie wizerunku, ale przygotowanie do tej roli to był bardzo konkretny wysiłek. Sama mówi teraz w wywiadach, że ta praca dużo jej dała, zaskoczyło ją, że ten fizyczny wycisk sprawił, że inaczej myśli o różnych sferach życia codziennego. A czy to pójdzie gdzieś dalej? „Dzień Matki” ma w finale taką sugestię, że może coś jeszcze się wydarzy. Mamy nawet konkretny pomysł, ale czy to się uda, zobaczymy.

Pod względem technicznym „Dzień Matki” to chyba kino, które wymaga sporo wysiłku?

Czasami koszmarne. Scenę walki w kuchni – ważną dla filmu i myślę, że ona będzie szczególnie zauważana – kręciliśmy wiele dni. Bardzo długo ją przygotowywaliśmy, omawialiśmy, wielokrotnie rozrysowaliśmy. Potem jest kilka dni na realizację – wynajęcie sprzętu do motion control [systemu, który pozwala na programowanie i koordynowanie ruchu kamer – red.] jest drogie, trzeba go wcześniej programować, na dodatek w tym sprzęcie jest ruchome ramię z kamerą, które waży kilkadziesiąt kilogramów, więc jak trafi na miękkie ciało człowieka, to obrażenia mogą być terminalne. Świadomość, że ocieramy się o duże ryzyko, spędzała mi sen z powiek.

I oczywiście kluczowa jest ekipa kaskaderska, która wie, co robi. Wybraliśmy team Jarka Golca, który pracuje na światowym poziomie. Miałem konkretny pomysł na to, jak ta bohaterka ma walczyć,



Mateusz Rakowicz (ur. 1977 r.) – reżyser i scenarzysta, zdobywca wielu nagród za krótkometrażowe filmy „Latarnik” i „Romantik”. Wcześniej pracował jako storyboardzista, przy „Volvie” czy „Janosiku. Prawdziwej historii”. Był asystentem Krzysztofa Zanussiego na planie „Obcego ciała”, a także współtwórca filmu „Stacja Warszawa”. Jego pierwszy film pełnometrażowy „Najmro” zdobył nagrodę za scenariusz na festiwalu Młodzi i Film w Koszalinie oraz był nominowany w kategorii najlepszy debiut na festiwalu w Gdyni.



Mateusz Rakowicz, reżyser

konkretne referencje, wiedziałem, czego chcę, a czego na pewno nie. A oni, widząc, że mają we mnie i w Agnieszce świadomych partnerów, jeszcze bardziej zafascynowali się całym projektem. Pracując nad filmem, przygotowywali tzw. prewizy, czyli krótkie filmy, które sami nagrywali i montowali po analizie scenariusza. Nie muszą mieć do tego profesjonalnego sprzętu, po prostu nagrywają próbne sekwencje walk, ale ja dzięki temu od razu widzę, gdzie są błędy, co działa, a co trzeba poprawić. Każdy z tych kroków trzeba jednak zrobić w okresie przygotowawczym. Jeśli wejdiesz na plan tylko z jakąś szeroko zakrojoną wizją, a nie precyzyjnie przygotowanym konkretem, to polegiesz.

Niektóre sceny walki wyglądają jak hold złożony konkretnym filmom akcji, np. „Oldboyowi”.

To prawda, że sporo osób już po obejrzeniu trailera uznało, że scena z tłuczkiem to cytat z „Oldboya”. Tyle że on tam używał młotka. Agnieszka używa tłuczka, co w kuchni jest raczej uzasadnione. Ale faktycznie, gdy wymyślaliśmy tę scenę, to „Oldboy” się gdzieś tam z tyłu głowy pojawiał. Nie bronie się przed tymi porównaniami, bo fajnie czerpać inspirację z dobrych scen, byle ich tylko nie kopiować w całości, tego unikam jak ognia. Sporą inspiracją były dla mnie długie master-shoty z „Atomic Blonde” i „Johna Wicka” – ujęcia, w których akcja jest prowadzona bez cięć montażowych. W „Dniu Matki” w scenie bójki z dresiarzami pod sklepem jest taka piętnastosekundowa choreografia, w której wszystko musi zagrać

co do sekundy. To był koszmar, całą scenę kręciliśmy przez trzy noce, w deszczu i zimnie, wszyscy aktorzy byli wykończeni. Już myśleliśmy, że to się nie uda, bo jeśli choć jeden element w całej choreografii się nie powiedzie, całe ujęcie trzeba kręcić od nowa. Ale jednak się udało.

Natomiast jeśli chodzi o ton całości, a nie konkretne sceny, to dużą inspiracją był dla mnie film „Nikt” z Bobem Odenkirkiem w roli głównej. Zachwyliła mnie w nim scena walki w autobusie: bardzo brutalna, a jednocześnie śmieszna. I również nieoczywista obsada: Odenkirk kojarzy się z „Breaking Bad” czy komediami, a nie gwałtownym kinem akcji.

„Dzień Matki” to kino gatunkowe, które kompletnie się nie wstydzi tego, że jest czystą rozrywką. Ono mimochodem porusza ważne tematy, ale nie udaje, że jest czymś więcej, niż jest.

Nie boję się robić czystej rozrywki. Chcę jednak ją robić na najwyższym możliwym poziomie realizacyjnym oraz kreatywnym i jeszcze dać coś od siebie. Zachować narracyjny lekkość, ale unikać banału. Jeśli poruszamy jakieś polityczne kwestie, to pojawiają się one w tle, jako element akcji. Czasami to się zgrywa z rzeczywistością, tak jak w tym przypadku, gdy mamy rosyjskojęzyczny czarny charakter. Lecz przede wszystkim chodzi o zabawę formą i konwencją. Tworzymy na ekranie świat, który tak naprawdę nie istnieje. Pytanie, jak odbierają to widzowie. Czy kupią tę konwencję, czy będą narzekać, że coś takiego nie mogło się wydarzyć, a agencja bezpieczeństwa nie tak u nas wygląda.

No właśnie, ta Polska jest bardzo umowna. Groteskowi gangsterzy, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego niczym przeniesiona z amerykańskiego filmu. PRL w „Najmro” też był wymyślony.

Kompletnie. Robiąc ten film, wiedzieliśmy też, że on powstaje dla takiej platformy jak Netflix i że będzie miał szeroką dystrybucję. Nie mogliśmy się zamknąć w lokalnych klimatach, bo film byłby znacznie mniej zrozumiały. Stąd założenie, że nie będziemy się odnosić do konkretnych realiów. Budujemy cały spersonalizowany świat, z nadzieją, że widzowie tu kupią. I ważny był humor. Nie tylko ironia, bo chowanie się za ironią też jest jakimś wyrachowaniem, którego chciałem unikać, ale nie mogliśmy podchodzić do tego tematu śmiertelnie poważnie.

„Urowadzona” z Liamem Neesonem to wzorcowe kino akcji, ale traktowane bardzo serio. My w tym przypadku wybraliśmy opowieść z nieco większym dystansem. Co nie znaczy, że zamykam się na realizację w poważnym tonie.

Czy „Dzień Matki” wyrasta z sentymentu za emocjami i przeżyciami, jakich kiedyś dostarczały panu podobne filmy?

Już po „Najmro” było widać, że jestem bardzo sentymentalny. Tam było bardzo dużo mitologizacji przeszłości, dzieciństwa, dużo vintage’u. Ja nie tylko wychowałem się na takim kinie, ale w pewnym momencie ono po prostu w moim repertuarze przeważało. Miałem kasyety wideo ze „Szklaną pułapką” czy „Zabójczą bronią”. To mnie kształtowało. Kino niemożliwe do realizacji w Polsce, choć niektórzy próbowali. Potem fascynowali mnie inni twórcy: Park Chan-wook i jego „trylogia zemsty”, Guy Ritchie, który kiedyś był najlepszym w Europie twórcą kina akcji. Mam do tego kina sentyment, a jednocześnie traktuję je czysto rozrywkowo, niczego więcej od niego nie oczekuję. Marzyłem, żeby zrobić film w takim stylu. Tak jak marzę o tym, by nakręcić film wojenny: o niedźwiedziu Wojtku z armii Andersa. Zresztą od lat nad nim pracuję.

Jest szansa, że się uda?

Nie wiem, bo cały czas jest problem z pieniędzmi. Mamy gotowy scenariusz, inspirowany książką Maryny Miklaszewskiej, sfinansowany przez PISF, ale ściana budżetowa jest na razie nie do przeskokzenia. To w ogóle pomysł, z którym przyszedł do mnie i do Łukasza dokumentalista Maciej Cuske. Nie mogę za dużo zdradzać, ale chcieliśmy zrobić film o takiej patchworkowej rodzinie: żołnierzach, wśród których są również kobiety, traktujących niedźwiedzia niczym swoje dziecko i niedających sobie go odebrać, bo Anglicy nie zgadzają się, żeby Wojtek towarzyszył polskim oddziałom. W tle exodus, wielka historia, bitwa o Monte Cassino. Duży materiał.

W jakimś sensie i „Najmro”, i „Dzień Matki” są opowieściami o sklejaniu rodziny i to niekoniecznie takiej, której członków łączy więzy krwi.

To nie było planowane. Ale to może jeden z tych pomysłów, które pojawiają się nieuświadomione. Rzeczywiście, rodzina jest elementem spajającym moje filmy.

Dłuższa wersja rozmowy na polityka.pl



Kadr z popularnego serialu „Dom z papieru”, który sprawił, że pieśń „Bella ciao” wybrzmiała na nowo.

Przejęte piosenki

Utwory muzyczne też podróżują. Pieśń „Bella ciao” przeszła długą drogę z pól ryżowych do popkultury i na protesty kobiet. Są jednak ścieżki jeszcze bardziej wyboiste.

BARTEK CHACIŃSKI

Pewnego ranka w maju 2020 r. z minaretu w Izmirze zamiast wołania do modlitwy rozległa się piosenka. Słowa były po włosku: „Alla mattina appena alzata, o bella ciao, bella ciao, bella ciao ciao ciao”. Czyli: „Pewnego ranka, gdy się zbudziłem/ O, żegnaj piękna...”. Popularność tego utworu, także w Turcji, odświeżył właśnie głośny hiszpański serial („Dom z papieru”) emitowany przez amerykańską sieć (Netflix). Globalizm w pigułce. A zarazem prowokacja polityczna – happening zorganizowały bowiem kręgi bliskie CHP, Republikańskiej Partii Ludowej, tej siły tureckiej opozycji, której przewodzi startujący w aktualnych wyborach Kemal Kılıçdaroğlu. Emisję piosenki, dość powszechnie

uznawanej za symbol oporu przeciwko faszyzmowi – we Włoszech mieli ją śpiewać podczas drugiej wojny światowej partyzanci – tureckie ministerstwo religii oficjalnie uznało za atak na wartości.

Nic dziwnego. Po tylu latach każdy twardy reżim odczytałby „Bella ciao” jako atak. Służyła za rewolucyjną pieśń na Kubie, śpiewano ją podczas manifestacji na Bliskim Wschodzie, wybrzmiała (ze zmienionym tekstem) podczas protestów przeciwko prezydentowi Bolsonaro w Brazylii i podczas polskiego Strajku Kobiet. Hit w europejskiej skali zrobił z niej w latach 60. Yves Montand, a na przełomie wieków gorącą, bałkańską wersją Goran Bregović doprowadził publiczność do szaleństwa. Tylko włoscy partyzanci – jak pokazuje film

dokumentalny Giulii Giapponesi, pokazany w Polsce na Millennium Docs Against Gravity – nie mogą sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek ją wtedy słyszeli.

Obalmy ten pał

Dokument „Bella ciao” dowodzi, że historia utworu, który zdryfował w stronę męskiego pozdrowienia „Ciao, piękna!”, miała swój początek nad Padem, na polach ryżowych, których sezonowe pracownice – słabo opłacane, za to bardzo muzyczne – stworzyły cały kanon włoskich ludowych pieśni oporu. Ale o inne szczegóły muzykolodzy spierają się do dziś, bo choć powojenną historię przeboju znamy świetnie, ta wcześniejsza opiera się głównie na ustnym

przekazie. I nie jest wykluczone, że ta rzekomo „partyzancka” wersja ukształtowała się już po wojnie. W filmie najlepiej ten fenomen podsumowuje Turczynka z zaangażowanego politycznie, lewicującego zespołu Grup Yorum: piosenki po prostu swobodnie podróżują po świecie, adaptując się do lokalnych warunków.

Polska widowia bez trudu uwierzy w tę uniwersalną zasadę. W końcu to my nadaliśmy – za sprawą spolszczonej przez Jacka Kaczmarskiego, a spopularyzowanej przez Solidarność wersji – nowy impet pieśni „L’Estaca”, w Hiszpanii śpiewanej od 1968 r. przez Lluísa Llach. Kataloński bard pisał ją na emocji antyfrankistowskiej i posłużył się metaforą pała, do którego bohaterowie są przywiązani – i tylko wspólne działanie może sprawić, że poruszają, a później obalą pał i się oswobodzą. W oryginale rzecz wykonywał u nas Zespół Reprezentacyjny. Kaczmarski w swojej interpretacji postulował, by „wyrwać murom zęby krat”. I na fali przemian w naszej części Europy polska wersja rozbrzmiewała szerzej niż oryginalna, a teraz obie żyją niezależnie od siebie. W protestach przeciwko Benjaminowi Netanjahu w Izraelu śpiewano hebrajski wariant oryginału Llach, ale już na wiecu poparcia dla uwięzionego Andrzeja Poczobuta rozbrzmiewało białoruskie tłumaczenie „Murów” Kaczmarskiego w wykonaniu Nasty Niakrasovej i Jacka Kleyffa.

Niezależnie od tego dramatycznego rodowodu „L’Estaca” żyje jednak – jak każda wielka, transgraniczna pieśń – także bardziej przyziemnym, rozrywkowym życiem. Z jednej strony pojawia się w wersjach klubowych czy techno, z drugiej – została oficjalnym hymnem kibiców jednej z czołowych francuskich drużyn rugby Union Sportive des Arlequins Perpignanais. Dlaczego? Bo to drużyna z Katalonii Północnej, w swoich barwach klubowych mająca charakterystyczne „złoto i krew”, od lat ściśle też współpracująca ze słynnym FC Barcelona (który też ma sekcję rugby). A tożsamość narodową nie od dziś wykrzykuje się głośno także na stadionach.

Czy jest ten herb?

Historyczne piosenki rewolucyjne lub pieśni protestu w czasach względnego pokoju często trafiają na trybuny. To również przypadek jednego z najbardziej klasycznych songów wszech czasów: „This Land Is Your Land” Woody’ego Guthrie’ego. Pieśń napisana podczas

drugiej wojny światowej, ze stopniowo zmienianym tekstem, zdryfowała z lewicowego manifestu w stronę ody do wartości Ameryki – kraju, w którym każdy może się wybrać w podróż „autostradą wolności”, jak śpiewa bard. A dziś zredefiniował ją klub piłkarski FC United of Manchester. Nie, nie Manchester United, tylko mały, niezależny, półamatorski klub założony przez część rozsierdzonych kibiców tej słynnej drużyny, gdy w 2005 r. Czerwone Diabły kupił amerykański miliarder Malcolm Glazer. Nie chcieli drużyny grającej dla amerykańskiego kapitału, postawili więc na wspólne działanie: sami założyli nowy klub i demokratycznie nim zarządzają. Wprawdzie FC United gra w dalekich rejonach ligi lokalnej, ale za to kibice na meczach z dumą śpiewają „This Badge Is Your Badge”, trawestując Guthrie’ego: „Ten herb jest twój, ten herb jest mój, chcieli nam go odebrać, więc go zmieniliśmy”.

Kiedy nowojorska gejowska grupa disco Village People nagrywała 45 lat temu przebój „Go West”, jej członkowie też nie wiedzieli, że trafią na stadiony. Refren nie był pustym zawołaniem. Owo „Jedź na Zachód” odnosiło się do historii Ameryki. Założyciel „New York Tribune” Horace Greeley wygłosił w XIX w. na łamach tej gazety słynny i powtarzany przez lata apel: „Jedź na zachód, młody człowieku, i rozwijaj się wraz z tym krajem” (przekład za Pomocnikiem Historycznym POLITYKI). Tyle że Village People zwracali się już konkretnie do społeczności gejowskiej, proponując, by swoją utopię zbudowała na Zachodzie, czyli w Kalifornii, gdzie prawo bardziej sprzyjało wówczas mniejszościom seksualnym.

Muzycznie utwór oparty był – jak wiele współczesnych piosenek pop – na schemacie barokowego kanonu D-dur Johanna Pachelbela. Ale szybko dostrzeżono jeszcze uderzające podobieństwo do radzieckiego (a później rosyjskiego) hymnu narodowego, który oparty jest na podobnej progresji akordowej. Gdy na początku lat 90. duet Pet Shop Boys przygotował swoją wersję „Go West” (początkowo na występ charytatywny na rzecz ofiar AIDS), w wypełnionym sowiecką symboliką wideoklipie widać było wyraźne żarty z tych podobieństw.

Sukces coveru Pet Shop Boys wywołał w 1993 r. kolejną falę szaleństwa na punkcie „Go West” w Europie. W Kopenhadze podczas meczu wyjazdowego Pucharu UEFA usłyszeli tę wersję kibice Borussia Dortmund. Uznali, że to świetny materiał na hymn drużyny. Powstał

nowy tekst: „Olé, jetzt kommt der BVB!” („Ole, nadchodzi BVB!”), zaśpiewał go Matthias Kartner z lokalnego zespołu Pur Harmony, rzecz wyszła nawet na płycie CD, którą sprzedano w 50 tys. sztuk. A sukces piosenki dał do myślenia innym europejskim klubom (m.in. Paris Saint-Germain i Schalke 04), które atrakcyjną melodię podchwyciły.

Dalszy ciąg zna każdy bywalec polskich stadionów. Nie tylko futbolowych, bo refren „Polska, biało-czerwoni” rozbrzmiewa m.in. także na meczach ▶

REKLAMA



Książka, która poruszy i zafrapuje każdego Żyda i każdego Polaka – filosemitę i antysemitę!

Autor, ocalały z Zagłady dzięki polskiej rodzinie, odsłania bolesną prawdę o historycznej roli, jaką odegrał Watykan w prześladowaniach Żydów, innowierców i innych „dusz zbłąkanych” w Europie, Azji, Afryce i obu Amerykach.

Do kupienia w dobrych księgarniach, księgarniach internetowych i na www.etiuda.net



„Mury” Jacka Kaczmarskiego rozbrzmiewały szerzej niż oryginalna wersja – hiszpańska pieśń „L’Estaca”.

► siatkówki. Melodia „Go West” trafiła na nasze stadiony – prawdopodobnie poprzez europejski obieg piłkarskich rozgrywek klubowych – jeszcze w latach 90. Zbiorowa mądrość kazała ją przeszczerpić na poziom rozgrywek narodowych. W ten sposób zdobyliśmy – drogą skomplikowanych transakcji dziejowych – czołową polską pieśń sportową, która jest zarazem odezwą do młodzieży LGBT i wariantem hymnu rosyjskiego.

Alleluja, ale to...

Przejęliśmy też słynną piosenkę Leonarda Cohena, choć droga była bardziej skomplikowana. Przede wszystkim za życia Cohen zwykle odmawiał interpretacji własnych tekstów, stąd łatwo wpaść na mieliznę – o czym przypominała niedawno Renata Lis (POLITYKA 20), pisząc o zaszytej w tekście „Słynnego niebieskiego prochowca” historii biseksualnego trójkąta. W późniejszej, wydanej na albumie „Various Positions” (1984 r.), piosence „Hallelujah” komplikacji też nie brak: są biblijne sceny, kochankowie, jest muzyka i chwala Pana refren „Alleluja”.

Cohen kwitował to w sposób tajemniczy: „Jest alleluja religijne, ale są i inne”. Może dlatego, że sam szukał właściwej wersji przez kilka lat, tworząc dziesiątki wariantów – o czym przypomina wyświetlany właśnie w Polsce film

biograficzny „Alleluja. Niezwykła historia kultowej ballady Leonarda Cohena”.

Nie byłoby jednak takiego kultu wokół samej ballady, gdyby nie jej kolejni wykonawcy. Przede wszystkim John Cale, który na wysłaną do Cohena prośbę o tekst dostał ponoć kilkanaście stron faksu i wolną rękę, by wykroić swoją wersję. Zgodnie zresztą z filozofią autora, który na relacjonowanym na naszych łamach spotkaniu w Paryżu (POLITYKA 4/12) mówił, że piosenka jest jak tofu, łatwo ją nasycić dowolnym smakiem, dowolnym rodzajem emocji. „W dobrej piosence można więc znaleźć miejsce pozwalające ją odczytać jako erotyczny impuls, lekarstwo na depresję, opowieść o samotności”.

Tak się właśnie stało w tym przypadku. Wersja Cale’a, przemontowana i skrócona, okazała się przebojem większym niż oryginał, co z kolei zainspirowało Jeffa Buckleya, który na swojej płycie (jedynej; trzy lata później tragicznie zmarł) zaśpiewał tę piosenkę pięknym, młodzieńczym głosem i naładował stricte erotyczną emocją, wspominając o tym, że to interpretacja odnosząca się do orgazmu i „ma nadzieję, że Cohen jej nie usłyszy”.

Usłyszał nie tylko on, ale i pół świata – „Hallelujah” wróciło w ten sposób na listy przebojów, później w wykonaniu Alexandry Burke zabrzmiało w finale

„X Factor”, a w interpretacji wokalne grupy Pentatonix trafiło... na album z kolegami. Było i na stadionie – k.d. lang zaśpiewała piosenkę na otwarciu igrzysk olimpijskich w Vancouver. Większość kolejnych wersji odnosiła się raczej do Cale’a i Buckleya niż Cohena. Także ta Rufusa Wainwrighta, wykorzystana w filmie „Shrek” (2001 r.), w scenie przygotowań do ślubu Lorda Farquaada i księżniczki Fiony, która przymierza suknię, ale ciągle myśli o zielonym Shreku.

Właśnie to wykonanie katapultowało „Hallelujah” na półkę z repertuarem ślubnym. Nie tylko w Polsce, ale u nas szczególnie. Żyje tu w trzech wersjach. Anglojęzycznej, oryginalnej, w dość luźno traktowanym przekładzie Macieja Zembatego, który w ślubnym kontekście brzmi zagadkowo („Kuchenne krzesło tronem twym/ Ostrzegam cię, że zabraknie sił...”), no i w wersji „liturgicznej”, która wywraca do góry nogami pieśń kanadyjskiego Żyda zafascynowanego buddyzmem. Tak, żeby dało się do niej przyjmować komunie: „Wiec chwalmy Pana głośno tak/ Za miłość tę, za wielki dar/ Śpiewajmy i wołajmy Alleluja”.

Na nic jednak tłumaczenia. Hierarchowie kościelni właśnie na przypadku „Hallelujah” oparli w ostatnich latach swoją kampanię przeciwko świeckiemu repertuarowi na ślubach. Najpierw (jeszcze w 2016 r.) objął ją zakazem wrocławski biskup Wiesław Mering, później w kieleckiej diecezji zakazano Cohena razem z ABBA i The Beatles. A gdybyśmy mieli ministerstwo religii, z pewnością ogłosiłoby atak na wartości.

Z tego sporu wokół podróżującej piosenki uśmiełby się sam Cohen. Przez lata żyliśmy bowiem w świecie bardzo płynnego muzycznie przekładu Zembatego: „Pan cieszył się, gdy Dawid grał/Ale muzyki dziś tak nikt nie czuje”. Tymczasem może chodzić o coś innego. Ironicznie rzucone zdanie „But you don’t really care for music, do ya?” to dosłownie: „Przecież i tak nie chodzi ci o muzykę”. Czyżby więc rzecz była kolejnym u Cohena dialogiem z Bogiem, któremu „nie zależy na muzyce”? Bo jeśli tak, to z pewnością nie zwróciłby uwagi na całą awanturę. A ta może za chwilę wybuchnąć ze zdwojoną siłą: na mszach ślubnych często wybrzmiewa kanon D-dur Pachelbela, wystarczy więc chwila nieuwagi i pojawi się tam „Go West”. Pewnego ranka zbudzimy się (jak ten bohater „Bella ciao”) w świecie, w którym do całej tej historii trzeba będzie dopisać kolejny rozdział.

BARTEK CHACIŃSKI

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Za nami Eurowizja i kolejny sukces TVP. Ich wybranka, Blanka, zajęła doskonale 19. miejsce. Utwór o tekście: „Jesteś gorący i zimny. Wysoki i jesteś niski. Didi dam”, musiał trafić do wszystkich. Cytując Marka Sierockiego, z innych krajów lepsi byli tylko reprezentanci San Remo.

Maciej Stuhr wyznał w podkaście Onetu, że ilekroć spotyka aktualnych pracowników TVP, to słyszy z ich ust: „Maćku, masakra, dramaty, Jezus Maria”. Z opisu jasno wynika, że linia programowa Jacka Kurskiego jest kontynuowana.

Szymon Wydra, wielka nadzieja pierwszej edycji programu „Idol”, później lider grupy Carpe Diem, dostał swój program na antenie Radia Radom. To już druga szansa w tym mieście, żeby odlecieć.

Mistrz mieszanych sztuk walki Jan Błachowicz zmierzy się na gali UFC 29 lipca w Salt Lake City z Brazylijczykiem Alexem Pereirą. To będzie ciężka walka. Z TVP Info wiemy, że Pereira potrafi faulować.

Polityk Suwerennej Polski Marcel Bielecki pogratulował Niemcom ostatniego miejsca na tegorocznej Eurowizji. W 2018 r. Marcel brał udział w radomskich wyborach Mistera Lata. Nawet w kąpielówkach wypadł jak Niemiec.

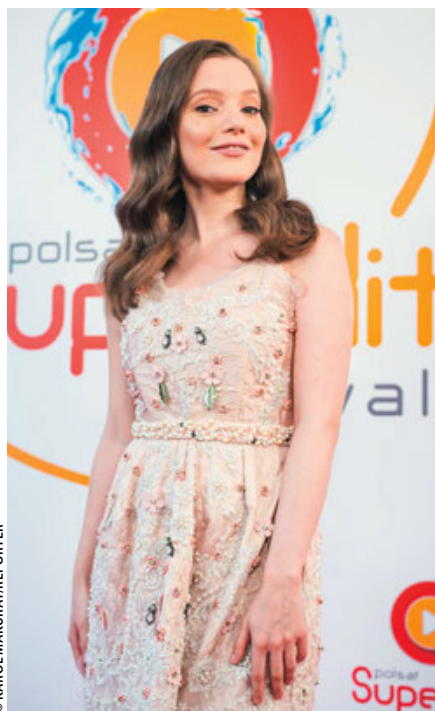
Jest pasek miesiąca. 15 maja w „Wiadomościach” TVP pojawił się tekst: „PiS ma program. Opozycja ma drgawki”. Lekarze z TVP są jak Dr House. Chamstwo i arogancję już opanowali. Teraz czas na umiejętności.

Michał Wiśniewski został ojcem po raz szósty. Jego syn będzie się nazywał Noël Cloé Wiśniewski. Ładnie. Dzieci w szkole będą miały co najmniej trzy powody, żeby go lubić.

Filip Chajzer przestaje prowadzić poranny program „Dzień Dobry TVN”. Przez własne problemy ze zdrowiem. Oto paradoks telewizji. Kiedy Filip prowadził tę audycję, to inni miewali problemy ze zdrowiem.

W nowej kampanii reklamowej sieci Żabka Janusz Chabior i Rafał Rutkowski reklamują gotowe dania i kanapki. Z gotowymi daniami jest trochę jak z Januszem. To nie uroda stanowi o ich atrakcyjności.

Influencerzy, youtuberzy i politycy są najmniej szanowanymi zawodami w Polsce. Tak wynika z badań agencji SW Research. Zaraz obok pracownik call center i ksiądz. To zresztą podobne profesje. Obie próbują nam coś wcisnąć.



© KAROL MAKURAT/REPORTER

Polska modelka Zuzanna Bijoch otrzymała tytuł najlepszego absolwenta Columbia University. Uczelnię tę ukończyło aż 101 przyszłych laureatów Nagrody Nobla. Ja bym dał Nobla twórcom teorii gruntu to zdrowie. Bo to prawda. Z każdą kolejną działką premier czuje się coraz lepiej.

16 czerwca na platformie Amazon Prime pojawi się odcinek programu „The Grand Tour”, który legendarni Clarkson, May i Hammond nakręcili w Polsce. Znam na razie jeden cytat: „Polskie auta są bardziej komfortowe. Od czego? Pchnięcia nożem”.

Serwis plotkarski Jastrząb Post, miotający się pomiędzy bezlitosną grafomanią, promocją miernot a entuzjastycznym wazelinarstwem, stracił ponad 30 proc. czytelników. Lizusostwo to szybki zawodnik. Zawsze krok przed głupotą.

Nie odczuwa pan zgrzytu moralnego, pracując w TVP? Takie pytanie dostał Tomasz Kammel. „Wszystko, co robię, jest zgodne z moim moralnym kompasem” – odpowiedział. Ciekawe. Jacek Sasin w 2020 r. dostał nagrodę Polski Kompas za sprawne podejmowanie decyzji.

A jakiej płci on dzisiaj jest? – zapytał o Piotra Jaconia w „Szkle kontaktowym” Krzysztof Daukszewicz. Słowa te bardzo oburzyły Samuela Pereirę i Dominika Tarczyńskiego. Cytując ich mistrza i prezesa: do wpół do szóstej byli homofobami, a teraz są kobietami.

Antek Królikowski usłyszał zarzut uchylania się od płacenia alimentów na swojego syna. Zaległa suma dochodzi do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Antek chyba za bardzo do siebie wziął hasło „Moje ciało, mój wybór”.

W konkursie premiery festiwalu opolskiego w TVP wystąpią: Sara Chmiel, Łukasz Drapała, Iwaneczko, Anastazja Maciąg, Seibert i inni podobni. To duża sztuka w jednym koncercie pomieścić debiuty, premiery oraz benefisy na zakończenie kariery.

Najnowszy utwór **Sanah** pt. „Marcepan” spadł z playlisty Radia Elka z Leszna, gdyż pada w nim słowo Marlboro. Brawo. Proponuję nie grać też „Chłopców z Placu Broni”, bo u nich pada słowo wolność.



Mały brat

Jak to się stało, że ulubionym bohaterem dorosłych i ich dzieci stał się wąsaty hydraulik w czerwonej czapce?

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Krytycy kręcili nosami, ale „Super Mario Bros.”, ekranizacja kultowej serii gier zręcznościowych, okazała się jak dotąd najbardziej kasowym filmem 2023 r. Tej rozbieżności w ocenach widzów i profesjonalistów nie należy tym razem szukać w niezrozumieniu materii, jaką są gry wideo. Rzecz w tym, że to film dla dzieci, który poza nostalgicznymi wstawkami nie robi żadnych ukłonów wobec dorosłych. Kolorową fantazję o baśniowym świecie zamieszkanym przez gadające i waleczne pingwiny, plemię małpoludów, muchomorki-krasnołudki czy wredne żółwie gustujące w książniczkach przygotowało studio Illumination, specjalizujące się w radosnej rozrywce i slapsticku. Gdy Disney i Pixar ścigają się na rzucanie na dziecięce głowy międzygeneracyjnych traum i obsesyjnie eksplorują motyw śmierci, Illumination zaprasza na kolejne przygody zwirowanych Minionków. Nic dziwnego, że doskonale zrozumieli się z Nintendo – japońską firmą, która swoje konsole do gier traktuje przede wszystkim jako familijne zabawki, a nie maszyny do produkowania filmowych przeżyć ukazujących mroczną stronę ludzkości, jak robi to konkurencyjne Sony.

Na początku roku satyryczny program „Saturday Night Live” nawiązał do tematu – pokazał skecz z Pedro Pascallem, w którym znany z adaptacji gry „The Last of Us” (POLITYKA 3) aktor wcielił się w mroczną wersję Mario. Wszystko to dlatego, że nowy film wyszedł w 30. rocznicę premiery aktorskiej adaptacji, w której tytułowe role zagrali Bob Hoskins (Mario) i John Leguizamo (jego brat Luigi). I ta pierwsza aktorska wersja gry wideo zapisała się w historii jako nieudana. A może została tylko niezrozumiana? Przecież gdy powstawała, kolejne odsłony „Super Mario” były prostymi grami z dwuwymiarową, raczej symboliczną grafiką, którą niezbyt dało się przełożyć na materię filmową. Konieczne było odejście od materiału źródłowego. Rozważano film fantasy (gra opowiada o bohaterze ratującym księżniczkę), w końcu powstał cyberpunkowy film o alternatywnej rzeczywistości Dinomanhattanu – ponurego miasta przypominającego Gotham z „Batmana” Burtona czy Nowy Jork z przygód „Wojowniczych Żółwi Ninjów”.

Sam jako czternastolatek takie odejście od kolorowego krasnala przywitałem z radością. Mario narodził się bowiem jako kupka kolorowych pikseli. Przed jego twórcą Shigeru Miyamoto stało trudne zadanie – jak stworzyć atrakcyjną postać do gry, gdy ma się do dyspozycji jedynie

matrycę 16 na 16 pikseli. Odpowiedzią okazała się rezygnacja z realistycznych proporcji na rzecz uroczej karykatury. Matt Alt, autor książki „Czysty wymysł” (POLITYKA 1/21), porównał nawet Mario z inną japońską ikoną stylu *kawaii*, Hello Kitty. Też słodziak, tyle że wąsaty.

Hydraulik w krainie grzybów

Mario zadebiutował w 1981 r. w platformówce „Donkey Kong”, w której wzorowany na King Kongu tytułowy goryl porwał dziewczynę (później zyskała imię Pauline). Pierwszy pomysł Miyamoto na grę polegał na adaptacji klasycznych amerykańskich kreskówek o marynarzu Popeye’u. Ówczesne warunki techniczne nie pozwoliły jednak na udane wykonanie takiej grafiki. Stąd Mario – dziecko kompromisu. Dzięki wąsom nie trzeba było mu rysować buzi, czapka skrywała włosy, a robocze ogrodniczki sprawiały, że ręce stawały się dobrze widoczne. Był pierwszym bohaterem gier, który umiał skakać po platformach – początkowo nawet nazywał się Jumpman i był stolarzem (w grze rzucił młotkami). Swoje włoskie imię zyskał na cześć Mario Segale, amerykańskiego biznesmena, który wynajmował magazyn dla amerykańskiej siedziby Nintendo. Gra, odróżniająca się od dominujących wówczas strzelanin („Space Invaders”) i labiryntówek („Pac-man”), stała się sukcesem.

Shigeru Miyamoto urodził się w 1952 r. i nie był programistą, tylko projektantem. I dlatego zrewolucjonizował gry wideo, wcześniej tworzone przez inżynierów – stąd właśnie dominującym gatunkiem były kosmiczne strzelaniny, tworzone przez fanów pulpowych planetarnych romansów. Miyamoto nie sądził, że Mario zdobędzie popularność jako postać. W sekwelu „Donkey Kong Jr.” wążacz stał się postacią negatywną, a bohaterem – młody goryl usiłujący uwolnić uwięzionego w klatce ojca.

W 1983 r. Mario dalej był postacią z gier wideo, ale zmienił zawód – stał się hydraulikiem. W grze „Mario Bros.” pojawił się wraz z bratem („zielonym Mario”), nazwanym Luigi. Dzięki temu w zabawie mogło uczestniczyć dwoje graczy jednocześnie. Tym razem, zamiast placu budowy rodem z amerykańskich kreskówek, tłem były rury – typowy element krajobrazu Japonii, w której dorastał Miyamoto. Pozostawione po okresie szybkiej modernizacji betonowe rury służyły często jako element placu zabaw. A bracia Mario, skacząc po platformach, walczyli z plagą żółwi.

Coś z dziecka

W 1983 r. Nintendo za sprawą konsoli Famicom (skrót od „komputer rodzinny”) przeprowadziło elektroniczną rozrywkę z salonów gier pod strzechy. Dwa lata później wyprodukowana przez tę firmę konsola Nintendo Entertainment System zadebiutowała w Ameryce, wygłodniałej po załamaniu rodzimego rynku gier wideo. Jednym ze sztandarowych tytułów był właśnie „Super Mario Bros.”. Przed braćmi Mario stało zupełnie nowe wyzwanie – przemierzyć Królestwo Grzybów (do którego prowadzi rura z Nowego Jorku), pokonać wrednego żółwia Bowsera i uratować porwaną księżniczkę Peach. W przeciwieństwie do zajmujących jeden ekran plansz poprzednich gier tu gracze poruszali się przez długie, płynnie przesuwające się poziomy. Pierwszy etap, słynny World 1-1 w sprytny sposób uczący zasad gry, został oddany w nowym filmie w scenie przebieżki po Brooklinie.

Gra była bardzo szybka (Miyamoto nazywał gatunek zręcznościówek „grami atletycznymi”) i wprowadzała wiele nowych elementów, takich jak używanie pokonanych wrogów w roli pocisku, znajdowanie supermocy i odkrywanie sekretów przez wchodzenie do zielonych rur. Kolejne gry z serii rozwijały te pomysły i dodawały nowe. A ekscytację graczy



Mario jako negatywny bohater w grze „Donkey Kong Jr.”. Obok: kadr z filmu „Super Mario Bros.”

podsycała odgrywająca ważną rolę muzyka Kōjiegō Kondō.

Gra zdefiniowała nowy gatunek, więc doczekała się licznych naśladownictw i klonów. Na Commodore 64 (POLITYKA 38/22) europejscy gracze mogli poznać przygody sióstr „Great Giana Sisters”, co spotkało się ze stanowczą reakcją prawników Nintendo (dziś gra jest znowu dostępna, doczekała się też współczesnej kontynuacji). Z inspiracji doświadczeniami tych, którzy chcieli przejść World 1-1 jak najszybciej, zrodziła się z kolei gra „Sonic The Hedgehog” na konkurencyjne konsole firmy Sega. Sonic był sprzedawany jako przeciwieństwo „infantylnego” Mario, w czym celował zwłaszcza amerykański oddział Segi. Miał być cool, tak żeby podobać się wychowanym na MTV czternastolatkom – choć tak naprawdę jest całkiem słodką maskotką. Uroczę były też Pokemony, inny hit Nintendo, chociaż Amerykanie rozważali przerobienie oryginalnych grafik na „stylizację graffiti”.

Faktem jest, że Mario ma w sobie coś z dziecka – to właściwie brzdąc z doklejonymi wąsami. Jeszcze na grafikach z automatów „Donkey Kong” wyglądał jak kulfon rodem z „Popeye’a”, ale szybko zyskał bardziej urocze kształty, z jakich jest znany dziś. Rewolucją stała się gra „Super Mario 64” – która na nowo zdefiniowała gatunek gier zręcznościowych. Tym razem wąsaty hydraulik przemierzał w pełni trójwymiarową krainę. Kolejne odsłony na kolejne generacje konsol dzięki coraz lepszej grafice coraz bardziej przypominały po prostu film animowany. Twórcy adaptacji z 2023 r. przyszli więc właściwie na gotowe.

Świat gier Nintendo zaludniały kolorowe urocze postaci. Księżniczki (Peach i Daisy, wbrew pozorom bardzo bojowe), muchomorki, dinozaur Yoshi. Donkey Kong (wraz z rodziną) został bohaterem własnej serii gier. Nawet negatywni bohaterowie nie są odrażający, tylko sympatyczni. Wredni Wario i Waluigi – wprowadzeni dla urozmaicenia jako antybracia Mario – kojarzą się najwyżej ze ślapstickowymi przygłupami z anime o „Yattamanie”. A dodatkowo cała ferajna, łącznie

z postaciami negatywnymi, spotykała się regularnie w innych grach, takich jak „Mario Kart” (seria uroczych wyścigów), czy przeróżnych wydarzeniach sportowych. Mario z koleżanstwem grali w tenisa, golfa lub piłkę nożną, dodając do klasycznej rozrywki nieco magii. Mario i Sonic pojechali nawet razem na wirtualną olimpiadę (co było możliwe po wycofaniu się firmy

Sega z rynku konsol i skupieniu na produkcji oprogramowania).

Mario łączy pokolenia

Chociaż na wszystkich platformach znajdziemy produkcje przeznaczone dla dzieci, to jedynie Nintendo traktuje ten rynek poważnie, reklamując rodzinną rozrywkę. Dobrym przykładem jest turniejowa strzelanina „Splatoon 3”, gdzie zamiast karabinów i terrorystów występują dziewczynki-ośmiorniczki grające w paintball. Uroczych bohaterów w stajni Nintendo jest więcej – jak wszystkichżerny Kirby czy zwierzęta ze świata „Animal Crossing”.

Mario stał się więc bohaterem dla kilku pokoleń – gdy dzieci odkrywają jego przygody w nowych odsłonach na Nintendo Switch i bawią się interaktywnym Mariem z klocków Lego, dorośli żyją wspomnieniami o konsolce NES (lub w przypadku Polski – jej klonie Pegasusie), napędzanymi przez przemysł nostalgii (film „8-bitowe Święta” z 2021 r. czy model konsoli z klocków). O Mario nie zapomnieli także poważni gracze – wciąż trwa wyścig, kto ukończy tę liczącą niemal cztery dekady grę w jak najkrótszym czasie (obecny rekord to 4:54.798, bo tu walka toczy się o tysięczne części sekundy!). Popularne są również hobbystyczne wersje gry, które stawiają przed graczem nieludzkie wyzwania. Poważnych miłośników ma wreszcie seria „Super Smash Bros.”, w której bohaterowie gier Nintendo spotykają się na turnieju walki. Mario i ferajna są też od lat wdzięcznym tematem twórczości fanowskiej, od obrazków, przez parodie i piosenki, po ironiczne przebieżki (jak popularna na TikToku „seksowna” wersja wąsatego Waluigi czy Bowsette, damska wersja Bowsera).

Siłą Mario jest jego prostota – chociaż jego wirtualny świat obrastał w fabułę, chociaż zyskiwał nowe moce i poznawał nowe postaci, to w duchu jest to ciągle ten sam sympatyczny wążacz zrodzony z matrycy 16 na 16. Widać to zarówno w kolejnych grach, jak i w nowym filmie, który na szczęście nie stara się udowodnić, że musi być czymś więcej niż rodzinną rozrywką wykonaną na wysokim poziomie. ■



Nie ma takiego koryta

Ishbel Szatrawska

Są dwie domeny, w których partia rządząca czuje się jak ryba w wodzie. Są to godne podziwu akrobacje związane z obsadzeniem stanowisk – często zwane pieszczotliwie „krótką ławką” – oraz rekonstrukcje historyczne. Niezależnie od tego, czy chodzi o buńczuczne zapewnienia o odbudowie Pałacu Saskiego, być może w zamyśle będącej rekompensatą za fiasko programu Mieszkanie Plus, czy o awanturę o IPN z 2018 r., PiS – wzorując się na swych duchowych przywódcach z czasów PRL-u – szczególnie ceni projekty, które mają rozmach i odpowiednie ideologiczne załącze.

I tak na przełomie kwietnia i maja tego roku, gdy jeszcze nie ucichła nagonka rozpetana wokół wyrwanych z kontekstu i przeinaczonych słów prof. Barbary Engelking, partia stwierdziła, że warto zainwestować w kolejnego wiernego decydenta, oczywiście obsadzając go na odpowiednim stanowisku. Tym razem padło na kultowy „Dialog”, miesięcznik, który od 1956 r. zajmuje się współczesną dramaturgią, ale także teatrem, performansem, filmem i szeroko pojętymi sztukami audiowizualnymi. Z powodu przejścia na emeryturę Jacka Sieradzkiego chwilowo nie miał redaktora naczelnego. Miesięcznik przeżył już podobną sytuację pół wieku temu. W wyniku antysemitkiej nagonki z 1968 r. zmuszono do wyjazdu dotychczasowego redaktora naczelnego tego pisma Adama Tarna, a w ministerialnej teźce do redakcji przybył Stanisław Stampf'l. Pamiętacie może takie nazwisko? No właśnie.

Szansę na to, że zapamiętamy nowego naczelnego „Dialogu” Antoniego Wincha, są raczej mizerne. Dwa dramaty opublikowane niegdyś na łamach tego szacownego pisma (*been there, done that*, serio, są nas setki), doktorat napisany pod opieką prof. Lecha Sokoła, do tego felietony na portalu teatrologia.info i wybitnie grafomańskie fragmenty tekstów dramatycznych, które zalały internet po ogłoszeniu nazwiska nowego naczelnego – tyle można na razie powiedzieć o Winchu.

Nie poznał się na nim PAN. Nie poznała się na nim Rada Naukowa „Dialogu”: profesorowie Leszek Kolankiewicz (UW), Dariusz Kosiński (UJ), Janusz Degler (UWr), a nawet dawny promotor naczelnego Wincha, Lech Sokół (IS PAN), złożyli rezygnację na ręce prof. Małgorzaty Szpakowskiej i tym samym 8 maja

Rada została rozwiązana. Coś nie umie się na naczelnym Winchu poznać nawet jego własna redakcja, gdyż dzień później wystosowała apel o jego rezygnację ze stanowiska. Chciałabym niniejszym wstawić się za tym młodym i ambitnym człowiekiem.

Po pierwsze, z dotychczasowego dorobku wynika, że za wiele redaktor Winch nie osiągnął. Ale błędem byłoby przyglądać się jedynie osiągnięciom naukowym czy artystycznym. Naczelnym Winch z powodzeniem utrzymuje się na dwóch innych stanowiskach, w dodatku pozostających w konflikcie interesów z tym nowo objętym: jest kierownikiem literackim świeżo odbitego przez PiS Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi (tu na dyrektorskim stołku zasiadł mąż posłanki z partii rządzącej) oraz członkiem redakcji „Twórczości”. I do tego właśnie doszedł „Dialog”. Trzy etaty! Toż to tytan pracy!

Po drugie, nie można być małostkowym. Ryba wszak psuje się od głowy. Z końcem kwietnia wiceministra Wanda Zwinogrodzka (też teatrolożka) odeszła z Ministerstwa Kultury na emeryturę. Wróciła po bodajże dwóch tygodniach i minister Gliński przyjął ją z otwartymi

ramionami. Ale co emeryturka pobrana, to emeryturka pobrana, zwłaszcza jeśli oprócz tego ma się ministerialną pensję. Być może więc naczelnym Winch jest zupełnie niewinny całemu zamieszaniu i jedynie uczy się od najlepszych. A jak wiadomo powszechnie, jeśli państwo daje się doić, to dlaczego tego nie robić? I kij z tym, że w takiej samej sytuacji Iksiński musi się gęsto tłumaczyć i dokładnie rozliczać, a urzędnik za podobne działania dostanie premię i wpis w Wikipedii – przecież urzędnik jest ponad to! Zresztą teatrolożdy to śmiech na sali. Nie takie akrobacje Sasin z Glapińskim widzieli.

Po trzecie, czepianie się grafomanii naczelnego Wincha jest okrutne. Faktem jest, że nasz bohater wielbi twórczość Mrożka i może faktycznie szkoda, że niczego się z tego Mrożka nie nauczył. Bo ani w tym lekkości, ani złośliwości, ani poczucia humoru. No ale nie od razu Rzym zbudowano, prawda? Jak się jest naczelnym „Dialogu”, członkiem redakcji „Twórczości” i kierownikiem literackim dużego instytucjonalnego teatru, w końcu można rozwinąć skrzydła. W przyszłym sezonie teatralnym zaleją nas dramaty Antoniego Wincha, na których tak haniebnie nikt się nie poznał. Będą w „Dialogu”, w „Twórczości”, na deskach łódzkiego teatru, wygrają wszystkie festiwale, bo która komisja chciałaby zadzierać z pupilkami Ministra Kultury? Czyż to nie genialne w swej prostocie? Determinację to ja akurat szanuję. I to bardzo.

Atak zupełnie na poważnie. Młody człowieku, uwikłany w strategię dużych i bezwzględnych graczy, ratuj się, póki możesz. Jeśli nie chcesz zostać drugim Stampf'lem, jeśli wierzysz w to, co robisz, bierz nogi za pas. Nie ma koryta tak dużego, nie ma na świecie koryta, które pozwoliłoby się tak nażreć, żeby wynagrodzić to, co nastąpi później – popadnięcie w całkowite zapomnienie. A to się prędzej czy później zdarzy, bo żadna władza nie trwa wiecznie. PiS doskonale o tym wie, stąd nienasyceństwo i pazerność.

Oceniam ambicje Antoniego Wincha na daleko większe niż tylko krótki moment kompulsywnego rozpasania, które zapewnia gładki od partii. Stanowiskiem nie przechodzi się do historii. Panie redaktore, proszę jednak wrócić na uczelnię.



Ishbel Szatrawska (ur. 1981 r.) – dramatopisarka i teatrolożka, nominowana do Paszportu POLITYKI za dramat „Żywoć i śmierć pana Hersh Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia” (wyd. Cyranka).



Przepraszam, że tu biją

Jeśli jeszcze raz go pani uderzy, dzwonię na policję!” – krzyknęła sąsiadka do kobiety, która kłapsem usiłowała zmusić do wstania chłopczyka kładącego się na chodniku.

„Nie pani sprawa” – warknęła tamta w naszą stronę. A potem ze łzami w bezradnym głosie dodała: „Nie wiem już, co mam z nim robić, nie chce iść do przedszkola, a ja od pół godziny powinnam być w robocie. Mam go złać w domu, żeby pani nie widziała?”.

„Mój syn też tak robił” – wtrąciłem się – „też się kładł na ziemi z różnych powodów. Nie ma rady, trzeba z nim rozmawiać albo go przekupić”.

„Kiedyś uderzysz go za mocno” – odrzyknęła zdenerwowana sąsiadka.

„No już, już, wystarczy, pani zrozumiała” – uspokajałem, po czym pochyliłem się nad małym: „Wstaniesz za dyche?”. Patrzeliliśmy przez chwilę, jak skręcają w Zajączka. Ja nieco dłużej, bo sąsiadka mruknęła coś pogardliwie i poszła.

Gniew odbiera rozum. I całe szczęście, bo w przypadku pobitych na śmierć dzieci racjonalizacja potworności jest dla większości z nas nie do wytrzymania. Niech te tragedie rodzą niesłabnący gniew, który każe nam reagować na każdy kłaps, nadzorować i karać dorosłych przemocowców, wierzyć dzieciom bardziej niż rodzicom i opiekunom.

Wobec przemocy warto na powrót użyć rozumu, aby spróbować pojąć, dlaczego jest tak pociągająca, zwłaszcza kiedy o niej czytamy lub oglądamy ją na ekranie. Nie ma nikogo, kto byłby wolny od tej niepokojącej przyjemności. Jedni będą się nurzać w „Teksańskiej masakrze piłą mechaniczną”, inni kibicować Alkowi, Rudemu i Zośce, żeby zabilili jak najwięcej Niemców, a jeszcze inni nucić z aniołami radosny hymn, kiedy Podbipięta zetnie głowy trzem Turkom. Zaś wszyscy pospołu policzymy na głos z Gimlim i Legolasem, który zabił więcej orków.

„Oglądanie przemocy dobrze robi człowiekowi, a zadawanie jeszcze lepiej” – twierdził z właściwą sobie bezwzględnością Nietzsche. Co do pierwszego miał całkowitą rację. Wielka kultura literacka Zachodu rozpoczyna się wszak od epickiej pochwały zabijania, którą jest „Iliada”. Uwniosłona w ten sposób przemoc wojenna stała się na wiele wieków domeną męskich bohaterów i ukształtowała najbardziej wpływowy i popularny typ bohatera epickiego, którym jest mężczyzna gotowy do zadawania i doznawania przemocy oraz śmierci. Siła tego wzorca męskości opartego na gotowości do przemocy skutkuje także w rzeczywistości, począwszy od ideału żołnierza przez kibolskie ustawki i zwykłe bójki aż po sport ekstremalny („lodowi wojownicy”). Przez wieki gender przemocy był męski, a kultura honoru wojennego nie oczekiwała i nadal nie oczekuje od kobiet, że będą zabijały i szły ochoczo na śmierć. Przeto i karty literatury były dla kobiecej przemocy zamknięte. Jeśli już ją czyniły, to w męskim przebraniu jak Klorynda („Jerozolima wyzwolona” Tassa) czy Grażyna („Grażyna” Mickiewicza)

albo podstępnie jak biblijna Judyta czy Milady („Trzej muszkietierowie” Dumasa). Tym bardziej warto zauważyć oryginalność Sienkiewicza, który w „Trylogii” stworzył postać młodej dziewczyny, która lubi zabijać. Baśka

Jeziorkowska, kiedy ją poznajemy, ma już na koncie trzech Tatarów, a później dołoży kilku kolejnych, biorąc udział w potyczce, aby na koniec swojej zabójczej kariery wybić swojemu niedoszłemu kochankowi oko kolbą pistoletu.

Baśka jest zwiastunką epoki kobiecej przemocy w literaturze, komiksie i filmie. Kultura popularna będzie stopniowo przez cały XX w. rozwijać ten wątek, aby na przełomie tysiącleci mógł rozkwitnąć w postaciach porwijających morderczyń, jak Ciri (cykl o Wiedźminie), Lara Croft („Tomb Raider”), Panna Młoda („Kill Bill”), Lisbeth Salander („Millennium”) i wiele innych niepoliczonych. Można zaryzykować, że w kulturze popularnej emancypacja kobiecej przemocy postępuje bardzo dynamicznie, podczas gdy w życiu wciąż biją się i walczą głównie mężczyźni.

Nikt nie dowiódł bezpośredniego związku między obcowaniem z fikcyjną przemocą a jej rzeczywistym zadawaniem. Zanim więc przekonamy się, czy przemiany kultury wizualnej zmieniają rzeczywistość, zauważmy, że istnieje ponura tradycja przemocy pedagogicznej, w której uczestniczą pospołu kobiety i mężczyźni. W zakonnych domach dziecka od Zabrza po Ottawę, w świeckich szkołach i w chrześcijańskich domach cywilizowanego Zachodu niemal do ostatnich dekad XX w. mężczyźni i kobiety byli zgodni, że dobre wychowanie dzieci oraz ich postępy w nauce wymagają bicia. Nie inaczej było w powojennej Polsce, gdzie w szkołach stosowano kary cielesne za milczącym przyzwoleniem władz i rodziców. Najpopularniejszą karą fizyczną w mojej podstawówce było uderzenie w otwartą dłoń drewnianym wskaźnikiem lub linijką. Nie wszyscy nauczyciele korzystali z tego środka, ale każdy mógł. Czasem był to bezbolesny teatr, a czasem uderzenia, które zostawiały opuchliznę. Nie było też ani jednego kumpla z mojego dzieciństwa, który choć raz nie dostałby w domu lania. Z moich doświadczeń wynika, że częściej biły matki niż ojcowie. I to zarówno chłopców, jak i dziewczynki; płęć nie chroniła przed biciem – ani w domu, ani w szkole. Choć tak niedawne, kary fizyczne w szkole słusznie uważamy dziś za niedopuszczalne. Nadal jednak nie sposób stworzyć świata bez przemocy, dlatego tak ważne jest uznanie, że każde jej użycie, nawet uzasadnione, jest zawsze porażką – dyplomacji, demokratycznej polityki, edukacji, pedagogiki, mądrej argumentacji, uprzejmej rozmowy – porażką człowieka jako istoty rozumnej i moralnej.

Czy także wtedy, gdy bawi nas widok Indiany Jonesa zabijającego z pistoletu rywala, który ma tylko miecz? Nie byłbym tak surowy. Choć wystawia to na pośmiewisko mój rozum, moją moralność i empatię, pocieszam się, że być może mądrość ludzkiego gatunku stworzyła fikcję, aby nasze mroczne instynkty tam znalazły ujście.

RYSZARD KOZIOŁEK

Zamorskie więzienia



Pamiętają Państwo gwiazdę WNBA Brittney Griner? Tę ciemnoskórą amerykańską koszykarkę z dredami do pasa, wysoką na dwa metry i do tego szczęśliwie żoną (zresztą po raz drugi), która przyleciała do Rosji grać w koszykówkę, ale na lotnisku w Moskwie została aresztowana pod naciąganiem zarzutem posiadania narkotyków i po „procesie” trafiła do łagru w Mordowii, sąd wypuszczono ją po kilku miesiącach w zamian za handlarza bronią Wiktora Buta. Więc właśnie ta Brittney Griner wydaje teraz wspomnienia ze swego przymusowego urlopu za kratami i drutami Federacji Rosyjskiej. Książka ukaże się nakładem renomowanego nowojorskiego wydawnictwa, datę premiery wyznaczoną na wiosnę przyszłego roku objawiono z wielką pompą już parę tygodni temu, a moralny ciężar tej nadzwyczajnej zapowiedzi wydawniczej zwiększa towarzyszące materiałom prasowym zdjęcie autorki w króciutkiej poлагiernej fryzurze. Wieje grozą, bez dwóch zdań. Ale czy ta groza jest czymś nowym? Czego jeszcze nie wiemy o rosyjskim systemie penitencjarnym, że relację Griner reklamuje się jako elektryzującą nowość? Ukraińska lotniczka Nadia Sawczenko, rosyjski historyk Jurij Dmitrijew czy wreszcie Aleksiej Nawalny – o realiach uwięzienia przez Rosję każdej z tych postaci od dawna wiadomo wystarczająco dużo, żeby nie mieć złudzeń.

O tym, że w rosyjskich więzieniach od lat 30. ubiegłego wieku nie zmieniło się wiele, upewniają też świeże opowieści o moskiewskim Lefortowie, gdzie pod fałszywym zarzutem szpiegostwa przetrzymywany jest korespondent „The Wall Street Journal” Evan Gershkovich. Nie może on liczyć na szybką wymianę tak jak Griner, bo Rosja z całą beczelnością swojego cynizmu obstaje przy zasadzie „szpieg za szpiega”, a tak się składa, że w amerykańskich więzieniach występuje w tej chwili ostry deficyt szpiegów rosyjskich. Dziennikarza czeka więc dłuższy pobyt w położonej pięknie wśród zieleni zabytkowej placówce, którą FSB wymyśliło sobie od początku jako więzienie o ciężkim rygorze, w odróżnieniu od takiej chociażby Łubianki, która służyła najpierw za elegancki hotel. Ukazujące się w związku ze sprawą Gershkovicha reportaże o codzienności Lefortowa brzmią jak żywcem wyjęte ze wspomnień Sołżenicyna, Wata czy Nadieždy Mandelsztam: pełna izolacja i cisza; podzwaniający kluczami strażnicy w umówiony sposób uprzedzający kolegów, że prowadzą więźnia; zimne pokoje przesłuchań z oknami na pusty dziedziniec, osiatkowane spacerniaki na dachu itd. Funkcja tych materiałów jest jasna: mają wywierać presję na władze, budować solidarność z więźniem i nie dać zapomnieć o jego losie. Tylko tyle; nie muszą być odkrywcze ani dobrze napisane.

Jednak nie tylko wartość historyczna i literacka odróżnia dzisiejsze doniesienia o rosyjskich więzieniach od relacji świadków historii XX w.

Kiedy Sołżenicyn, Wat i inni relacjonowali zło, którego doświadczyli, czynili to ogromnym kosztem osobistym. Rozpoczynali tango ze śmiercią i prędzej czy później ściągali sobie na głowę jak nie tajną policję, to chorobę bólową i samobójstwo. Do legendy przeszły sensacyjne opowieści o pisaniu i przemycaniu na Zachód „Archipelagu GUŁag” czy „Wspomnień” Nadieždy Mandelsztam; martyrologicznej historii swego powstawania doczekał się także „Mój wiek” Aleksandra Wata. Świadkowie historii charakteryzowali się tym, że gotowi byli poświęcić dla świadectwa bardzo wiele, czasem wszystko. Wierzyli, że ujawnienie prawdy odda sprawiedliwość ofiarom, zdemaskuje ludobójczy system i na zawsze obedrze nas ze złudzeń. Sami usuwali się w cień: doskonale wiedzieli, że przetrwanie nie jest zasługą ani tym bardziej powodem do dumy.

Mówili w imieniu wielu: do własnych doświadczeń dołączali cudze, powierzone im przez towarzyszy niedoli, czując na sobie ciężar ostatniej nadziei pozbawionych głosu. Oddawali hold zamęczonym i przestrzegali następne pokolenia. Status świadka stawał się dla nich formą istnienia: pozwalał im spłacać przynajmniej odsetki od niespłacalnego długu, ucieleśniać prawdę o naturze człowieka. Ujmując rzecz najzwyczajniej: uratowani z piekła świadkowie historii zaświadcza- li przede wszystkim o tym, że z piekła w istocie nie ma powrotu.

Co stało się z nimi dzisiaj? Czy „Archipelag GUŁag” utracił moc? Rozum odpowiada, że to niemożliwe: świadectwa nie zużywają się przecież jak kostka mydła. A jednak to Brittney Griner ze swoją marketingowo opakowaną „surową, poruszającą” historią pełną „barwnych szczegółów” zajmuje dziś miejsce Sołżenicyna. Za kilka miesięcy miliony będą czytały o tym, jak trudno jej było poruszać się po „bizantyńskim systemie prawnym” bez znajomości języka i jak „przerazająca” była dla niej codzienność kobiecej kolonii karnej. Sednem opowieści, jak informuje wydawca, będzie poczucie zagubienia oraz psychiczna siła, która pozwoliła Griner przetrwać i szczęśliwie powrócić do domu. Już teraz widać, że wszyscy będą zadowoleni: czytelnikom dostaną się „emocje”, autorce i wydawcy – pieniądze, Rosji – święty spokój. Później książka zarosnie kurzem na półce obok innych relacji o Amerykanach przeżywających piekło w „zamorskich więzieniach”. Za górami, za lasami. A najważniejsze, że „szczerze” i z happy endem.

RENATA LIS

†
Dziś to Brittney Griner ze swoją marketingowo opakowaną „poruszającą” historią zajmuje miejsce Sołżenicyna.



Etyczne rekiny

Zaproszono mnie ostatnio do udziału w dyskusji na jeden z klasycznych tematów etyki biznesu.

Nazwa tej szlachetnej dyscypliny nie padała ani razu, gdyż cieszy się ona może i dobrą, lecz jakże niewielką sławą wśród prezesów, aczkolwiek istota rzeczy wybrzmiała. Szło mianowicie o to, czy te wszystkie piękne słówka o etyce i wartościach w to biznesie na serio, czy może to tylko zasłona dymna, skrywająca brutalną chciwość. Zdania były podzielone. Jednych kusiło zdzieranie masek obłudzie, innych wzruszało piękno dobroczynności. A na koniec wyszedł bardzo nie lubiany przez władze szef bardzo nie lubianej przez władze organizacji biznesowej i powiedział, że wprawdzie biznesmeni są od zarabiania, to jednak od jakiegoś czasu trochę się dzielą i trochę uważają, co robią ludziom i przyrodzie.

Ten pan był tak miły i tak go władza nie lubi, że nie mogę mu nie wierzyć. Pokornie więc uznaję i przyznaję, że fundacji i wszelkiej beneficjencji z Bożą pomocą przybywa, a kontaminacji natury za to ubywa, lecz jako potomek wszystkiemu winnych, obrzydliwie bogatych burżujów i trucicieli ojczystego przestworu, pozostanę na przypisanym mi przez historię a rodzica stanowisku socjalizmu i ekspiacji klasowej.

Ale na serio, bo sprawa jest poważna. Biznes to też nie zabawa. Żyjemy, bo dzięki coraz to nowszym technologiom i kumulacji kapitału utrzymanie człowieka staje się coraz tańsze. Gdyby nie rynek i konkurencja, nadal byłby nas miliard. Kapitalizm daje życie. Lecz warunki są twarde. Dyktuje nam je natura, w tym również ta ludzka. Każdy chce kupić tanio, a sprzedać drogo. Na rynku mogą przetrwać ci, którzy zdołają wycisnąć najwięcej z zatrudnionej siły roboczej, potrafią jej nie marnować i nie popełniają biznesowych błędów. Brutalnie tnąc koszty, są w stanie funkcjonować na minimalnej marży zysku, wszelkimi metodami poszerzając swoje udziały w rynku i dostarczając coraz to atrakcyjniejsze i tańsze produkty. Wszelki etos, wszelkie ideały, wszelkie plany dobroczynności, misje, etyki i aksjologie muszą się do tego dostosować. Pięknoduszostwo jest w biznesie grzechem, bo obniża wydajność. Co zaś godzi w interes firmy, szkodzi jej pracownikom. Jest więc nieodpowiedzialne i niemoralne. Biznes jest twardy i trzymanie się reguł jest jego pierwszą i nadrzędną zasadą etyczną.

Nie znaczy to, że wszystko wolno. Znaczą zaś tyle, że misja przedsiębiorcy, wartość użytkowa i społeczna wytwarzanego przez niego produktu, dobro, jakim jest uczciwa i rzetelnie wynagradzana praca, dbałość o przyrodę i wszelkie fundacje na rzecz wartościowych celów społecznych – to wszystko, co składa się na etyczny i społecznie odpowiedzialny biznes, musi się albo opłacać, albo przynajmniej podnosić koszty działalności w tak niewielkim stopniu, aby nie zagrażało

to przewadze konkurencyjnej i zyskom firmy.

Dlatego w biznesie etyka musi być poniekąd towarem. Ideały, marzenia i wartości

trzeba wmontować w politykę wizerunkową firmy i jej marketingową strategię. Inaczej się nie przebije i nie przetrwa. Nie ma w tym nic złego, jeśli chwale się uczciwością, rzetelnością, odpowiedzialnością ekologiczną i zgadza się to z faktami, a nie opiera tylko na tanich, ale fałszywych pozorach. Mam do tego pełne prawo. Owszem, ta autoreklama ma mi pomóc i wzmocnić mój biznes. Ale nie znaczy to wcale, że jestem cyniczny i pięknie postępuję wyłącznie dla zysku. Wcale nie wyłączam!

Etyczny biznes ma i prawo, i obowiązek się chwalić. Bo dzięki temu klienci otrzymują jasny komunikat: jesteście etyczną firmą i wiąże się to z pewnymi kosztami; wybierz nasz produkt, abyśmy dzięki temu nadal byli tacy, a nawet lepsi. I teraz piłeczka jest po stronie nas, konsumentów. To od nas zależy, czy nagrodzimy dobre warunki pracy, dbałość o przyrodę oraz charytatywne przedsięwzięcia firmy, której produkty możemy kupić.

Im bardziej brutalne są warunki w danej branży, tym bardziej los przedsiębiorcy zależy od konsumentów. Czy jest nim konkretny człowiek, czy firma, to od „konsumentckiego wyboru” zależy, co zostanie docenione i nagrodzone, a co pominięte i wzgardzone. Etyczny biznes jest pochodną poziomu moralnego społeczności, dla której wytwarza swoje produkty. Chciwość i altruizm, podobnie jak uczciwość i nieuczciwość to tylko binarne kategorie, mające pomóc w poznaniu i opisanu złożonej moralnej rzeczywistości. Nic nie jest tutaj i nie musi być albo czarne, albo białe. W prawdziwym życiu nie ma „świętych”, a piękne moralnie postępowanie nie polega po prostu na przybliżaniu się do jakiegoś niby to oczywistego ideału. Nie ma żadnego ideału, choć bywają dobre wzorce. Nie ma jasnych kryteriów postępowania, lecz rozmaite wybory, spośród których jedno są złe, inne w oczywisty sposób lepsze, a jeszcze inne mają w sobie coś wyjątkowego i godnego podziwu, choć z różnych względów nie zawsze da się i nie zawsze należy je naśladować.

Życie jest złożone, a nasze moralne oceny uproszczone. Pamiętanie o tym to nie żaden relatywizm, lecz moralna i intelektualna odpowiedzialność oceniającego. Etycy potrafią dostrzec niuanse i mało widoczne czynniki sytuacji moralnych, które utrudniają diagnozy etyczne, czyniąc je bardziej sprawiedliwymi, lecz mniej efektywnie jednoznacznymi. Tym bardziej trzeba docenić to, że wiele firm zatrudnia dziś etyków, aby pomagali prezesom nawigować wśród zagrożeń, konfliktów i sprzecznych racji. Nawet jeśli najczęściej prezesom bardziej zależy na wizerunku firmy niż na opinii etyka, to już nasza w tym rzecz, aby im wykazać, że etyka jest nie tylko na sprzedaż.

JAN HARTMAN



Pic, czytaj PiS

Za panowania tzw. demokracji socjalistycznej, której wersję wpycha nam obecny Gomułka, była taka anegdota w ZSRR. 20-osobową delegację amerykańskich przedsiębiorców oprowadzano po kołchozie. To taki szeregowy kołchoz, mówił przewodnik z Leninem w kłapie. „Szeregowy” kołchoz odpicowano na jasny orzech, oczywiście na ile farby starczyło. Mijali kolejne betonowe parterowce. Tu szkoła muzyczna, tu pawilon muzealny, tu biblioteka, sala gimnastyczna – opowiadał przewodnik. Wycieczka szła zdziwiona, że wszystkie okna i drzwi zamknięte, choć październik był bardzo ciepły. Okna są otwarte z drugiej strony, jest piękny widok na las. Wycięliśmy go oczywiście, żeby mieć szersze horyzonty, kontynuował przewodnik. Tak doszli do drewnianego płotu, za nim był kawał pola, na którym ludzie z motykami kopali dołki. Jeden z wycieczki znał trochę rosyjski, więc spytał najbliższego za płotem, co robią. Dziś sadzimy ziemniaki, a jutro będziemy je wykopywać – odparł robotnik. A po co wykopujecie? Bo jeść się chce.

Z pewnością nie muszę tłumaczyć sensu tej opowieści, w której jedynie kartofel może stać się złowrobną przyszłością, reszta to pic (czyt. PiS) i fotomontaż. Te dwa ostatnie pojęcia to ostoja repertuaru polskiej codzienności. Pamiętają Państwo te obiecane 100 obwodnic, budowę polskich promów, dronów, śmigłowców i stoczní w Świnoujściu ze słynną stępką? Jak tak wymieniam, to aż w głowie mi się kręci od bogactwa. W zamian mamy 300 tys. zlikwidowanych połączeń PKS, puste lotnisko w Radomiu, wyrżnięte hektary lasów wysłane do Chin, przekop Mierzei dla dwóch stateczków dziennie, Mieszkanie Plus skasowane po siedmiu latach, gdy ci, którzy mieli się obłowić, już to zrobili. Teraz zapewne pracują nad regulacją Odry – zrobią z niej ściek na zawsze, a następnie przejdą nad Wisłę.

+

Jak wymieniam obietnice PiS, to aż w głowie mi się kręci od bogactwa. +

Zgodnie z niedawną zapowiedzią prezesa Kaczyńskiego będziemy chorować do 18. roku życia. Ale tylko tak po łebkach, niegroźnie, żeby nie nadwyreżać budżetu. Potem 47 lat w szczęściu i zdrowiu, a od 65 lat znów pochorujemy za friko. No, z lekką dopłatą 400–500 zł miesięcznie. Czym wypełnić sobie te 47 lat? Premier Morawiecki radzi: „w ślad za naszymi słowami idą czyny już od wielu, wielu lat. Ja słyszę te różne kpiny dotyczące potańcówek, mam nadzieję, że na jakąś tam zostanie zaproszony, choć supertancerzem nie jestem, ale trzeba się również bawić, cieszyć z różnych osiągnięć, odetchnąć po pracy, to jest bardzo, bardzo ważne rzecz jasna”. Tylko znaleźć kompozytora i śpiewać ten tekst w Opolu.

W czasie wolnym można też sobie wybrać towarzyszenie (za plecami kordonu policji) partii rządzącej w różnych uroczystościach. Nie, nie mam na myśli mostu w Tylmanowej, na którym w październiku, tuż przed wyborami, po raz trzeci pewnie zawita premier. Zamknij go i otwórz, a potem urzędzi potańcówkę. Aż żał nie wspomnieć też kasy biletowej na dworcu kolejowym w Radomsku. Nie tak dawno temu przy okienku nieczynnej od dwóch lat kasy witali się radośnie: posłanka PiS Anna Milczanowska, władze miasta (z prezydentem na czele) i Urzędu Marszałkowskiego w Łodzi oraz wysocy rangą przedstawiciele POLREGIO. Nie, to nie moja fantazja. To ci zebrani sprawili, że okienko znów się uśmiecha gębą pełną biletów i może wrócić do służby narodowi.

Tymczasem Beata Szydło zawiozła na 3 dni do Brukseli rodzinę, dawnych kolegów z klasy i koła gospodyń wiejskich. Zwiedzali, imprezowali. Wszystko za pieniądze europarlamentu na... popularyzację UE. Przyjęła srebrniki od tej parchatej Unii? Od niemieckiego okupanta? Oby się tylko Czarnek nie dowiedział.

STANISŁAW TYM

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (*wydania cyfrowe*)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)
PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ
MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszuk-Radzko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad8

www.libapraczy.pl

PBC

PRINTED IN POLAND





© LESZEK ZYCH

Od lewej: Jan Olaszek, Tomasz Siewierski, Łukasz Bertram, Róża Sułek, Jarosław Kurski, Grażyna Pawlak, Andrzej Friszke, Bożena Szaynok, Włodzimierz Mędrzecki, Marian Turski, Jakub Gałęziowski i Marcin Urynowicz.



Historia się obroni

W ubiegłym tygodniu wręczyliśmy nagrody laureatom 64. edycji naszego konkursu na najlepsze książki historyczne. A jednocześnie świętowaliśmy 65-lecie kierowania działem historycznym przez pomysłodawcę tych nagród redaktora Mariana Turskiego. Galę poprowadził redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński, wśród licznych gości pojawili się wybitni historycy, wydawcy i przyjaciele naszej redakcji.

Gdyby wybrać jedno słowo, jakie najczęściej przewijało się podczas uroczystości, byłaby nim: odwaga. Odwagi wymagało nowe spojrzenie na komunistów nagrodzonego w kategorii prac naukowych i monografii Łukasza Bertrama. Pisząc „Bunt, podziemie, władza. Polscy komuniści i ich socjalizacja polityczna do roku 1956”, odrzucił dotychczasowe szablony, balansował między zrozumieniem a krytycyzmem dla swoich bohaterów. Włodzimierz Mędrzecki, laureat w kategorii prac popularnonaukowych w „Odzyskanym śmietniku. Jak radziliśmy sobie z niepodległością w II Rzeczypospolitej”, nie wahał się pokazać piękniuch niepodległej, obrazów niepięknych, za to pomagających nam w poruszaniu się w dzisiejszej rzeczywistości. Całkowicie nieznaną przestrzeń odkrył Jakub Gałęziowski, laureat w kategorii debiutów. Jego książka „Niedopowiedziane biografie. Polskie dzieci urodzone z powodu wojny” naruszyła tabu: mówi o wojennych gwałtach, romansach z okupantami i ich efekcie

– dzieciach niechciany. – *Wszystkie dobre rady, jakie dostawałem, kiedy opowiadałem o tym temacie, brzmiały: lepiej to zostaw* – stwierdził Gałęziowski. Nawet „Kroniki wojenne” Aurelii Wyleżyńskiej opracowane przez Grażynę Pawlak i Marcina Urynowicza, zwycięskie w kategorii wydań źródłowych, długo czekały na odważnego wydawcę. Wyleżyńska, publicystka okresu międzywojennego, lewicowa inteligentka pisząca otwarcie o sprawach bolesnych, była na tyle niewygodna, że na druk trzeba było czekać ponad 70 lat.

Tytaniczną pracę nad „Dziennikami” Stanisława Ossowskiego pisanymi od 1905 r. do 1963 r., nagrodzonymi w kategorii pamiętniki, relacje, wspomnienia, wykonała Róża Sułek. Także ponad pół wieku historii obejmuje uhonorowany nagrodą specjalną wywiad rzeka „Andrzej Friszke. Zawód historyk” przeprowadzony przez Jana Olaszka i Tomasza Siewierskiego. Druga nagroda specjalna trafiła do Jarosława Kurskiego za „Dziady i dybuki”, opowieść o jego rodzinie i jej żydowskich korzeniach. – *Stale słyszałem „Jaki pan odważny”* – spuentował Kurski. – *Marzy mi się taka Polska, w której napisanie książki o żydowskich krewnych nie będzie aktem odwagi.*

A nam taka, w której nie będzie odgórnie narzuconej jedynie słusznej linii badań historycznych, a badacze dotykający niewygodnych tematów nie będą celem nagonki.

JZ

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są:
ZaiKS, DANTEX, SABUR oraz Barbara Pendzich i Adam Heimrath.

Spotkanie z prezydentem Kwaśniewskim



Wydawnictwo Znak Literanova oraz tygodnik POLITYKA mają zaszczyt zaprosić na spotkanie z Aleksandrem Kwaśniewskim i Aleksandrem Kaczorowskim z okazji premiery książki – wywiadu rzeki – „Prezydent”. Rozmowę poprowadzi publicysta POLITYKI prof. Wiesław Władyka.

Spotkanie odbędzie się **w środę, 31 maja o godz. 18** w siedzibie redakcji POLITYKI (ul. Słupecka 6 w Warszawie, wejście B). Warunkiem udziału w spotkaniu jest rejestracja pod adresem: litanova@znak.com.pl
Podczas spotkania będzie możliwość zakupu książki.

Gdzie pochowano Churchilla

W artykule „Pomazaniec” (POLITYKA 18/19) napisałem, że Opactwo Westminsterskie jest miejscem pochówku i upamiętnienia wybitnych Brytyjczyków. Powinienem precyzyjniej to odnieść w przypadku Winstona Churchilla. Uroczysty pogrzeb tego przywódcy odbył się w tym Opactwie w 1965 r., jednak on sam pochowany został na przykościelnym cmentarzu w Bladon w hrabstwie Oxfordshire. W głównej nawie Opactwa Westminsterskiego jest natomiast płyta upamiętniająca Churchilla, która zresztą była widoczna podczas transmisji telewizyjnej z koronacji Karola III.

MAREK OSTROWSKI

Odwaga niedokładania ręki

Z jednej strony nie lubimy konformistów, a z drugiej aktywnie tępimy przejawy nonkonformizmu. Im silniej podzielone społeczeństwo, tym bardziej.

Nie lubię feminatywów i nie chcę być nazywana inżynierką, ale boję się o tym mówić, bo wszyscy moi znajomi popierają feminatywy i wyśmiewają kobiety, które ich nie używają”, napisała mi kiedyś czytelniczka. Zrobiła to w prywatnej wiadomości, z obawy przed krytyką, której mogłaby doświadczyć, gdyby zrobiła to publicznie. „Ochrzciliśmy dziecko, mimo że jesteśmy ateistami. Po prostu baliśmy się reakcji rodziny”, przeczytałam na grupie rodzicielskiej na Facebooku. Pamiętam też spotkanie kilkorga influencerów, na którym każdy sięgał po mięsne przekąski, tłumacząc się, że czasem je mięso, ale nie mówi o tym otwarcie w social mediach, żeby nie zbierać krytycznych komentarzy.

Powodem, dla którego te wszystkie osoby ukrywają jakieś swoje zachowania, preferencje czy poglądy, jest zjawisko dobrze znane psychologii społecznej. Zbadał je już w latach 50. XX w. Solomon Asch, przeprowadzając słynny eksperyment na amerykańskim Swarthmore College.

Badani mieli oceniać długość linii prezentowanych na tablicy. W warunkach kontrolnym robili to sami i w 99 proc. przypadków poprawnie wybierali linię tej samej długości, co referencyjna. W warunkach eksperymentalnym w grupie uczestników znaleźli się podstawienni aktorzy, którzy mieli co jakiś czas solidarnie „się mylić”. Osoba badana najpierw słuchała odpowiedzi aktorów, a potem sama odpowiadała na pytanie. Liczba poprawnych odpowiedzi spadała do 64 proc.

Ascha zainteresowały powody, dla których tak się działo, i odkrył dwa:

Część badanych, słysząc błędne odpowiedzi poprzedników, zaczynała wątpić we własny osąd i ostatecznie uznawała, że bezpieczniej będzie odpowiedzieć tak jak inni. To „konformizm informacyjny”. Jest względnie nieszkodliwym, a często nawet przydatnym mechanizmem – zwłaszcza gdy uczymy się czegoś nowego i powielamy informacje zasłyszane od ekspertów.

Inna część badanych bała się ośmieszenia i ostracyzmu. Nie chciała skupiać na sobie uwagi, więc odpowiadała jak reszta, choć w głębi duszy wiedziała, że prawidłowa odpowiedź jest inna. To „konformizm normatywny”.

Eksperyment powtarzano w różnych wariantach, starając się dociec, co zmniejsza, a co zwiększa zachowania konformistyczne. Okazało się, że ludziom łatwiej opierać się presji grupy, gdy mają jakiegoś sojusznika – przynajmniej jedną osobę, która, podobnie jak oni, odpowie inaczej niż wszyscy. Uleganie wpływom było mniejsze także wtedy, gdy odpowiedzi były zapisywane na kartkach, a nie wypowiedziane na głos.

RELACJE



Matylda Kozakiewicz
– psycholożka prowadząca konto psychoedukacyjne na Instagramie @segritta.

Zwykliśmy myśleć o konformizmie jako o wadzie, a jednocześnie w spolaryzowanym społeczeństwie konformizm opłaca się dużo bardziej niż niezależność myślenia i odwaga wypowiedzania swoich poglądów. Te ostatnie są wręcz karane wykluczeniem. Jeśli jesteś katolikiem i patriotą, społecznie oczekuje się od Ciebie także sprzeciwiania się prawu do aborcji i małżeństwom homoseksualnym. Jeśli jesteś feministką i zwolenniczką obowiązkowych szczepień, powinnaś także być weganą, która chodzi na marsze równości. Grupa, w której funkcjonujesz, wymaga bowiem spójności poglądów i dopasowania się. Wyłamanie się w jakiejś kwestii spotyka się z ostrą krytyką. Dlatego konformizm normatywny działa wyjątkowo mocno i ludzie coraz częściej ulegają presji: czy to rodziny, czy znajomych, czy wreszcie baniek internetowych.

Jak temu przeciwdziałać? Przede wszystkim warto – zgodnie z wynikami eksperymentów Ascha – szukać sojuszników i samemu być sojusznikiem kogoś, kto odważnie przedstawia opinie różne od opinii grupy. Jeśli zaś nie mamy odwagi wspierać tych wyłamujących się normom jednostek, przynajmniej nie dokładajmy ręki do rytuałów wykluczenia, internetowych linczów i języka pogardy wobec ludzi, z których poglądami się nie zgadzamy.

Bo gdy przemoc grupy wobec jednostki stanie się normą, żaden jej członek nie będzie się w niej czuł bezpiecznie. ■

Goło i wesoło

Moda raz ubiera, raz rozbiera, a czasem łączy jedno z drugim. Oto *naked trend*.

MODA

Patrząc na zdjęcia modelki i pisarki Emily Ratajkowski z przyjęcia wydanego przez magazyn „W”, trudno stwierdzić, czy ma ona na sobie sukienkę, czy wręcz przeciwnie. Pod strojem zrobionym z siatki à la rajstopy kabaretki widać wszak jej skąpą bieliznę. No, ale jej ciało zakrywa materiał... *Naked trend*, czyli styl na goliznę, w ostatnich sezonach zyskał impet. I ma niejedno oblicze. Suknie mogą być zrobione z przezroczystej lub półprzezroczystej tkaniny, a części intymne zasłania się innym materiałem lub – jak u aktorki **Rachel Brosnahan** na gali Met – cekinami naszytymi na wysokości biustu. Pola dla wyobraźni takie kraiewidztwo nie zostawia, jest za to dobrym eksperymentem myślowym, modowym kotem Schrödingera.

Jeszcze ciekawszym przypadkiem jest to, co proponuje, od dekad zresztą, Jean Paul Gaultier. Zaprojektowane przez niego stroje zakrywają ciało od kostek po nadgarstki, ale są zrobione z tkaniny z... nadrukowanym nagim ciałem. Są to mięśnie, tors, biust, oddane „z natury” lub poddane obróbce graficznej.



Te ubrania w wersji vintage (czyli z 1996 r.) lub przerobionej (wspólna kolekcja Glenna Martensa i Jeana Paula Gaultiera z 2022 r.) wracają do mody i łask wszelkiej maści trendsetterów. Nie tak dawno w koszulkę z nadrukowanym torsem ubrał się raper A\$AP Rocky, prywatnie chłopak Rihanny. Piosenkarka w ostatnich miesiącach też sporo robiła dla modnej golizny, pokazując się na rozdaniu Oscarów w skórzano-szyfonowej sukience, przez którą było wyraźnie widać jej ciężowy brzuch.

Styl na goliznę wyjaśnia też, dlaczego wiele polskich sław pokazuje się na oficjalnych imprezach w garniturach, spod których łyskają eleganckie biustonosze. Nie, nie zapomnieliśmy założyć koszulki, to po prostu taka moda. Prowokacje zresztą są w nią wszyte jak cekiny w sukienkę Brosnahan. Wspomniany Jean Paul Gaultier zdobył sobie dzięki nim przydomek *enfant terrible* na początku kariery, czyli we wczesnych latach 80. To on ubrał Madonnę w gorset z biustonoszem w kształcie różków, odwracał odwieczny porządek rzeczy, wyciągając bieliznę na wierzch ubrania. Fascynował się ciałem, nagością i różnymi fetyszami. Pamiętają państwo „Piąty element” w reż. Luca Bessona i bohaterkę graną przez Milę Jovovich w stroju z połączonych ze sobą białych bandaży? Tak, to też Jean Paul Gaultier. W tamtych czasach pomysły JPG były rewolucyjne, dziś o prawdziwy przewrót w modzie trudno. Łatwiej o konfuzję.

OLA SALWA

Kto jest bambikiem?

SŁOWO

Kto uważał, że z przechodzeniem języka gier wideo do świata realnego to przesada, najwyraźniej jest bambikiem. „Mateusz, ale z ciebie bambik!” – rzucił Donald Tusk do premiera Morawieckiego po tym, jak ten zamknął otwarty od pół roku most na Dunajcu, żeby go uroczyście otworzyć. „Bambik” to ktoś niedoświadczony, słabiak, skazany na przegraną. Od kilku lat już w różnych dziedzinach życia, wcześniej głównie w grach wideo, gdzie opisywał nowego gracza – od zagubionego jelonka z disneyowskiej wersji opowieści o Bambim, łatwej ofiary.

W popularnej sieciowej strzelance „Fortnite” mówi się „bambi” na zwykłą postać, jaką dostaje początkujący

uczestnik, który nie ma jeszcze żadnych osiągnięć ani nie dokupił żadnej specjalnej – jak to się określa – „skórki”. A Tusk odnosił się bezpośrednio do piosenki z TikToka – „Cha cha, ale z ciebie bambik, nie masz fałdalców/Nie przezywajcie mnie, że jestem bambikiem, po prostu nie mam fałdalców” (V-dolce to waluta w grze „Fortnite”) – która stała się memem, w jej różnych wersjach występowali celebryci czy sportowcy.



„Bambik” trafia też od trzech lat do propozycji konkursu na Młodzieżowe Słowo Roku. I kiedy wydawało się, że cała Polska to rozumie, pojawiły się komentarze m.in. Cezarego Gmyza i Rafała Ziemkiewicza, dopatrujących się w „bambiku” rasizmu i nawiązania do „murzynka Bambo”. Z kolei Roman Giertych w geście poparcia dla Tuska opublikował pod hashtagiem #MateuszBambik rysunek premiera w „skórcie” banana. Również dając dowód ignorancji, bo żeby zdobyć taką skórkę, trzeba się odrobinę napocić i nie być bambikiem. Młodzież odpowiada salwami śmiechu. Pojawiło się dużo nowych bambików do odstrzału.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

„Dziesięć godzin do maturki, bejbe, co ma być, to będzie” (Mata, **100 dni do matury**, 2020 r.)

bejbe = odpowiednik angielskiego „babe”, które dziś Blanka wymawia jako „bejba”.

Cyberdziewczyna za dolara

TECHNO

Mam już 11 tys. chłopaków – ogłosiła na Twitterze w połowie maja amerykańska influencerka **Caryn Marjorie (Cutiecaryn)**, trudniąca się wrzucaniem do sieci swoich zdjęć w bikini, z samochodami czy na zakupach. Ta niezmiernie poliamoryczna relacja jest możliwa dzięki CarynAI – opartemu na sztucznej inteligencji głosowemu chatbotowi zasilonemu danymi o Marjorie. Sama publikacja narzędzia zapewniła influencerce rozgłos medialny, a zamknięta wersja próbna chatbota zyskała tysiące użytkowników i w tydzień zarobiła prawie 72 tys. dol. Za każdą bowiem minutę rozmowy z chatbotem trzeba zapłacić 1 dol. Cutiecaryn reklamuje się jako „pierwsza influencerka przekształcona w sztuczną inteligencję”, a swoje narzędzie jako „pierwszy krok w kierunku wyleczenia samotności”, zwłaszcza mężczyzn (stanowiących w pierwszym tygodniu 99 proc. użytkowników chatbota). W wypowiedzi dla magazynu „Fortune” stwierdziła, że chatbot będzie w stanie za jakiś czas zarobić 5 mln dol. miesięcznie. Wiadomo – nie będzie leczyć samotności za darmo. Ale żarty na bok: według wypowiedzi Marjorie publikacja narzędzia sprowadziła na nią także lawinę gróźb, m.in. ze strony oburzonych grup religijnych. Chatbot bowiem zaczął angażować się w konwersacje o znacznie silniejszym zabarwieniu seksualnym, niż było to planowane.



Ktoś mógłby stwierdzić, że taką sprawę należy traktować z przymrużeniem oka. Ale problem powszechnego poczucia samotności jest realny, a pojawienie się CarynAI to logiczna konsekwencja widocznych już wcześniej trendów. Odpowiedzialna za stworzenie chatbota firma Forever Voices ma w ofercie też rozmowy z m.in. fikcyjnym Donaldem Trumpem i Taylor Swift, ale też sztuczną terapeutką Saszą czy „załotną towarzyszką” Aurorą. Wszystkie po 60 centów za minutę. Nie skusiłem się, ale publicznie dostępne próbki brzmią imponująco. Z drugiej strony od kilku już lat w mediach społecznościowych można obserwować całą rzeszę generowanych przez SI influencerów.

Takie „osoby”, jak południowokoreańska rozy. gram (154 tys. obserwujących na Instagramie), czy szerzej znana lilmiquela (2,8 mln obserwujących, „19-letni robot żyjący w Los Angeles”), są też coraz powszechniej wykorzystywane w reklamach. Przez Samsunga, Pradę czy nawet Światową Organizację Zdrowia, której wirtualny influencer Knox Frost pomagał szerzyć wiedzę o Covid-19. Gdy dodamy do tego niezwykle ostatnio tempo poprawy jakości produktów generatywnej SI, wyjdzie nam poważne zagrożenie dla rynku pracy influencerów. Ale może też zachęta do tego, by byli oni po prostu bardziej ludzcy.

RYSZARD ŁUCZYN

Wes Anderson nad Bałtykiem

WIRAL

Amerykański reżyser jest teraz na Lazurowym Wybrzeżu i prezentuje na festiwalu w Cannes swój najnowszy film, ale duch jego twórczości niesie się po całym świecie. W sieci. Trend narodził się na TikToku i nawiązuje w szczególności do „Grand Budapest Hotel” z 2014 r. – szalonej, surrealistycznej komedii rozgrywającej się w czasach międzywojnia, gdy widmo nazizmu majaczy już złowrogo na horyzoncie. Internauci tworzą filmiki utrzymane w stylistyce dzieła Andersona, z jego charakterystyczną symetrią, pastelowymi i jaskrawymi kolorami oraz szerokimi kadrami, towarzyszy im ta sama ścieżka dźwiękowa Alexandre’a Desplata. Inny jest za to kontekst.

Autorzy i autorki filmików usiłują odtworzyć estetykę Andersona we własnych scenariach i życiowych sytuacjach. Oraz w narzuconym przez smartfony pionie. Efekty oszałamiają – Ukrainka (@valerisssh) nakręciła np. wojenne ruiny (uwaga od widza, z którą fani reżysera pewnie

by dyskutowali: „Genialne. Tego właśnie brakuje filmom Andersona: komentarza społecznego”). Inni kręcą w tym stylu relacje z własnych ślubów. A najpopularniejsze są ruchome pocztówki z podróży. Internauci mają przy tym zawsze, jak filmowi bohaterowie, grobowe miny.



W Polsce patos i sympatyczna pstrokatość spotykają się nierzadko, więc Anderson pewnie czułby się tu dobrze. – *Uwielbiam jego filmy i szybko podłapałem konwencję* – opowiada Piotr Maślanka (@piomas), fotograf, autor nagranych ze znajomymi filmiku z Trójmiasta. – *Było to bardzo spontaniczne, większość ujęć nagraliśmy przy okazji spaceru. Zdziwiło nas, że tak łatwo znaleźć nad polskim morzem motywy znane z filmów Andersona – tak trafiliśmy na zieloną latarnię w Gdańsku, Grand Hotel w Sopocie czy port w Gdyni.* Filmikowi aktorzy świetnie w tej konwencji wypadli. Bałtyk też.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© TIKTOK (2), SHUTTERSTOCK (4), ARCHIWUM POLITYKI



Czar kamienia

Niepozorne z zewnątrz, w przekroju ukazują swoje wielobarwne, hipnotyzujące wnętrza. Minerale od tysięcy lat fascynują ludzi, którzy chętnie przypisują im magiczne (czy może raczej – niepotwierdzone naukowo) właściwości.



T R E N D

Dawna domena zielarek, czarownic i szamanów na dobre rozgościła się we współczesnym duchowym mainstreamie, stanowiąc uzupełnienie ajurwedy (tradycyjnej indyjskiej medycyny), technik medytacyjnych czy horoskopów, odkrywanych na nowo i z powagą przez najmłodsze pokolenia (ktoś pamięta „zodiakarę”, niedawną kandydatkę na młodzieżowe słowo roku?).

Minerały – jak przekonują zwolennicy litoterapii, czyli uzdrawiania za pomocą kamieni – pomagają w zasadzie na wszystko, od depresji, przez cukrycę, po problemy z erekcją. Królowa celebrytek Kim Kardashian leczyła się za ich pomocą z traumy, jakiej doświadczyła po napadzie w Paryżu w 2016 r. „Polecili mi to znajomi, uzdrawianie kamieniami jest bardzo popularne w Los Angeles” – mówiła w wywiadzie dla portalu WWD.

Grunt to wybrać ten odpowiedni dla siebie. Kierować można się albo intuicją, licząc, że kamień sam do nas „przemówi”, albo czerpać z gotowych wskazań. I tak akwamaryn miałby pomóc na poprawę samopoczucia, wiążąc się jednocześnie z piątą czakrą gardła i znakiem ryb, a cytryn wspomagać wydzielanie insuliny i współgrać z charakterem zodiakalnej panny.

Ci, którzy nie lubią bawić się w półśrodku, mogą też zainwestować w orgonit, czyli konstrukcję w kształcie piramidy, stanowiącą mieszankę żywicy, metali

i minerałów, która niczym odkurzacz wysysa negatywną energię z naszego otoczenia, zastępując ją pozytywną, życiową. Efekty mają być silnie odczuwalne zwłaszcza przez dzieci, choć, jak uczciwie informują producenci, działania orgonitu nie można udowodnić tradycyjnymi metodami.

Na czym miałyby opierać się lecznicza moc kamieni? Cóż, tu zaczynają się schody. Zwolennicy tej teorii chętnie przywołują tajemnicze prawa mechaniki kwantowej, upatrując wpływu drgań cząstek minerałów na pobudzenie komórek nerwowych człowieka do odpowiedniej – to znaczy uzdrawiającej – wibracji, na co nie znaleziono żadnych naukowych dowodów.

Bardziej uczciwie brzmi powoływanie się na dawne autorytety. W dobroczynną moc ametystu w walce z używkami wierzyli starożytni Grecy, na co wskazuje już sama nazwa, pochodząca od greckiego *amethystos*, czyli „niepijany”. Picie wina z ametystowych czar miało zapobiegać upijaniu się. Z kolei nieodzownym elementem praktyk szamańskich rdzennych mieszkańców Australii były kryształy kwarcu, uznawane za podarunek z niebios. W ekstatycznym procesie inicjacji duchy brutalnie rozczłonkowały ciało przyszłego szamana, by następnie złożyć je ponownie, zastępując kości kryształami, które od tej pory mogły być przez niego wykorzystywane w celach leczniczych.



Można więc uznać, że wiara w moc kamieni jest głęboko wpisana w naszą naturę. Widać to też po tłumach, jakie gromadzą targi minerałów. – *Pierwsze giełdy w Polsce organizowano już w latach 70., to były niekomercyjne spotkania pasjonatów i kolekcjonerów. Obecnie nasze duże imprezy, np. w Warszawie, potrafią w ciągu weekendu przyciągnąć 10 tys. osób* – mówi Tomasz

Praszkier, geolog, od ponad 20 lat organizujący największe w Polsce Międzynarodowe Giełdy Biżuterii i Minerałów. Jak przyznaje, to właśnie minerały i ich potencjalne właściwości budzą największe zainteresowanie odwiedzających. – *To ważny segment dla naszych wystawców, który można traktować jako zabawę – nie ma nic złego w noszeniu kamienia odpowiadającego znakowi zodiaku. Natomiast wiara w to, że można w ten sposób leczyć poważne choroby, uważam za groźną i szkodliwą. Inna rzecz, że wiele minerałów ma zastosowanie w medycynie. Na przykład smektyt, z którego produkuje się lek na problemy żołądkowe. Nie ma to jednak nic wspólnego z wiarą w magiczne moce kamieni.*

Racjonalny sceptycyzm nie powinien jednak zabijać fascynacji, jaką naturalnie zdają się budzić w nas błyszczące skalne odłamki. Pozwala natomiast bezinteresownie docenić je za to, jakie są. A są nie z tego świata – nawet jeśli tylko metaforycznie. ■



Michał Klimko

– w Fiskach POLITYKI pisze o świecie i polityce, w samej POLITYCE o muzyce i popkulturze. Lubi wodę, lasy i tradycje Wschodu – duchowe i kulinarne.

Z perspektywy butów

W Polsce szlaków długodystansowych, czyli mierzących minimum 50 km, zróżnicowanych pod kątem długości, trudności i widoków, jest około 250 i właśnie otwiera się kolejny „The Loop” – wielka pętla beskidzka. Dla każdego znajdzie się coś trekkingowego.



R U C H

The Loop”, o imponującej długości prawie 250 km, to wytyczona niedawno, choć bazująca na już istniejących szlakach trasa, która prowadzi przez Beskid Śląski, Żywiecki i fragment Beskidu Małego. Została zaprojektowana tak, by dało się ją przejść w dwa tygodnie, nocując i stołując się w schroniskach PTTK. Pętla, choć nie wymaga dźwigania namiotu i prowiantu na wiele dni, nie jest jednak propozycją dla początkujących. Jej twórcy porównują ją do tak trudnych szlaków, jak West Highland Way w Szkocji czy GR20 na Korsyce.

Jak przygotować się do długodystansowego trekkingu? Osoby podchodzące do wypraw ambicjonalnie, traktujące je jako projekt, podczas którego będą się skupiać na przekraczaniu swoich możliwości i biciu rekordów, zaczną pewnie od przygotowań kondycyjnych w osiedlowej siłowni i chodzenia z ciężkim plecakiem po schodach. Ci z kolei, którzy wolą czerpać przyjemność z samej wędrowki, niezależnie od tego, czy uda im się pokonać 10, czy 30 km dziennie, w ramach przygotowań przyjmą filozofię „mierzą zamiary na siły” i na początek wybiorą trasę adekwatną do swoich skromnych możliwości.

Ciekawym szlakiem dla długodystansowych żółtozłotobów jest Duży Szlak Tatarski. Liczący niespełna 60 km, wiedzie śladami polskich Tatarów. Po drodze oferuje takie atrakcje, jak Muzeum Ziemi Sokólskiej w Sokółce, meczety i mizary, czyli mużulmańskie cmentarze, w Bohonikach i Kruszynianach oraz fenomenalne Muzeum Ikon w Supraślu. Koniecznie trzeba skosztować też tradycyjnej tatarskiej kuchni w Tatarskiej Jurcie, kulinarnej wizytówce regionu.



Ola Wysocka
– miłośniczka podróży, zwłaszcza tych bez planu. Autorka bloga osiemstop.pl i profilu @8.stop na Instagramie.

Świetnym szlakiem na początek przygody z długodystansowym trekkingiem jest także licząca prawie 400 km trasa Świnoujście – Hel. To propozycja dla tych, których pociągają wydmy, klify oraz szum fal. A kto zna Bałtyk wyłącznie z perspektywy lipcowej Karwii czy Władysławowa, ten zdziwi się, jak ciche i spokojne, nawet latem, jest nasze wybrzeże poza wakacyjnymi kurortami. Z kolei wybierając się na wędrowkę poza sezonem, należy przygotować się nie tylko na kapryśne warunki pogodowe, ale też na fakt, że po wakacjach część miejscowości zamiera i znalezienie noclegu czy otwartego lokalu gastronomicznego może okazać się niemałym wyzwaniem.

Dla osób chcących rozpocząć wędrowki po terenach górskich, świetną rozgrzewką będzie Główny Szlak Świętokrzyski. Góry Świętokrzyskie, choć niewysokie, oferują próbkę tego, czego możemy spodziewać się na trudniejszych szlakach. A przy okazji można wspiąć się na Łysicę, należącą do Korony Gór Polski – jeśli złapiemy bakcyła trekkingu, może to być pierwszy szczyt w naszej kolekcji.

Na wspomnianych szlakach powinniśmy poradzić sobie bez namiotu i zapasu jedzenia, ale i tak pakowanie się na kilkudniową czy kilkutygodniową wyprawę powinno być starannie przemyślane, w końcu każda para skarpetek przełoży się na obciążenie naszych ramion. Na szczęście lekkie, szybkoschnące i dobrej jakości ubrania i akcesoria są dziś dostępne od ręki.

W plecaku powinno się znaleźć miejsce na kilka koszułek sportowych, które będziemy pracować po drodze, do tego kilka sztuk bielizny, długie spodnie, polar, kurtka przeciwdeszczowa, nakrycie głowy oraz ręcznik i niezbędne kosmetyki. Nie możemy także zapomnieć o apteczce, telefonie z mapą offline i powerbanku, scyzoryku, latarce i butelce na wodę. A jeśli jednak zdecydujemy się na nocowanie pod gwiazdami, dodać trzeba także namiot i śpiwór, przydać się może też kuchenka turystyczna i butla z gazem.

Mając jednak w pamięci, że pierwowzorem trekkingów były pielgrzymki, na które ludzie wybierali się masowo, zanim na świecie pojawiły się takie wynalazki, jak softshelle, Gore-Tex i szybkoschnące ręczniki, można bezpiecznie założyć, że i dziś bez szeroko zakrojonych inwestycji powinniśmy sobie poradzić. I czerpać z wędrowki pożytki fizyczne i duchowe. ■





W I N O

Naturalne, czyli jakie?

Wino naturalne robi niesłychaną karierę. Ten genialny w swej prostocie termin nie ma jednak uniwersalnej definicji.

Win naturalnych nie trzeba było wymyślać, były z nami od czasu, kiedy człowiek po raz pierwszy zerwał owoce dziko rosnącej winorośli i spostrzegł, że pozostawiony na parę dni sok miło uderza do głowy. Do fermentacji potrzebny jest tylko zawarty w gronach cukier oraz mnożące się samorodnie w przyrodzie drożdże. I tyle – nic dodać, nic ująć.

Potem przez stulecia winiarstwo obrastało coraz bardziej wymyślnymi technikami: wyselekcjonowanymi odmianami winogron, dębową albo akacją beczką, siarkowaniem, klarowaniem, aż nastał wiek XX z jego straszliwą chemią i do wina zaczęto dodawać w majestacie przepisów (albo wbrew nim) ulepszacze: kwas, koncentrat, gumę arabską, mleko, mączkę rybną...

Wina chemiczne konsumentom smakowały, częściowo z braku innych, ale również dlatego, że były zawsze takie same, czyli poprawne i przewidywalne, jak konserwowe piwo albo cola. Akcja musiała jednak

wywołać kontrakcję i grupa słusznie oburzonych ekscesami przemysłowego winiarstwa rozpoczęła rewolucję, która przeorała winomańską świadomość.

No dobrze, wina naturalne, czyli jakie? Genialny w swej prostocie termin nie ma uniwersalnej definicji. Wina naturalne chcą być ekologiczne i biodynamiczne (produkowane w harmonii z fazami księżyca i mikrobiomem winnicy). Ale też na tym nie poprzestają. Dla niektórych naturalizm to synonim „winiarstwa nieinterwencyjnego”: nie walimy chemii w winnicy ani w piwnicy, zamiast agresywnie włączać wino w uniwersalne ramy stylistyczne – cabernet sauvignon zawsze w beczce, sauvignon blanc najczęściej o zapachu marakui – „towarzyszmy mu” w byciu sobą, pod dyktando dzikich drożdży z winnicy i „terroir” – geograficzno-przyrodniczego siedliska, wyrażającego się unikatowym smakiem wina. Dla innych kwestia jest bardziej zerjedynkowa: do wina naturalnego nie wolno nic dodawać: drożdży, enzymów i pożywek ułatwiających fermentację, cukru, kwasu, tanin oraz siarki.

Tak ostre postawienie sprawy wywołało kontrakcję do kontrakcji. Bowiem dodatek SO₂ (siarczynów) do wina zapoczątkowali już starożytni Rzymianie i w opinii wielu jest on dla jakości wina niezbędny. Bez tej ochrony wino skazane jest bowiem na utlenienie (brązowieje i smakuje orzechami) oraz na zakażenia mikrobiologiczne: bakterie octowe i drożdże brett, nadające wszystkim winom mało elegancki bukiet końskiego łajna. Na horyzoncie czai się jeszcze straszliwsza wada, tzw. myszowatość, smród, który raz poczuły (nie wszyscy są na niego czuli), nie da się odwachać. Co prawda najlepsi winiarze naturalni dbają o higienę i te wady im niestraszne, ale w odróżnieniu od win „konwencjonalnych” wina naturalne są w istocie rosyjską ruletką, czasem się udaje, innym razem – do zlewu. Obrońcy starego porządku wprost nazywają naturalne trunki „winami specjalnej troski”.

Naturaliści wadami się nie przejmują. Dla nich to cena, którą warto zapłacić za autentyzm i powrót do korzeni. Ale wina naturalne napędza dziś przede wszystkim moda. W opozycji do technologicznych win pitych przez boomersów powstała hipsterska subkultura wina, w której liczy się spontan, dziw i brak reguł. Wystarczy spojrzeć na etykiety win naturalnych – pstrokate komiksy, fantazyjne nazwy, precz z urzędowymi regulacjami, np. nazwami geograficznymi. To działa – po „naturalisy” w modnych barach i na festiwalach ustawiają się długie kolejki. Przy tym z przekonania o moralnej wyższości win „naturalnych” wyrosła niemal sekta, a w każdym razie silne poczucie przynależności. A za to odbiorcy są gotowi płacić, i to niemało. Byłe soczek z różową krową na etykietce kosztuje ponad 100 zł. W tym winiarze naturalni okazali się absolutnymi mistrzami. ■



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine, współtwórca portalu Winiatywa i pisma o winie „Ferment”.

Meinklang Prosa 2021, 69 zł (Naturaliści, Kraków, ul. Nowa 0)

Filipa Pato DNMC Branco 2021, 79 zł (kontakt bistro, Warszawa, Sandomierska 13)

Paltrinieri Lambrusco di Sorbara Radice 2021, 95 zł (winecorner.pl)

Calvez Bobinet Hanami 2021, 105 zł (naturalrascal.com)

Radikon Slatnik 2020, 232 zł (sklepy Vininova)

Szef KRRiT Maciej Świrski wziął się za aktywne zwalczanie mediów krytycznych wobec władzy, takich jak TVN czy TOK FM. W „Angorze” Marek Palczewski przypomina: „Sam nazwał się kiedyś talibem, bo – tu zacytuję jego wypowiedź – »tak jak prawdziwi talibowie jestem przywiązany do mojej wiary i tradycji, fundamentu polskiej cywilizacji. Innej drogi jak radykalizm religijny nie ma. Trzeba być gorącym jak rozgrzany do czerwoności miecz«. Nie sposób mu nie wierzyć, rzeczywiście gada jak poparzony».

Czego najnowszym przykładem jest wypowiedź Świrskiego dla „Sieci”: „Telewizja Polska, w tym jej pion informacyjny i publicystyczny, dobrze wypełnia swoje zadania. Pełni misję w pełnym tego słowa znaczeniu, bo uzupełnia dramatyczne braki mediów komercyjnych. Gdyby nie TVP Info, Polacy nie mogliby się dowiedzieć o wielu ważnych faktach, jak stan budżetu, wysiłek modernizacyjny w Wojsku Polskim, inwestycje w polską infrastrukturę”. Doprawdy?

Prof. Jan Zielonka „Plus Minus” o wspólnocie narodowej: „Jeżeli jesteśmy tak ważną wspólnotą, to czemu ludzie są tak podzieleni, dlaczego Polacy nie chcą ze sobą rozmawiać? Co to za wspólnota, gdzie ludzie się nienawidzą, nie potrafią się porozumieć. (...) Jak oglądam telewizję rządową, to mam wrażenie, że jesteśmy na wojnie z Niemcami, a nie Rosją. Czy taka jest polska racja stanu? Nie widzę narodowej zgody odnośnie do UE. Nawet kształt sojuszu z Ukrainą jest dziś polem wewnętrznych konfliktów. Strach przed zewnętrznym zagrożeniem nie zawsze łączy naród”.

O zamieszanu po odkryciu rosyjskiej rakiety pod Bydgoszczą Jacek Nizinkiewicz w „Rzeczpospolitej”: „Nie jest normalną sytuacją, gdy rządzący, którzy mają stać na czele bezpieczeństwa narodowego, tłumaczą, że oni nie wiedzieli, bo im generał nie powiedział, a takie było tłumaczenie Mariusza Błaszczaka. Tłumaczenie dyskwalifikujące szefa MON! Tym bardziej że generał podawał wcześniej, że informował przełożonych. Słowo przeciwko słowu. Albo szef MON kłamie, albo nie panuje nad podwładnymi. Oba warianty dyskwalifikują Błaszczaka”. Czy można zdyskwalifikować zdyskwalifikowanego?



Mitologia stworzona przez Jarosława Kaczyńskiego coraz bardziej ramoleje; na nową narrację oczekuje zwłaszcza zlaicyzowana, nienawidząca starych opowieści młodzież – Bogusław Chrabota, „Plus Minus”.

Stanisław Mancewicz naśmiewa się w „Tygodniku Powszechnym” z okołowybórczych obsesji: „Polski polityk, zwłaszcza parapravicowy – a zauważamy to nie bez niesmaku – jest permanentnie zachłyśnięty fizjologią, jest zawsze gdzieś w okolicach tematyki gastro-moczowo-płciowej, oczywiście na poziomie pseudomedycznym. Jeżeli – jak się powiada – sztuczna inteligencja skrada się i szykuje eliminację ludzkiego umysłu, to bezwzględnie nasi politycy są pierwsi w formującej się kolejce”. A niektórzy najwyraźniej już zostali obsłużeni.

Prof. Marcin Matczak w magazynie „Wolna Sobota” parafrazuje „modlitwę” ruchu Anonimowych Alkoholików, pisząc o politykach uzależnionych od władzy: „A gdyby na spotkaniach anonimowych władzoholików mieli odmawiać modlitwę Niebuhra, brzmiałaby ona tak: »Boże, użyż mi bezczelności, abym ukraść to, co mogę ukraść, wyrachowania, abym nie kradł tego, za co mogą mnie złapać, i cwaniactwa, abym odróżniał jedno od drugiego«”.

Prezydent stolicy Rafał Trzaskowski w „GW”: „Minister Przemysław Czarnek myśli natomiast, że Trzaskowski utożsamia się z absolutnie wszystkimi poglądami ludzi pracujących w organizacjach, które otrzymały dofinansowanie z urzędu miasta. Czarnek i cała pisowska ferajna taką mają właśnie mentalność”. Swój do swego po swoje.

Michał Karnowski („Sieci”) zwija się jak w ukropie w obronie jedynej słusznej prawicy, czyli PiS: „Zadziwia mnie jednak, jak wiele osób karmi się złudzeniami co do Konfederacji. (...) Politycy Konfederacji na co dzień skupiają się wyłącznie na łomotaniu Zjednoczonej Prawicy, niemal nie zaczepiając Tuska. Silne jest tam przekonanie, że droga do ich wielkości prowadzi przez »politycznego trupa PiS«. (...) Jedyną opcją pewnego zapewnienia Polsce stabilnych, propaństwowych rządów na kolejne cztery lata jest samodzielne zwycięstwo obozu Jarosława Kaczyńskiego”. Bo zapewne są pewne zapewnienia i są zapewnienia nie całkiem pewne.

W „Przeglądzie” Wojciech Kuczok przestrzega na porządku: „Tylko idioci dopuściliby do uczciwych wyborów, które mogą przegrać, skoro przez osiem lat oszukiwali na każdym kroku. (...) Nie wróżę nam przeto zmiany rządów w najbliższych latach, ba, zaczynam godzić się z tym, że kaczyszczom mnie przeżyje u sterów państwa polskiego”.

Pisarka Dorota Masłowska mówi coś ważnego dla polityków („Newsweek”): „Myślę, że bolesne jest bankructwo tego złudzenia, że to nowe pokolenie jest otwarte, tolerancyjne, europejskie. To jakiś upiorny chichot historii, gdy okazuje się, że w tych młodziakach powraca konserwatyzm, męska przemoc, okopywanie się w twardych zasadach i ich historyczne pilnowanie. Za szybko uwierzyliśmy w społeczną zmianę”.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Uprawiaj sport świadomie

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne

blokady / nerolizy nerwów obwodowych

termolezja

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja

- Rehabilitacja ortopedyczna:
 - stawów rzepkowo-udowych
 - stawów barkowych
 - kręgosłupa
 - stawów kolanowych
 - kontuzji sportowych
 - po zwichnięciach stawów
 - urazów mięśni
 - więzadeł
 - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroinekologii
- Rehabilitacja po COVID-19

Rezonans Magnetyczny 3T

- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

- Pełny zakres badań

Diagnostyka

- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

HALE NAMIOTOWE PROJEKTOWANE NA DEKADY SZYBKI MONTAŻ W KILKA DNI

www.pol-plan.com.pl

Nawet
25%
KOSZTÓW
TRADYCYJNEJ
HALI!

Hale
przemysłowe

Magazyny
z dokami
załadunkowymi

Izolowane
hale z dachem
pompowanym
Lokalne obciążenia
wiatrowe i śnieżne
nawet
do **300kg/m²**

Do
60m
rozpiętości

POL-PLAN
HALE NAMIOTOWE